



TRADYCJA I KOMPUTER

Iwona Marzanna Knypl
str. 13

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 48 (1548)

ROK XXX

28 LISTOPADA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Mafia dzinsowa na Górniaku — str. 5
- Czy podręcznik trafi na stos? — str. 2
- Korek z agraftką — str. 4
- Wydziedziczenie — str. 4 i 5
- Spojrzenie z kiosku — str. 7

Miłość nie pozwoli nam się zestarzeć...

Piękni i wspaniali



Foto: Grzegorz Golański

— Długo trwało, nim połączyliście się węzłem małżeńskim. Oglądając panią Małgosię w tv bardzo jej współczuję, że musi ona tak wyciekiwać i tęsknić za panem Czesio, który gdzieś tam wojażował po świecie. Nie można było tego przyspieszyć?

Małgosia: — Wydaje mi się, że to moje uczucie narastało, musiało dopiero dojrzeć. Miałam parę spraw do załatwienia w swoim życiu, a przede wszystkim by być godną panią Czesia, musiałam się nauczyć śpiewać. A kto lepiej mógłby mnie nauczyć niż Czesio?

Czesio: — Zaczęło się wszystko na próbach. Tak więc, panowie, uważajcie na próbę!

— Czuję w pańskim głosie żal.

Czesio: — To jedynie przestroga. My, mężczyźni, musimy się trzymać, popierać, przestrzegać wzajemnie i bronić się przed ryzykiem. A trwało wszystko długo dlatego, bo Małgosia miała zbyt wielu adoratorów.

— Jednak pan okazał się nie do pokonania.

Czesio: — Czy nie do pokonania, to nie wiem. W każdym razie bardzo się starałem.

Małgosia: — Ja te starania odczuwałam zupełnie inaczej. Czasami byłam wściekła, kie-

dy przeprowadzał swoją siostę i mówił, że to jego naręczona. Pan Czesio także prowadził swoją grę.

— Pani Małgosiu, miała pani zawsze sporo adoratorów...

Małgosia: — Najważniejszy jednak był Czesio. Najgroźniejszym rywalem był Marek Siudym, który wciął się w Amerykanina narajonego mi przez ciocię Krystynę Królównę i to przez Polonijne Biuro Matrymonialne.

— Ale nie z tego nie wyszło i zawsze dziwiłem się, dlaczego? Pan Czesio wygląda bowiem przy tamtym bardzo skromnie, nie ma w sobie nic z rekina finansowego, a raczej wszystko z rodzinnego ciemnika,

co to ledwo wiąże koniec z końcem. A ów Amerykanin z daleka pachniał milionami...

Małgosia: — I za to Czesia kochałam.

— A co pan na to?

Czesio: — Jestem jeszcze bardziej biedny, niż w programach tv, bo to jest gwarancja, że Małgosia nie przestanie mnie kochać.

Małgosia: — Dlatego w kolejnych odcinkach, które wkrótce będą emitowane w tv, prowadzę wideo butik, żeby zarobić na siebie i na męża.

— Wnoszę, że pan Czesio nie garnie się do żadnej pracy...

Małgosia: — Czesio jest artystą!

Niedziela, 22 listopada 1987 roku.

Każdy boi się czego innego

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Społeczne nastroje najlepiej widać w sklepach. Ludzie wykupują wszystko, co tylko mogą. Robią zapasy. Jest to bardzo prosta reakcja na różnego typu zagrożenie, choć mało skuteczna. Nie można zrobić zapasów na całe życie. To, co się dziś kupi, w jakimś czasie się skończy. Może też się zepsuć. Oszczędność jest pozorna. W końcu i tak trzeba będzie kupować po wyższych cenach. Ale odruch robienia zapasów daje poczucie pewności, choć jest ono złudne. Ale jest. I ja się ludziom nie dziwię, że tak reagują. Tak na zagrożenie reagowali zawsze i tak będą nadal reagowali. Taką jest natura ludzka. Człowiek boi się o swoją przyszłość i chce mieć poczucie bezpieczeństwa, choćby było ono chwilowe, choć za cenę zapasów. A tu na dodatek święta i trzeba będzie przygotować coś na świąteczny stół. Spodziewam się, że — jak to zwykle u nas — stoły nie będą puste.

Takie są obawy najprostsze. Ale są i inne. Byłem w ubiegłym tygodniu na spotkaniu, na którym zastanawiano się nad tym, czy reforma gospodarcza to odejście od socjalizmu, czy wręcz przeciwnie? Wielu ludzi niepokoi swoboda stwarzana dla rozwoju sektora prywatnego, jak też wprowadzanie kapitału obcego do państwowych przedsiębiorstw. Padło nawet takie pytanie, czy dynamicznie rozwijający się sektor prywatny zechce nadal być anonimowy politycznie, czy też będzie szukał dla siebie jakichś instytucjonalnych form wyrażania swoich politycznych interesów? Padło nawet oskarżenie, że zapowiadane dalsze reformy, to zwrot w kierunku... kapitalizmu ludowego. Zapewne w kołach ludzi przeciwnych reformom narodził się dowcip: — Co to jest socjalizm? To wyboista droga od kapitalizmu do kapitalizmu.

W zetknięciu z brutalną rzeczywistością wszelkie formułki zawiodą, obnażą swoją nicotę. Oto wydawało się niedzisiejsze, że socjalizm — natychmiast po rewolucji — zniesie z powierzchni ziemi wszelkie zło: złodziejstwo, prostytucję, korupcję, hazard, narkomanie, alkoholizm, tak jak znosi wyższy człowieka przez człowieka. Ale praktyka zadaje klam tym oczekiwaniom. Na to potrzeba czasu. Rewolucja nie jest bowiem jednorazowym aktem, który radykalnie zmienia wszystko: warunki ustrojowe i ludzi. Rewolucja zapoczątkowuje proces przemian. A ten proces podlega obiektywnym prawom ekonomicznym i rozwojowi społecznego. Jest to proces dialektyczny, który musi też rodzić sprzeczności. Tymczasem są ludzie, którzy nie potrafią tego zrozumieć i uważają, że skoro człowiek się nie zmienił, nadal są prostytucja, ludzie piją wódkę, są narkomani, jest złodziejstwo, korupcja, pieni się cwaniactwo i bałagan. I ci ludzie boją się, że to już nie jest socjalizm. Ba! Usłyszałem nawet stwierdzenie, że pluralizm polityczny możliwy jest dopiero w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym.

Pewien mój znajomy zwierzył mi się, że najchętniej na drugie pytanie glosowałby: nie!

— Jesteś przeciwnikiem rozwoju demokracji w Polsce?

— Nie. Jestem za demokracją. Ale uważam, że nasze społeczeństwo nie dojrzało do demokracji.

Nie powiem, skąd już znam te poglądy. Proszę się domyślić. Ale mógłbym zapytać, gdzie „nasze społeczeństwo” miało się nauczyć demokracji? Przecież dopiero zaczynamy ją rozwijać. Taki program zaprezentowała narodowi PZPR. W moim przekonaniu jest to program historyczny. Dlaczego tak uważam?

Przed wszystkim dlatego, że do tej pory rozwijał się socjalizm wyrażający się scentralizowanym systemem biurokratycznym, opartym na wzajemnej nieufności: władzy do ludu i ludu do władzy. Ta nieufność — zresztą przecież jeszcze nie przezwyciężona — rodziła ostre konflikty, które wyrażały się sprzeciwem klasy robotniczej. Dat nie muszę przypominać. Pamiętamy je wszyscy. Zresztą przypominają je pomniki. Już IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR stanął na stanowisku, że partia nie może więcej dopuścić do takich konfliktów. Aby tak się stało, trzeba odejść od scentralizowanego systemu biurokratycznego, odrzucić wzajemną nieufność i przekazać władzę w ręce rad. To nie jest — jakby się wydawało — powtórka z historii.

Jest to nowa sytuacja. W rozwoju socjalizmu — nie tylko w Polsce zresztą — narosły zmiany ilościowe i musi teraz nastąpić skok jakościowy. A więc skok rewolucyjny. Reforma gospodarcza była tego zapowiedzią, reforma państwa i partii jest tego następstwem. Logiczną koniecznością. Jedno bez drugiego nie może funkcjonować. A więc stoimy przed koniecznością dokonania skoku jakościowego, musimy w rozwoju socjalizmu w Polsce stworzyć nową jakość. I referat Biura Politycznego KC PZPR taki właśnie program proponuje.

Boję się, że nie wszyscy to rozumieją. Boję się, że inaczej odczytują logicznie i jasno wyłożone nie tylko intencje, ale i kierunki niezbędnych zmian. Zmian, które muszą być procesem, a realizacja tego programu trwać będzie długie lata. W wyniku tego procesu powstanie musi nowa jakość.

Posłyszałem, jak stary robotnik, wyznalca rozbijającą szczerością, że on się boi: nawrota kapitalizmu, bo on ten kapitalizm jeszcze pamięta. To dla niego nie jest tylko historia napisana w książkach, ale jego minione doświadczenia. Rozumiem go i jego obawy. Ale wiem, że dla niego socjalizm to nie utopijne rozważania specjalistów od nauk społecznych, ale realna polska rzeczywistość z końca 1987 roku. I choć mu ta rzeczywistość skrzeczy, i choć nie jest mu lekko, to on by jej nie zamienił na najpiękniej odrestaurowany kapitalizm. Chciałbym go uspokoić. Powiedziałem już na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, że będziemy socjalizm bronić jak niepodległość i dowiedliśmy, że nie były to słowa rzucone na wiatr. Ale człowiek mimo tych zapewnień ma prawo do obaw.

Wszyscy deklarują poparcie dla reform, ale trudno wszystkim deklaracjom wierzyć. Prawda jest bowiem taka, że każdy z nas — jeśli nawet szczerze jest przekonany o konieczności reform — jest po części ich przeciwnikiem. Wyraża się to choćby tym, że niektórzy najchętniej widzieliby reformy u sąsiadów za plotem, czyli w innej fabryce, w rolnictwie, w PKP, w budownictwie i tak dalej, ale nie u nich. U nich nie ma co reformować. Oni są za reformami u innych. Czego się boją? Ano, boją się tego, że reformy obnażą ich małość, a być może i nicotę. I jakiegoś dziecko bezwiednie krzyknie, że „król jest nagi”. Oto czego się boją niektórzy zwolennicy reform.

Ale i ci, którzy są przekonani, że i u nich powinny nastąpić zmiany, często nie potrafili wyobrazić sobie zakresu i głębokości tych zmian. Gdyż warunkiem powodzenia wszelkich reformatorskich poczynąń jest zdecydowana przebudowa własnego sposobu myślenia i systemu wartości. A to jest najtrudniejsze i idzie niekiedy z wielkimi oporami. Ludzie nadal są nieufni, choć wiedzą, że reformy są konieczne, niezbędne i nie ma dla nich alternatywy. Ale boją się, czy ludzie pełniący różne funkcje potrafią właściwie przestawić się, czy nie powrócą szybko w utarte koleiny, bo to najłatwiej. Ciągłe więc pytania o gwarancje.

A gdy powtarzam, że gwarancję stanowiąmy my sami, to słyszę, że nie mówię nic nowego. Pewnie, że nie. Powtarzam to od lat. I przypominam: w historii Polski były już okresy, gdy reformy były niezbędne. Powstały znakomite programy. Ale nie wszyscy ludzie swój los chcieli wziąć w swoje ręce. Dziś jest to możliwe. Jest konieczne. Przekonajmy się, że również reszta, choć będzie niełatwe i może bolesne.

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-89.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelno: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorotyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Majdański, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska,
Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Jacek
Giebski, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),
Marek Koprowski.

Włodzimierz Krzemiński,
Marek Mamos, Zenon

J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam

Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa” —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
złokalkowane w miastach wojew-
dzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucje i zakłady pracy
złokalkowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książka —

Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przynależy RSW „Prasa —

Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwa ul. Towarowa 28

00-953 Warszawa konto NBP XV
00145-139-11. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę

początku zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.

dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I

kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —

do dnia 10 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 3687. H-10.

Przegląd prasy

Ksiądz biskup Kazimierz
Majdański skierował do wien-
nych dramatyczny list paster-
ski w sprawie podręcznika
„Przysposobienie do życia w ro-
dzinie”. Ordynariusz diecezji
szczecińsko-kamieńskiej jest
członkiem Rady do Spraw
Rodziny, kierownikiem
Instytutu Studiów nad Rodzi-
ną przy Akademii Teologii Ka-
tolicznej w Warszawie. Obser-
nuje fragmenty jego listu opu-
blikował „PRZEGŁĄD KATO-
LICKI” (nr 46). Na wstępie
czytamy między innymi:

„Od początku, od Mieszka I
i Bolesława Chrobrego, a na
Pomorsku od Bolesława Krzy-
woustego aż do naszych dni,
gdy imię Polski rozstrzelał Pa-
pież Jan Paweł II, Kościół
wiernie służył ładowi moralne-
mu w Polsce. Za ten lat od-
dał życie pierwszy nasz polski
święty, biskup, krakowski.
Taka jest misja Kościoła zaw-
sze. Taka jest intencja obecnego
Listu pasterskiego”.

Następnie biskup K. Majdań-
ski przypomina niedawną wizytę
papieską w Polsce. Jan Pa-
weł II mówił w Szczecinie o
podstawowej trosce swego pon-
tyfikatu: o małżeństwo i ro-
dzinę. Papież został zaproszo-
ny przez władzę Polskiej Rze-
czypospolitej Ludowej. Podzię-
kował za to zaproszenie i za
polską gościnność. Wizyta jego
miała kluczowe znaczenie dla
kwestii nawiązania stosunków
dyplomatycznych między Pol-
ską a Stolicą Apostolską. I w
związku z tym wszystkim

KSIAZD BISKUP PYTA:

„Jak więc mogło dojść do
tego, że w tym samym czasie
ukazała się książka w ogrom-
nym, półmilionowym nakładzie,
która — obok innych — zawie-
ra takie treści, które przekra-
sają naukę Ojca Świętego,
bo przekreślają Ewangelię Je-
zusza Chrystusa, głoszącą u nas
od tysiąca lat? (...) Jak mogło
dojść do tego, że ten tak zwa-
ny „podręcznik” ukazał się w
okresie wolności o porozumieniu
narodowe, a obraża podstawo-
we przekonania ogromnej rze-
szy ludzi wierzących, wykazu-
jąc jednocześnie podstawowe
braki naukowe? Jak mogło
dojść do tego, że „podręcznik”
o założeniu wychowawczym nie
wychowuje, lecz demoralizuje?
Niech się wypowiedzą specjali-
ści, zwłaszcza pedagodzy i
psycholodzy. Niech się wypo-
wiedzą do końca, zgodnie z za-
sadą wolności słowa i w po-
szczucie obowiązku uczciwego i
kompetentnego zajęcia stanowi-
ska wobec tego niesłychanego
zjawiska”.

Biskup Kazimierz Majdański
nie potępia całej książki, lecz
tylko fragment dotyczący życia
erotycznego człowieka. Przypo-
mina on o wielkiej godności
ciała ludzkiego. Zwraca uwagę
młodym chłopcom i dziewczę-
tom, że nie muszą być bez-
wolnym narzędziem namiętno-
ści, nie muszą być ludźmi kłes-
ki. Bóg stworzył ich do praw-
dziwej miłości.

„Nikt nie ma prawa degra-
dować jej do poziomu świata
zwierząt i to z taką tylko róż-
nicą, że zwierzęta kierują się
zdrowym instynktem, a Ty je-
steś namawiany, byś używał
rozumu po to, aby sprowadzić
ludzką miłość do poziomu ni-
skich, biologicznych instynktów.
Człowiek nie jest niewolnikiem
zmysłów. A człowiek-chrześci-
janin wie, że jego ciało jest od-
kupione, by istniało w chwale
Zmartwychwstania na wieki”.

Zdaniem księdza biskupa, po-
starano się, żeby podręcznik —
będący zachętą do eksperymen-
tów erotycznych — szybko, nie-
mal cichaczem dotarł do rąk
młodzieży. Ma on piękny tytuł,
ale ludzki. W rzeczywistości
stanowi groźne niebezpieczeń-
stwo. Nie przygotowuje do ży-
cia w rodzinie, lecz godzi w
nią i przyszłość naszej Ojczy-
zny.

„Niech nikt nie przeprowadza
eksperymentów na naszej mło-
dzieży — wbrew historii, ty-
siącletniej kulturze i wbrew
zdravemu rozsądkowi. Niech
nikt nie eksperymentuje, wspa-
rty demagogią adresowaną do
słabości ludzkiej. Nie wycho-
wujmy zimnych cyników. Kto
będzie bronił Westerplatte, gdy
zajdzie potrzeba? I kto będzie
krzewił prawdziwą kulturę pol-
ską, której zawsze potrzeba?
Czy mamy wziąć człowieka-ze-

glarza, o którym mówił Papież,
czy też człowieka-ameba? To
ostatnia wizja nie jest godna
nikogo z nas”.

Pod wpływem protestów śro-
dowisk katolickich minister e-
dukacji narodowej czasowo za-
wiesił wykorzystywanie w
szkolach inkryminowanego po-
dręcznika. Spotkało się to z
pozytywną reakcją Konferen-
cji Plenarnej Episkopatu Pol-
ski. A tymczasem pojawiły się

GŁOSY OBRONY

Najbardziej chyba zdecydo-
wanie wystąpił tygodnik
„POLITYKA” (nr 44, 45, 46 i 47)
oraz „SPRAWY I LUDZIE” (nr
44, 45 i 46). Redakcja pierwszego
pisma, odnotowując kontrower-
syjną decyzję szefa naszego re-
sortu edukacji, stwierdza, że
podręcznik „niezależnie od pe-
wnej słabości jest bardzo in-
teresującą próbą potraktowa-
nia złożonych problemów przy-
gotowania do życia w rodzinie
i w małżeństwie, próbą podję-
cia z pozycji świeckich i z wy-
korzystaniem nowoczesnych me-
tod, sprawdzonych już w roz-
winiętych krajach europejskich”.

W obszernym artykule Ewa
Nowakowska proponuje, żeby
spokojnie i bez uprzedzeń czy-
tać książkę W. Sokolika, D.
Andziaka i M. Trawickiej. Wie-
le zarzutów wynika prawdopo-
dobnie z nieuwagi lektury. Au-
torka przeprowadziła rozmowę
z grupą uczniów XVIII
Liceum im. Jana Zamojskiego
w Warszawie. Zamieszczone o-
pinie wskazują, że młodzież
wcale nie jest zgorzonna.

Z kolei w tygodniku wrocła-
wskim Małgorzata Kąkol pod-
kreśla, że nie o młodzież
chodzi w tej sprawie, lecz o
pozytywny wpływ Kościoła katolickiego.
Pojawił się bowiem drugi o-
bok religioznawstwa — przedmiot
obiektywnie przedstawiający
pewne fakty.

Do obrońców zawieszono-
go podręcznika dołączył Marian
Butryn na łamach „ŻYCIA
WARSZAWY” (nr 267). Przede-
wszystkim wyraża zdziwienie,
że w kręgach duszpasterskich
jest tylu ekspertów od życia
seksualnego. Kwestionują na-
wet kwalifikacje fachowców. A
przecież w Kościele nadal oba-
wiający celibat.

„W szranki bojowe — ironi-
zuje autor — wstąpił także
grzesznicy z wyboru, czyli pu-
blicyści laicy i działacze
PRON, lekarze, nauczyciele, a
także każdy, kto miał długopis
w zasięgu strzału. Dokonywa-
no polemicznej wnikliwości pod-
ręcznika z różnych pozycji, ty-
nawiej, że traktuje on m.in. o
pozytywach. (...) W ostatnim
rozdziale książka przestaje
młodym zwracać, szybko anikne-
ła z półek księgarskich stojąc
z białym krakiem, handlowa-
nym w II obiegu bazarowym
za niekie pieniądze, jak to w
II etapie reformy bywa. Decy-
zja o zawieszeniu wzmocniła
tylko ceny umowne, jak to z
owocami zakazanych bywa, a
za społeczną działalność rekla-
mową należy się wszystkim za-
miesznanym w zawieszanie po-
calowanie ręki. Lepiej spisać
się tylko Marek Kotasiński, któ-
rego antywodocienne pomysły
spowodowały prawdziwy run
na sklepy alkoholowe i na
wszelki wypadek wódkę wyku-
pywano w ostatnich dniach
niemal całymi kontenerami”.

Sprawa wychowania seksual-
nego młodzieży nie może nam
prześląć kwestii zasadniczej.
W obecnych warunkach najwa-
żniejsze znaczenie dla wszy-
stkich Polaków ma

SYTUACJA
GOSPODARCZA
KRAJU.

Po dziesięciu miesiącach 1987
roku obraz naszej gospodarki
jest różnicowany. Z ostatnie-
go komunikatu GUS, którego
pełny tekst opublikowała
„RZECZPOSPOLITA” (nr 270),
można się dowiedzieć, że lepsza
niż w ubiegłym roku jest sy-
tuacja w przemyśle i handlu
zagranicznym oraz niełaż w
szkolnictwie. Natomiast w dal-
szym ciągu źle dzieje się w
budownictwie.

Przeciętne wynagrodzenie
miesięczne w gospodarce uspo-
lecznionej w okresie trzech
kwartałów br. wyniosło 27.754
zł i było większe o 21,2 proc.
w porównaniu z analogicznym
okresem ub. roku. Przeciętne
emerytura i renta (bez rolni-
czych) wyniosła 16.021 zł, co
oznacza wzrost o 33,6 procent.

W tym samym czasie rosły
również ceny wielu artykułów
i usług (m.in. opału, mebli, o-
buwki, komunikacji, żywności).
Pociągło to za sobą wzrost
kosztów utrzymania przeciętne-
go 21,5 procent. W największym
stopniu (o 26 proc.) koszty u-

trzymania wzrosły w rodzinach
emerytów i rencistów.

Dalszy rozwój kraju nie jest
możliwy bez radykalnych
zmian w całym systemie spo-
łecznym. Bardzo interesujący
program zawiera referat Biura
Politycznego na VI Plenum
KC PZPR. Po raz pierwszy re-
ferat opublikowano już przed
obradami. W dziennikach „TRY-
BUNA LUDU” (nr 270) i
„RZECZPOSPOLITA” (nr 270)
ukazały się specjalne wkładki.
„Socializm postawił przed so-
bą wielkie cele — czytamy w
referacie Biura Politycznego —
częstość zbyt wielkie, aby
mogły zostać w pełni urzeczy-
wistnione za życia nawet kilku
pokoleń. Nie ustrzegliśmy się
woluntaryzmu, magii wielkich
skoków, pokusy marszu na
skrót. Dziś jesteśmy mądrzejsi
o wiele trudnych doświadcze-
niach. Nauczyl nas one, że po-
żądaną rzeczywistość nie da
się z dnia na dzień zadekretować,
że jej tworzenie jest trud-
nym procesem, że na drodze
postępu nieraz zaczyna się nie-
powodzenie. Ale podstawowe ce-
le socjalizmu niezmiennie za-
chowują swą fundamentalną
wartość”.

Niektórzy jednak mówią już
o zmierzchu socjalizmu. Polemi-
zuje z tym na łamach „ODRO-
DZENIA” (nr 47) prof. Jerzy
Wiater, z którym rozmawia Si-
gnisław Mienkowski.
„Sam przecież głosił, i to od
lat, że socjalizm stał w obli-
czu złożonych wyzwań teorety-
cznych i praktycznych. Co by
nie powiedzieć, do przyszłości
Gorbaczowa i zapoczątkowania
reform w Chinach i w Polsce
— zmniejszała się jego atrak-
cyjność, zarówno na „Wschod-
zie jak i na Zachodzie. (...) To
nie doświadczenia, lecz teore-
tyczny, lecz też, formuły, które
ukształtowane w ZSRR po
złamaniu się NIEP-u i co okre-
ślały mianem modelu stali-
nowskiego. Wtedy bowiem za-
czął się proces popadania w
pułapkę dogmatów. Z wiado-
mymi już dziś skutkami. (...) Dziś
wiemy znacznie więcej o
kosztach, jakie przyszło ponieść
za praktyki tamtego okresu, a
le co by było, gdyby nie posta-
wił Stalin na przemysł i nie
przygotował kraju do wojny. Ja
nie rozgłaszam stalinizmu,
lecz usiłuję zrozumieć pewne
decyzje w kontekście konkre-
tnych uwarunkowań. Poza tym
myślę, że nie zawsze i nie
wszystko Stalin narzucał siłą.
Swoją rolę odegrała legenda poręba-
lucyjnych lat, fascynacja zwycię-
stwami wodzem i przekonanie
do radzieckiej drogi (innych do-
świadczeń nie było)”.

Próbą faktycznej destaliniza-
cji naszej gospodarki jest pro-
gram drugiego etapu reform.
Tak twierdzi w „TYGODNI-
KU KULTURALNYM” (nr 47)
Saturnin Sobol. W swoim ar-
tykule próbuje odpowiedzieć na
obchodzące większość obywa-
teli pytanie:

PO CO ORGANIZUJEMY
REFERENDUM?

Zdaniem S. Sobola, nie tyle
wynik jest ważny, co zaangażo-
wanie społeczeństwa i popar-
cie programu reform. Wyniki
głosowania będą wiążące dla
władzy, gdy do urn pójdzie po-
nad połowa uprawnionych. I po
drugie — 50 procent plus 1 u-
prawionych powinno opowie-
dzieć się za danym rozwiąza-
niem. Autor pisze dalej:

„Wiadomo, że proponowane
reformy muszą kosztować, po-
ciągają za sobą ruchy cenowe,
przynajmniej przejściowo ude-
rzą jeśli nie wszystkich, to
wielu po kieszeni. Trzeba się
liczyć z niezadowolaniem róż-
nych środowisk i grup społecz-
nych, nawet z konfliktami. A
warunkiem powodzenia pol-
skiej „pierestrojki” jest spo-
kój społeczny. Referendum mo-
że stanowić instrument pacyfi-
kacji niekorzystnych nastrojów
i legitymację dla władzy. Sto-
sując się do takiego lub inne-
go wyniku referendum, rząd bę-
dzie miał prawo powoływać się
na wolę narodu. Z kolei spo-
łeczeństwo przez sam fakt u-
czestnictwa w referendum sta-
je się współodpowiedzialne za
poważenie wybranego rozwią-
zania. Wszak sami tego chcie-
liśmy”.

Saturnin Sobol uważa, że
błędem byłoby traktowanie re-
ferendum jako wybiegu takty-
cznego władzy. Chodzi bowiem
o przełamanie marazmu i wy-
prowadzenie Polski na drogę
rozwoju.

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Dlaczego — „tak”

Po raz pierwszy brałem udział
w referendum jako młody czło-
wiek wkrótce po wojnie, bardzo
tym swoim uczestnictwie w
ogólnopolskim akcie przejęty. Już
nie pamiętam dokładnie, dla-
czego tylko na dwa, a nie na trzy
pytania odpowiedziałem „tak”
i na czym polegały wówczas moje
zastrzeżenia co do
izby wyższej parlamentu. Może
wpływało na mnie to, że przed-
wojenny „Senat” ze względu na
tryb powoływania i skład spo-
łeczny nie cieszył się sympatią
kół postępowych.

Obecnie, w drugim w dziejach
Polski Ludowej referendum
mam odpowiedzieć na dwa ściśle
i logicznie z sobą sprzężone
pytania, odnoszące się do mniej
lub bardziej zdecydowanego
przeprowadzenia reformy
gospodarczej wraz z procesem
demokratyzacji ustroju spo-
łeczno-politycznego.

Oczywiście nie brak ludzi,
którzy całą problematykę krajową
chcieliby zamknąć w alternatywie:
socjalizm czy kapitalizm, za-
maskowanej w propagandowej
formule: totalitaryzm czy de-
mokracja? Co do mnie, to nale-
żało do ludzi którzy, niezależnie
od swojego politycznego światopoglądu,
uważają za bezprzedmiotowy
taki wybór jak powyżej — pomi-
ędzy realnością a utopią. Trze-
źwo myśleć trzeba przecież
uważać socjalizm w Polsce za
jedyną realność, której nie uda-
łoby się zmienić bez powszechnego
konfliktu atomowego, oznaczającego
jednak zmianę załudnionej
planety Ziemia na martwe ciało
niebieskie, krążące po swej or-
bitie w złowrogiej ciszy.

Nikomu nie uwielbiam, uważam
inne możliwości oprócz wy-
mienionych za — mówiąc po polsku
— pobożne życzenia albo, jeśli
komuś to milej zabrzmi, za wishful
thinking. Stąd prosty wniosek:
Iz absorbuje mnie jedynie
możliwość polepszenia życia
w istniejących warunkach
ustrojowych, a ponadto — jako
umiarkowany egocista — mam
na względzie nie tylko pokolenia
naszych dzieci i wnuków, ale i
moją własną osobę. Chciałbym
bowiem doświadczyć się od-
czuwalnych zmian na lepsze. Z
tej przyczyny skłonny jestem
cierpliwie i w pogodzie ducha
kuleć trudności i wyrzeczenia,
dające pewniejszą ręką
przełomu w sytuacji niż roz-
czławną na dłuższą latą
proszkorka latania dziur i
szukowania krótkiej koldry.

Byłem wprawdzie za tym, żeby
podjąć ryzyko reformy wcześ-
niej, mimo nierównowagi
rynku, a wielka szkoda, że
nie zapoczątkowano reform
w połowie lat siedemdziesiątych,
przy doskonałym zaopatrzeniu
rynku, ale przecież „gdybaniem”
nie da się uciec od wymagań
teraźniejszości.

Jestem zdania, że kto poważnie
troszczy się o swój los, czy-
li interesuje się programem
planowanych reform, ten
przecież wie doskonale, że ich
istota sprowadza się (w sytuacji
jednostkowej) do zwiększenia
opłacalności rzetelnej pracy,
otwierając przed jedynymi
możliwościami znacznej
poprawy bytu, inni natomiast,
którzy wolą mniej zarobić,
byle się nie narobić, nie będą
przez nikogo zadręczani pracą.
Jakże więc to się dzieje, że
nie raz człowiek pracowity i
sumienny oraz sprawiedliwy
społecznie zastanawia się, czy
nie głosować za tym, żeby i
dobry, i zły pracownik mieli
po równo? Przecież ogół
ludzi pracy (jeśli trafnie
oceniam) zawsze wypowiadał
się przeciwko tak pojmowanej
„urawniłowce”.

A czy od wielu lat nie mówili-
śmy między sobą, że takie
postawienie cen na głowie, jak
jest w Polsce, hamuje rozwój
gospodarczy? Za tym by
wreszcie (choć nie wszystkie
należą) urealnić wypowiedzi
też, śledząc naszą reformę,
zachodni eksperci, zachęcając
nas do przyjęcia jej radykalnego
wariantu, a od ich opinii
zależą m.in. możliwości
uzyskania przez nas
pożyczek i prolongaty
długów.

Nikt ze zwolenników
gospodarczego przyspieszenia
nie ludzi się, że trzeba nam
bądźle solidnie i rozumnie
potrudzić się, a co do
rządu, to wcale nas nie
błaga, żebyśmy głosowali „tak”,
tożę wstrzymując się od
poparcia reformy bynajmniej
nikt nie robi rządowi „na
złość”. Rząd chce; rzecz
jasna, poznać naszą
opinię i liczyć na to, że
społeczeństwo potrafi
rozróżnić się we własnym
interesie, zrozumieć
wymagania sytuacji
gospodarczej kraju,
która jest sytuacją
każdego z nas.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Ta wycieczka nie pojedzie
dalej — powiedział cel-
nik po sprawdzeniu kilku
bagażu. Chwilę później
wszyscy znaleźli się na
peronie. Ktoś odczytał
nazwę miejsca
przymusowego postoju —
Kunowice. Mieli dużo
czasu. Następnym pociąg
w kierunku Berlina
odchodził za kilka
godzin — reportaż
JACKA MACIASZKA.

— Obszerne fragmenty
mało znanego materiału
z 1956 roku na temat
systemu władzy i kultu
Józefa Stalina.

— Aleksander Fredro
napisał nie tylko „Śluby
panieńskie”, ale również
„Piszczyk” — relacja
EUGENIUSZA IWANICKIEGO
z warszawskiego Teatru
„Syrena”. Uprasza się
młodzież, aby tego
raczej nie czytała...

— Co łączyło Leona
Kozłowskiego z
Vidkunem Quislingiem?
— pierwsza część
cyklu artykułów
WITOLDA BOROWEGO
pt. „Przekleństwo
zdrady”.

Już niebawem...

dwa specjalne wydania
„Odgłosów” — ŚWIĄTECZNE
oraz NOWOROCZNE, a w
nich między innymi:

— obszerny fragment
drugiego tomu powieści
ZBIGNIEWA NIENACKIEGO
„Dagome iudex”;

— opowiadanie kryminalne
GILBERTA RALSTONA
pt. „Okazja”;

— fragmenty powieści
„Malowany ptak”
JERZEGO KOSIŃSKIEGO;

— korespondencja
RYSZARDA NAKONIECZNEGO
o potęgę i gwałtowny
upadek imperium
Inków;

— artykuł TOMASZA
A. WŁODKOWSKIEGO
prezentujący poetycki
portret Lwowa;

— rozmowa
PAWŁA TOMASZEWSKIEGO
z lekarzem
akupunkturystą;

— esej EDMUNDA
LEWANDOWSKIEGO
na temat
światopoglądu
Edwarda Stachury.

Bardzo atrakcyjny
numer świąteczny
ukaze się w
zwiększonej objętości
20 stron. Dalsze
szczegóły za ty-
dzień.

— Jak by można było w kilku zdaniach scharakteryzować sens i znaczenie VI Plenum KC PZPR?

— Plenum to zapowiadano jako ideologiczne, ale myśle, że ma ono przede wszystkim znaczenie polityczne. Do tej pory mówiono o reformach w gospodarce, teraz pora powiedzieć o reformach politycznych oraz — co jest bardzo ważne — o reformie w partii. Partia zapoczątkowała reformy i wierzę, że doprowadzi je do końca. W wyniku tego powinniśmy kształtować się i sprawnie w praktyce nowy model państwa socjalistycznego.

— Często mówimy, że partia, a przecież nie jest to siła jednolita, w partii można wyróżnić siły konserwatywne i lewicowe oraz centrum.

— Nie ma takich podziałów w partii.

— Ale i nie ma jednolitości.

— Inaczej patrzę na to. Podział na lewicę czy prawicę łączy się z działalnością frakcyjną. O tym nie może być mowy. Nie sposób zaprzeczyć, że to partia zainicjowała reformy i że nimi nadal kieruje. Trudno sobie nawet wyobrazić, co by się stało, gdyby w wyniku wewnętrznych podziałów i sprzeczności partia się na reformy nie zdobyła, gdyby nie potrafiła doprowadzić ich do końca. To by była klęska. Dlatego również sama partia musi się reformować.

— Wypływają w partii obawy, że reformy odwodzą nas od socjalizmu.

— Rzeczywiście, są takie obawy. Myślę, że w przygotowaniu reform, których niezbędność trudno kwestionować, popełniliśmy pewien błąd. Nie przygotowaliśmy dostatecznie całej partii do reform. Komitet Centralny i instancje różnych stopni, zajęte także wieloma innymi sprawami, nie miały dość czasu, ani możliwości, aby bazę partijną dostatecznie poinformować i przygotować do przyjęcia reform. Stan wiedzy o naszej sytuacji nie jest dobry, mimo że główne informacje na ten temat są dostępne. Były przecież publikowane różne raporty o stanie gospodarki, programy jej naprawy, wyniki sesji dyskusyjnej, ekspertyzy i opracowań. Trzeba się po prostu tymi sprawami bardziej interesować i samemu szukać niezbędnych a dostępnych źródeł.

Samowiedza ekonomiczna nie zastąpi wiedzy, a spojrzenie świeże i nie zamącone znajomością rzeczy nie stanowi wystarczającej podstawy nawet do kształtowania własnych sądów, a co dopiero do dyskusji z bezpartyjnymi. Musimy wiedzieć więcej, rozumieć reformy lepiej. Tylko wówczas można działać skutecznie.

— Ale w partii są różni ludzie, różnie myślący, o różnych nawykach.

— Są. Wielu z nich wychowało się w warunkach, gdy działały inne mechanizmy polityczne, gdy w pracy partyjnej dominowały administracyjne metody działania. Są ludzie, którzy jeśli czegoś nie potrafili uzyskać, to biegli po pomoc do komitetów i komitetów im to załatwiali. Administracyjnie oczywiście.

— Niektórzy jeszcze i dziś bledzą.

— Bo mało, albo i nie nie rozumieją.

— Przede wszystkim trzeba więc zmian w świadomości?

— Tak. Trzeba przecież pamiętać, że wielu działaczy partyjnych i społecznych zostało wychowanych według pewnych wzorców doktrynalnych, czy wręcz dogmatów. Utrwaliły się one w ich świadomości tak głęboko, że stały się niemal odruchami warunkowymi. Na przykład, przez lata mówiono ludziom, że obcy kapitał w państwie, w gospodarce socjalistycznej, to coś szkodliwego, bo to wyzysk polskiej klasy robotniczej przez obcych kapitalistów. I nagle — spółka z udziałem kapitału obcego, kapitał ten traktuje się jako formę dewizowej dofinansowania naszej gospodarki, państwo ma w tym swój kontrolny udział oraz jest to świetny interes i szansa rozwoju gospodarki. Tymczasem w podświadomości wielu ludzi tkwi coś takiego, że na dźwięk słowa „kapitał” nasuwa się im zaraz pojęcie „wyzysk” i odruch warunkowy działa. Reagują na to emocjonalnie, jako na naruszenie zasad socjalizmu.

— Czy mam rozumieć, że konserwatyzm widać się w wielokroć?

— Niekoniecznie. Jest to wynik błędów w dotychczasowej pracy politycznej w partii i przez partię prowadzonej.

Konserwatyzm to sposób myślenia, sposób pojmowania świata. To lek przed nowym i niebezpieczną wrogość wobec

nadchodzących zmian. Gdy staje się hamulec postępu, trzeba z nim walczyć. Trzeba zmieniać atmosferę polityczną w tych środowiskach, gdzie występuje. To trudna sprawa. Nasza świadomość trzeba wyprać z dogmatów. Trzeba jednak pracować tak skutecznie, by przypadkiem wyczyszczone dogmaty nie zajaśniały pełniejszym blaskiem.

— W wielu POP panuje jeszcze bierność, tam się nie dyskutuje. Czy takie POP mogą mieć jakiś wpływ na zmiany w naszej rzeczywistości?

— Powtarzam: partia musi się też reformować, musi wyeliminować ujemne zjawiska. Dlatego często ludzie nie chcą dyskutować? Bo utrwalili się zwyczaj doczepiania dyskusyjnym etykietek: rewizjonista,

ważniejszy od reform gospodarczych.

— Nazwałbym to reformą o charakterze ustrojowym, zakładającą kompleksowość i wzajemną zależność reform gospodarczych i politycznych.

Reforma gospodarcza bez politycznej — to reforma polowiczna, a więc nieskuteczna. Półreforma to jak półdziewica — ani cnoty, ani pożytku, a poza tym w praktyce to niemożliwe. Brak reform politycznych towarzyszących dotychczasowej realizacji założeń reformy gospodarczej był wyrażeniem dostrzegalnym czynnikami hamującymi.

— Jak można byłoby określić istotę reformy politycznej zapowiedzianej w materiałach na VI Plenum?

— Określiłbym to, jako o-

zrozumienia istoty rzeczy. Ma to być reprezentacja samorządów, która wyrażałaby ich interesy. Spełniałaby rolę opiniodawczą w stosunku do Sejmu PRL. Uważam, że w takiej Izbie samorządowej Sejmu PRL powinny być reprezentowane przede wszystkim samorządy terytorialne, ale także inne rodzaje samorządu.

Wszystko to wymaga zmian Konstytucji. Prace nad tymi zmianami zostały już zresztą zapowiedziane na X Zjeździe PZPR.

— Czy nie ma obawy, że rozwój samorządu terytorialnego może stworzyć nadmierne dobre atmosferę dla wyrażania i obrony interesów partykularnych? Czy zatem Izba samorządowa Sejmu nie byłaby zbyt wysokim forum

nej wolności, ani absolutnej demokracji. I wolność i demokracja mają swoje granice. Inaczej byłaby to anarchia. Nie przewidujemy możliwości legalizacji działań wrogów naszego państwa i ustroju. Są przeciw nim dostateczne mechanizmy obronne. Musimy być realistami i twardo trzymać się rzeczywistości takiej, jaka ona jest. Jeśli nie ma u nas ani jednolitości poglądów politycznych, ani jednolitości światopoglądowej, to powinniśmy budować pluralizm i koalicyjność na bazie narodowego interesu Polaków i Polski. Socjalizm nie zbudują sami komuniści.

Istota nowego modelu państwa socjalistycznego ma polegać na tym, by każdemu stworzyć warunki dla jak najpeł-

nowym. Wszelki brak zainteresowania referendum jest dla mnie bzdura. Nie wnioskuję o to, jak się obywatele ma wypowiedzieć. To jego sprawa. Ale on powinien rzadziej przekazywać swój pogląd: za lub przeciw.

Jeśli rząd pyta o opinie, to musi dostarczyć odpowiedzi prawdziwą i pełną, gdyż jest to bardzo ważna przesłanka późniejszych decyzji politycznych. Biegna lub niepełna odpowiedź — to groźba błędnej decyzji i katastrofalnych skutków społecznych.

Jeśli więc ktoś tego nie uczyni — stawia się poza nawiasem społeczeństwa. Jeśli obywatel nie wywiązuje się ze swoich obowiązków...

— ...to należy go ukarać?

— A czemu nie? Na przykład obłożyć go grzywną.

— Bardzo to ryzykowny pogląd.

— Dlaczego ryzykowny? Wolno mi mieć takie zdanie. Tak jest w niektórych krajach Europy. Państwo jest sposobem organizacji społeczeństwa. Każdy członek społeczeństwa ma swoje prawa, ale i obowiązki. Jeśli chce wymagać od państwa, aby się wywiązywało ze zobowiązań, to musi też umieć wywiązywać się ze swoich. Udział w referendum jest właśnie takim obowiązkiem.

— Pamiętajmy jednak, że jest to drugie referendum w dziejach Polski i nie mamy jeszcze dostatecznych nawyków w tej dziedzinie. I trzeba też pamiętać, że bardzo chcemy samorządności, a nie potrafimy się tą samorządnością posługiwać.

— Trzeba się samorządności uczyć. Projekty reform zmierzają do tego, aby państwo było coraz bardziej samorządne. To zwiększa udział obywateli w zarządzaniu i rządzeniu, a tym samym wzrasta ich współodpowiedzialność.

Polska jest przecież dużym krajem, korzystnie położonym w centrum Europy, posiada niezgorszą bazę surowcową oraz również niezgorzący potencjał przemysłowy. Polacy wielokrotnie udowodniali, że przy dobrej, sensownej organizacji pracy potrafią wiele osiągnąć. Trzeba więc gospodarować i państwo tak reformować, aby móc w pełni wykorzystać to, co posiadamy. Rzecz więc nie w tym, czy reformować lub nie reformować, tylko jak szybko i skutecznie reformować to, co reformy wymaga.

— Dla reform alternatywy nie było i nie ma, bo mielibyśmy kolejne zakrety historii.

— Młodzież do partii się nie garnie. Partia się starzeje.

— Owszem. Wydarzenia lat osiemdziesiątych — jako skutek błędów lat poprzednich — doprowadziły do wielkiego zamieszania w umysłach młodzieży. Stąd wielu młodych odsuwa się w ogóle od spraw politycznych, wyraża brak zaufania do systemu, który stworzył takie ujemne zjawiska.

Tylko skutecznym reform może zmienić stosunek młodzieży do partii. Reformy nie są dla nas. One są już dla młodzieży. To oni będą żyli w uporządkowanym świecie. A nasza pokolenia powinny im zostawić jak najmniej bałagan, jak najmniej długów, jak najmniej zaległości do odrobienia.

Reformy są szansą dla młodych, dlatego we własnym interesie powinni w nie czynnie wkraczać stając się czynnikami postępu. Naturalna dynamika młodzieży, zdolność do podejmowania ryzyka, świeżość intelektualna — to najlepsza wsparcie procesów rozwojowych.

A jeśli ten rozwój stanie się rzeczywistością, to i młodzież przyjdzie do partii. Dla młodzieży liczą się efekty, a nie propaganda.

— Z partii odeszło wielu wartościowych ludzi, z różnych przyczyn. Gdyby dziś wyrażili chęć powrotu, to co?

— Nic. A co ma być? Proces rehabilitacyjny? W żadnym wypadku. Uznanie ciągłości stażu? Też nie. Jeśli w jakimś momencie złożyli legitymację partyjną, choć ideologia i program partii nie są im obce a różni ich metody i atmosfera, to był to ich krok, ich decyzja. Imni pozostali, choć im też nie było lekko. Sprawdzili się w działaniu. Teraz mamy kłopotować tych wahających się? Legitymacji partyjnej nie może się po to, by nią wymachiwać. Uważam, że młodzi Statutem przewidziany czas od tamtej decyzji i Statut PZPR określa warunki na jakich każdy — podkreślam: każdy — kto chce spełniać wymagania tego Statutu może do PZPR wstąpić. Wszyscy!

Rozmawiała:

BOGDA MADEJ

Nie można zreformować gospodarki, jeśli nie reformuje się państwa.

Wyprać świadomość z dogmatów

Rozmowa z MARKIEM BARTOSKIEM — członkiem KC PZPR, dyrektorem Instytutu Aparatów Elektrycznych Politechniki Łódzkiej.

beton, reformator, dogmatyk, lewak i tak dalej. Zamiast argumentów w dyskusji — etykiety. Ale tym nie ma co się przejmować. Etykiety można odciąć.

Ważna jest pełna swoboda myślenia i wyrażania poglądów, rzeczywisty wpływ na decyzje polityczne. Do tego trzeba dalszej demokratyzacji w partii. Bez tego zresztą nie byłoby postępu demokratyzacji w państwie.

— Wszyscy mają współdecydować?

— Często tworzymy różne mity. Jednym z takich mitów, którym się łatwo zastanę, jest mit o zbiorowej mądrości. Czy zawsze wynik opinii zbiorowej stanowi zbiorową mądrość? Odwróćmy to może: czy suma małych głupstw może stanowić zbiorową mądrość? A może tylko sumę małych głupstw? Ale takim mitem zbiorowej mądrości można się łatwo zastanę, aby nie było widać indolencji czy braku myśli. Zaczniemy się traktować poważnie i słuchać uważnie, kto i co ma do powiedzenia? A decyzje podejmują politycy i ponoszą za nie odpowiedzialność.

— Ale ludzie podchodzą do tego nieufnie. Na ogół powiada się, że to „oni wymyślili”, że to same nazwiska, te same twarze, nie się nie zmieniało, tylko parę osób zamieniło się miejscami.

— Po tym, co się w Polsce stało w latach osiemdziesiątych, trudno wymagać od ludzi, aby nagle odzyskali zaufanie. Na to trzeba czasu i takich wyników, aby ludzie przekonali się, że nie ma innej drogi i że te reformy były i są niezbędne. Zresztą reformy stały się dziś nie tylko naszą koniecznością. Swoją gospodarkę i systemy sprawowania władzy reformują prawie wszystkie państwa socjalistyczne. Nie możemy więc pozostać w tyle w tym procesie koniecznych przemian.

— Tak się już stało, że pojęcie — reforma — kojarzy się nam przede wszystkim z reformą gospodarki. A przecież program reform jest znacznie szerszy. I być może program reform politycznych jest dziś

dejsze od centralistycznego systemu sprawowania władzy na rzecz systemu zdecentralizowanego, samorządowego, pojmowanego bardzo szeroko: od samorządu terytorialnego do samorządu fabrycznego. Jest to zatem początek tworzenia nowego modelu państwa socjalistycznego. Tego nie da się zrobić natychmiast. To jest długi proces ewolucyjnych zmian, które się muszą dokonać. Musi być przy tym zagwarantowana stabilność systemu podczas zachodzących zmian.

— Jak więc ma wyglądać ten system samorządowy?

— To cały skomplikowany problem. Zaczęć od dołu. Proponowany model samorządu w gminie czy mieście rysuje się już klarownie. Rady narodowe miałyby szerokie uprawnienia stanowiące, powstałaby własność komunalna, zmieniliby się system tworzenia i podziału budżetu, zmianie musiałby ulec system podatkowy. W wyniku tego rady narodowe miałyby możliwości organizacyjne i materialne czyniące je rzeczywistymi gospodarzami terenu. Wiąże to się z koniecznością zmian systemu prawnego, w tym zwłaszcza przyjęcia, w pełni demokratycznej ordynacji wyborczej.

Z drugiej strony mamy już zapoczątkowaną reformę centrum. Reforma postępuje zatem z dwu stron: od dołu i od góry. Natomiast nie jest jeszcze jasne, co będzie się szczeblem pośrednim, czyli z samorządem wojewódzkim. Wprawdzie koncepcja jego się kształtuje, ale tym niemniej, jeśli będziemy zwlekali z reformą szczebla pośredniego, mogą ujawnić się sprzeczności, a to może zaszkodzić całości reform.

— Ma być nawet druga Izba Sejmu.

— Wokół sprawy drugiej Izby Sejmu jest wiele nieporozumień wynikających z niewiedzy. Kilkakrotnie spotkałem się z przedziwnymi polemikami: — Po co nam Izba Lordów? Restauruje się Senat? Sejm jest reprezentacją całego społeczeństwa i to wystarczy.

Tę pogląd biorą się z nie-

dia tych tendencji? Tu chciałabym przypomnieć, że wymyślono makroregiony, które — jak do tej pory — nie spełniły swojej roli i chyba jej już nie spełnią.

— Obrona lub wyrażanie interesów partykularnych nie musi być czymś tak nagannym, jak nam się to niekiedy wydaje. Pod warunkiem jednak, że nie narusza to obiektywnych praw ekonomicznych czy społecznych. Na przykład, bankructwo, przedsiębiorstwa z punktu widzenia ekonomicznego wydaje się czymś naturalnym. Ale robi się z tego problem polityczny — właśnie wbrew prawom ekonomicznym — i wszyscy święci stają w obronie tak zwanego interesu ludzi pracy, a w istocie nie pojętych interesów partykularnych. Skutek jest taki, że w imię humanizmu socjalistycznego narusza się działanie obiektywnych praw ekonomicznych.

Obrona bankructwa, obrona za wszelką cenę socjalizmowi nie służy.

Idea makroregionów powstała z tego powodu, że podział administracyjny dokonany w 1975 roku ujawnił swoje niedoskonałości. Korekty są niezbędne, ale chyba ani czas po temu, ani nie jest to dziś najważniejsze. Niech to sobie żyje i dojrzewa.

— Przebudowa systemu sprawowania władzy musi rodzić wątpliwości i niepokoje. Nie gorszyłabym się tym, ani nie sprzeciwiała, czy obawiała tych wątpliwości. Wyrażają one w konsekwencji przywiązanie do socjalizmu. Tyle tylko, że kształt tego socjalizmu jest — powiedzmy — tradycyjny i nie odpowiada nowym potrzebom. Ale jest znany i „swojski” w tym znaczeniu, że przywykliśmy do niego. Nowy model, choć konieczny, jest ciągle niewiadomą. Budzi zatem obawy. Na przykład możliwość stowarzyszenia się. Czy to nie doprowadzi do powstania nowych partii?

— Jeżeli nawet powstana, zweryfikuje się życie. Nie można bowiem mnożyć bytów ponad rzeczywistość. Rozumiem jednak podtekst tego pytania. Nie ma przecież ani absolut-

niejszej działalności zawodowej i społecznej, by przez tę aktywność stworzyć ludziom możliwość poczucia własnej wartości, co jest istotnym motorem aktywności obywatelskiej. Na tym polega także nowe podejście do ruchu stowarzyszeniowego.

Trzeba zakładać dobrą wolę ludzi, chcących się stowarzyszać, ich zdrowy rozsądek. Nie można wszystkiego, co jest inne traktować podejrzliwie i nieufnie, uważać za wywrotowe.

— Mówimy teraz: aktywność, inicjatywa, otwarcie, pluralizm. To cieszy. To pięknie. A przeciwnik? Czy już wszyscy na świecie kochają komunizm? Czy nie ma antykomunistów?

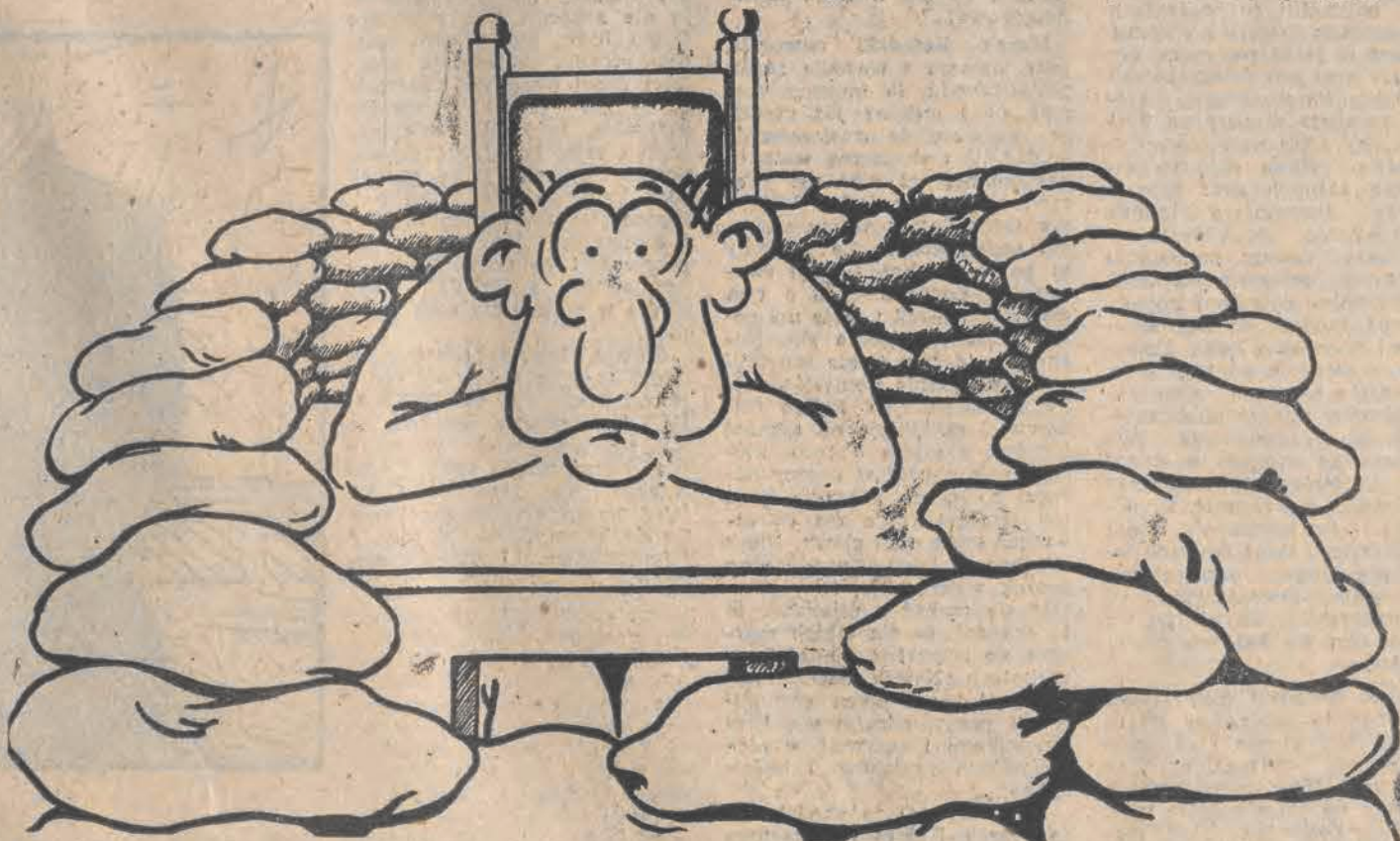
— Z przeciwnikiem trzeba walczyć metodami dostosowanymi do okoliczności. Inaczej z jego propagandą, inaczej z próbami terroryzmu. To chyba jest jasne i nie powinno budzić żadnych wątpliwości czy nieporozumień. Chodzi jednak o to, aby nie mylić wrogów z ludźmi, którzy chcą dobra Polski socjalistycznej tu i teraz, ale mają inne propozycje, chcą stosować inne metody. Trzeba umieć ich odróżnić.

— Przy pomocy jakiego kryterium?

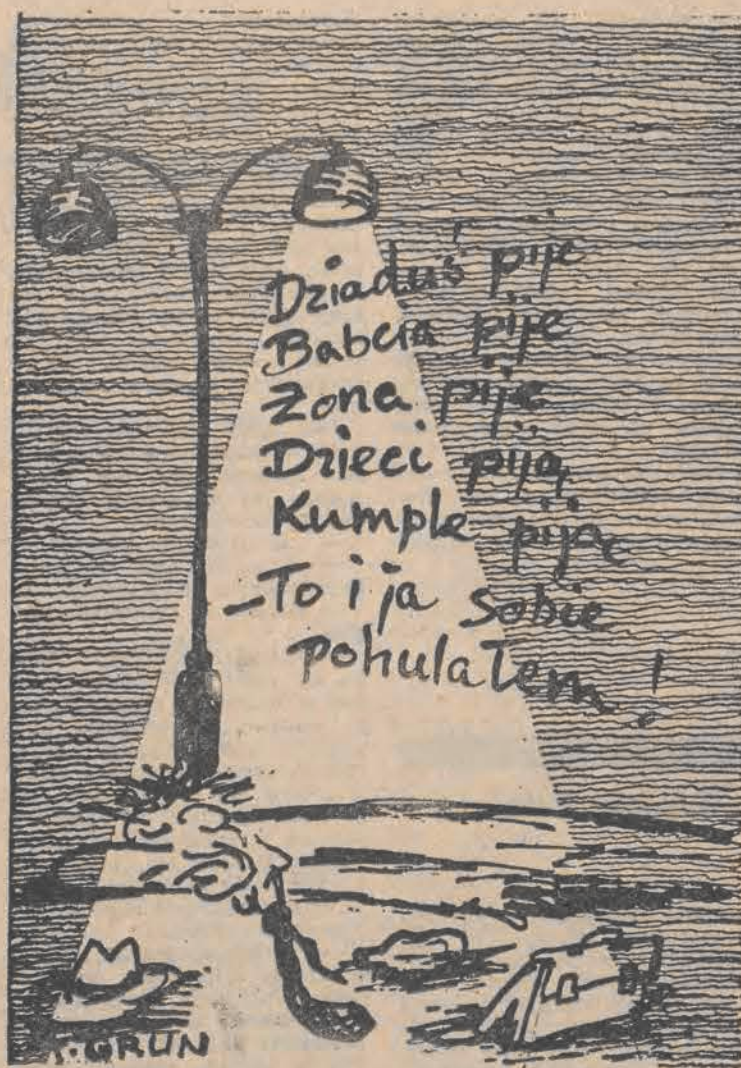
— Tym kryterium powinien być rozwój państwa i społeczeństwa. Wszyscy, którzy chcą działać na rzecz społeczeństwa, jego dobra, rozwoju i postępu, powinni mieć możliwość takiego działania.

— Jesteśmy na początku drogi. Trudno dziwić się ludziom, że są nieufni, że mają wątpliwości, że się boją na reformy, że nie rozumieją istoty proponowanych przeobrażeń. W końcu można wymyślić idealny model państwa socjalistycznego, ale sprawdzić się on musi w praktyce. A do praktyki jeszcze jakby daleko. Na początku mamy wypowiedzieć się w referendum, czy chcemy tych reform. Niektórzy namawiają nawet do tego, aby się nie wypowiadać.

— W sprawie referendum mam pogląd bardzo zdecydowany. Uważam, że udział w referendum jest obowiązkiem obywatelskim i powinien być



Rys. Stanisław Łuczyński



Rys. Andrzej Grun

"TORWAR" — 15 listopada 1987

Korek na agraſce

JOLANTA WRÓŃSKA

Dopadający się szkielet małego fiata roztrzaskanego o pień drzewa. Sześciopięć z sobą wrzucił dwóch fiatów, obok których samą samotną świeczkę. Obraz planuje śmierci zainscenizowany na sporej przestrzeni przed głównym wejściem "TORWARU" ma symbolizować, przypominać o skutkach picia wódki przez kierowców. Udekorowany samochodowymi wrakami plac na nim chyba nie robi wstrząsającego wrażenia. Wygląda trochę jak teatralna dekoracja przypięta do porzuconego wśród zwykłej ulicy pełnej zwykłych samochodów. Nie ma klasności na parkingu. Kilka autokarów, które przywiozły zorganizowane grupy, kilkadziesiąt samochodów osobowych. Nie więcej i nie mniej niż w czasie niedzielnej giedy czy il-gowego meczu. Sennie, niedzielnie.

Już od wejścia na halę bije w uszy łoskot głośników przenoszących znajomy głos...

— Kochani, jak to dobrze, że przyszliście, zamykamy, że jesteśmy przeciwni... walczy...

Przed jedenastą rano, w niedzielę 15 listopada 1987 roku, w Hall TORWARU jest kilkadziesiąt osób. Może czterysta, może pół tysiąca. U wejścia dziewczyna i chłopak z tacą. Każdemu wchodzić do wnętrza kawałek kórki nawlezionej na agraſce. Symbol aktualnej akcji Marka Kotańskiego pod hasłem "Pió albo być". Młodzieńczo energicznie zachęcają do brania kórki. Parę razy słyszę, że każdy powinien wziąć, żeby zamykano, a poza tym należy brać, bo oni muszą rozdać tych kórki jak najwięcej. Rozlicza ich.

Kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców zaangażowano do prac pomocniczych w czasie trwania imprezy. Będą roznosić tace z ciastkami wśród publiczności, będą kręcić się zaafektowani czyniąc wrażenie intensywnego ruchu w hall. Krąży wśród ludzi siedzących na krzesłach ustawionych na płycie różni młodzi ludzie rozdając najnowsze biuletyny informacyjne Stowarzyszenia Niepalących i Niepalących "Abstynencja", kseroodruki z blizną w oczach tytułem "Nowa Apokalipsa", pod którym widnieje prośbą Kasandry ujęte w mowie wziętą...

"Przez Kraj mój / Przez Kraj mój kochany / Gdzie bracia dziś milion się upił / Dźwięk idzie śmiertelny. Szklany / Jeździe cwałuje trupi..."

Paru sprytnych studentów znalazło też okazję do upłynienia zalegających zapasów różnych ucieszeniach piśmiennych, jak to nieaktualny "Informator Studentów" albo broszurka Akademickiego Związku Sportowego w nakładzie 2 tysiące egzemplarzy, a wszystkie rozbiórce ludność nie wiedząca co bierze do ręki.

Dekoracja nad sceną składa się z plansz z firmowymi nazwami rozmaitych trunków legalnych, jak POLONEZ, GORZKA ZOLADKOWA, WYBOROWA, oraz wynalazków, w rodzaju: PATYK, AUTOWIDOL, DENATURAT, i hasło MY-NIE! I jeszcze wielkie plachty płótna, na których każdy kto chce, może napisać jakieś hasło na temat. Ze "Trzeba stworzyć w Polsce wzór młodego Polaka niepalącego i niepalącego", albo, że "prez s produkcją alkoholu".

Nie bardzo można się zorientować kogo właściwie na Torwarze jest więcej, entuzjastów trzeźwości, którzy przyszli, bo przekonuje ich pomysł Marka Kotańskiego, niedzielnych gości, co trafil tu w ramach świątecznego spaceru z rodziną, zawsze to jakaś rozrywka, czy też najwięcej jest dziennikarzy i praktykantów-studentów, których redakcje wysłały na Torwar, żeby zdobywali ostrogi w zawodzie. Kilka ekip telewizyjnych różnych sieci filmuje niezbyt imponujący tłumek przed estradą, liczna świta towarzysząca zawsze pojawieniu się naszej telewizji, rozmaici, niesłychanie potrzebni pomocnicy od świateł, od nagłośnienia, od trzymania kabli. Dziennikarzy odróżnia od innych to, że latają z notesami albo magnetofonami między publicznością zadając przeważnie dwa standardowe pytania: co pan(i) sądzi na temat tej imprezy oraz czy to coś pomoże. Po dołączeniu się trzydziestu ośmiu dziennikarzy, tylu fotoreporterów, nie licząc pomocników, zaprzestaje inwentaryzacji sił dziennikarskich. Chyba jest ich po jednym na każdych pięciu widzów.

Mark Kotański mówi przez mikrofon, że zebrał się tu po to, żeby głośno i otwarcie powiedzieć, co myślimy i co czujemy. Włec przed estradą ustawia się długa kolejka tych, co chcą powiedzieć. Jest rozpacząca matka, której syn zamknął do więzienia za trzy

lata, za rozbój po pijanemu, a on taki dobry chłopak, tylko trafil na wrednych kolegow, co go namawiali do wódki, więc matka postuluje, żeby pogonić kota tym wszystkim kolegom spod budek z piwem i z meblin, to wtedy nie będą rozpijać porządnych synów. I student z Gorzowa krzycząc w emfazie, że powinniśmy pokazać światu, że my Polacy potrafimy. Ze możemy być wzorem, że nie pijemy w ogóle. Jakis starszy pan reprezentuje Ruch na rzecz Trzeźwości Świętego Maksymiliana Kolbe i chce, by każdy Polak zaangażował się w sprawę ostrzeżenia narodu. I jeszcze jakaś pani z Gliwic, z klubu "Nadzieja", która nie może mówić z wielkiego wzruszenia i płacze, aż wreszcie powie, że chciałaby, żebyśmy uchwiliłi chociaż trzy dni w miesiącu bez alkoholu.

Z estrady padają różne pomysły. Żeby sprzedawać alkohol wyłącznie za okazaniem dowodu osobistego. Żeby w ogóle i całkowicie zlikwidować w Polsce produkcję alkoholu wszelkiego rodzaju. Żeby wreszcie wyciąć w pień wszelkich melinarzy i żeby głośno w końcu powiedzieć, że większość melin może spokojnie prosperować, bo milicja ma z tego swoją dolę, przecież MO doskonale zna na swoim terenie wszystkie meły i trzeba skończyć z tym mriieniem oczu społeczeństwu.

Szybko ustala się na TORWARZE prawdziwość. Oklaski zrywają się tym burzliwie, im właśnie wygłaszany apel bliższy jest szowinistycznego bogocześnianego sapatu. Za Polaka, że Polacy, że Matki Polki pragną spokoju...

Chyba w niedobrym kierunku to idzie — słyszę z sąsiedniego krzesła — ta emfaza, ta hasłowatość, ten zapal stada, czy o to chodzi? — starza pani z niesmakiem krzyczy usta i w tym momencie zostaje napadnięta przez gromadkę pań.

Damy w futrach i przy brylantach widelce rzucają się na moją sąsiadkę, że guzik z tego rozumie, że przecież nikt jej nie smuszał, żeby tu przyszła i jak jej się nie podoba to może się wynieść. Damy w futrach reprezentują, jak mówią, społeczeństwo Zolborza, które ma już dość komunistycznego państwa, które świadomie rozpiera naród...

Do mikrofonu dochodzą pan z Warszawy i pani z Łodzi, mówią, że my tu protestujemy przeciw alkoholizmowi, a tymczasem w Zabkach zlikwidowano w tamtejszym szpitalu oddział odwykowy pozabawiając tym samym wielką część Warszawy jedynej tego typu placówki. I że jak tak dalej będzie wyglądała polityka państwa to niczego nie zrobimy z tą wódką. A meliny są nawet w szpitalach odwykowych i od personelu bez trudu można zawsze kupić pół litra.

Mark Kotański przedstawia jednego ze swoich przyjaciół z Węgier, który przyjechał specjalnie, żeby zaakcentować solidarność z pomysłem Marka i chce, żeby skończyła się tradycja powiedzonka, że "Polak Węgier dwa bratanki i do szabli, i do szklanki" i że by teraz było bez tej pijackiej wspólnoty. A jakiś pan, żeby uczcić imprezę na TORWARZE przyjechał do Warszawy sto kilometrów na rowerze... A jeszcze jeden pan symbolicznie wylewa przed kamerami TV pół litra "Gorzkiej Zoladkowej"...

Mark Kotański nawołuje, żeby walczyć z tragedią rozpływania narodu, że musimy walczyć, choć miliony już utraciły nadzieję, że w stworzenie MONARU i skuteczną walkę z narkomania też nikt nie wierzył, a przecież jest. Włec i my teraz dajmy wyraz naszemu sprzeciwowi. Ze jesteśmy tu po to, by każdy mógł swobodnie powiedzieć co o tym wszystkim myśli i jakie ma pomysły na zaradzenie zru. Kochani — dajmy siebie innym!!!

Clurka litania pomysłów, żeby wprowadzić w Polsce całkowitą prohibicję na alkohol i tytoś, z myślą o tych, którzy mogą popaść w szpony nalogu, bo ci co już pija są i tak straceni i nie ma co zwracać sobie nimi głowy. Niech zdechną. Jakis nawiedzony prorok wykrzykuje, żeby przestać się cackać z pijakami, że to skandal, że dla takich marnuje się lekarstwa i miejsca w szpitalach. Należy natychmiast stworzyć karne obozy przymusowej pracy, odrutowane i ze strażnikami i zamknąć w nich wszystkich pijaków. I będzie spokój...

Już wiem. O to chodzi. To, że Mark Kotański własnym nazwiskiem firmuje swoje pomysły, za to mu chwala. Mało

jest w Polsce ludzi publicznych, którzy mają tyle cywilnej odwagi, by otwarcie firmować swoje stanowisko, bez krycia się za anonimową instytucją. Włec dobrze, że Kotański mówi jasno — to mój pomysł. Dobry, albo zły, ale mój i ja wierzę w sens tego, co robie. Nawet gdyby wszyscy byli przeciwni temu co robi Marek Kotański wystarczy tylko MONAR, żeby ten człowiek miał swoją niemijającą zastępie. Ale jest i coś jeszcze. Impreza na TORWARZE dała tego jaskrawy przykład. Alkoholizm, rozpływające społeczeństwo — to fakty i jest w narodzie tego świadomość. Ale świadomość istnienia zagrożenia to nie to samo, co uświadomienie co do istoty zjawiska. Można powiedzieć, że w parze z poczuciem zagrożenia idzie urągająca wszystkim ślepotą społeczna co do mechanizmu choroby alkoholowej, jej tła społecznego, jej korzeni i realnych sposobów przeciwdziałania.

Na TORWARZE odbywał się HYDE PARK. Każdy mógł powiedzieć, co mu tam leży na wątrobie i absolutnie nic z tego nie wynika. Najbardziej mrozące krew pomysły zostały wypowiedziane z komfortową świadomością, że usłyszy to każdy, kto włączy II program telewizji. Działo się coś, co nazwałabym subtelną sztuką kanalizacji. Bezpiecznego upustu dla agresji, fanatyzmu, ciemnoty, która trzy dni wcześniej i jeszcze w sobotę, po prohibicyjnym piątku szturmowała sklepy z alkoholem w całym kraju. Ten sam tłum, odpowiednio nastrojeny raz urządził istne rzezie w kolejkach po wódkę, jak choćby w Łodzi przy ul. Lutomierskiej, a raz krzyczał patriotycznie, że trzeba skończyć z tym pijactwem.

Jeśli chodziło o to, żeby tłum się wyladował, a widzowie przed telewizorami mieli na kim skoncentrować swą agresję — to Marek Kotański odwalił kawał dobrej roboty. Wziął na siebie wszystkie te mordercze instynkty, którym dawał upust tłum przed sklepami.

Jeśli chodziło o rzeczywiste poruszenie społeczeństwa, by otrzaskać się z pijackiego snu — to tę i sto innych akcji można wyrzucić na smietnik. Kosztowała praca ekip telewizyjnych, kosztowały te ciastka i karmelki rozdawane ludziom, kosztowały dekoracje, kosztował czas, choć Marek Kotański wrzeszczał nierzmielnie przekupia na jednego człowieka, który chciał podważyć niczym nie znaczące zadowolenie z samego siebie Wielkiego Marka. Pokaz agresywnego chamsstwa, jakie pokazał Kotański, właściwie pokazał wszystko. Ma być silnie, mamy się wszyscy razem wspólnie walczyć i walczyć. I broń Boże żadnych sceptycznych uwag. Szkoda, że nie zaprosił Marka Kotańskiego ani jednego terapeuty pracującego z alkoholikami, że nie było nikogo z ruchu AA, że ani słowo nie padło o tym oświeconym i rosnącym zjawisku klubów abstynenckich dla alkoholików, o wspaniałej, sensownej i co najważniejsze — skutecznej robocie, jaka się dzieje cicho, bez fanfary i telewizji w miastach i miasteczkach. Szkoda, że Marek Kotański nie był w Łodzi 14 listopada, w sobotę, gdzie w ŁDK odbywała się feta z okazji i rocznicy powstania na Polesiu Abstynenckiego Klubu Wzajemnej Pomocy "META". Szkoda, że nie zobaczył tego wielkiego tłumy ludzi, którzy sami sobą potwierdzają skuteczność przyjętej drogi osłagania trzeźwości, że nie poczuł atmosfery przyjaźni, bliskości wzajemnej ludzi z całej Polski, którzy stanowią przecież tylko czubek góry lodowej. Oni tylko byli reprezentantami swoich klubów i środowisk. Nieliczeni tylko przyjechali do Łodzi, żeby z przyjaciółmi z "METY" być blisko w ważnej dla nich rocznicy.

Szkoda. Impreza sobotnia w Łodzi to było coś wielkiego i prawdziwego. A na TORWARZE było smutno. Smutno, bo lała się rzeka hasel, pustosłowia, historycznych apeli i nikt niczego nie rozumiał. I był fałsz, pozerstwo, przepychanie się do kamery, wielki pic z fotomontażem. I wielki niesmak.

Piaskowice wies zamożna; trudno się dziwić, że walka o ziemię toczy się na śmierć i życie. (1)

Wydziedziczenie

RYSZARD BINKOWSKI

Stara kobieta o wychudzonych rękach i przeczczonych, gładko przylegających do czaszki siwych włosach, lat 86, częściowo sparaliżowana, jest tak drobna i zasuszone, że nieomal ginie w zagłębieniu płytkiego fotelika. Z oczyma skierowanymi jakby w głąb, we wspomnienie, opowiada, jak to nie wolno jej było nigdzie wyjść i nikt nie mógł do niej przychodzić, a kiedy była chora, nie chłano wezwać do niej lekarza.

— Byłam po operacji — mówi — i miałam kłopoty ze stołcem, to jak wzięłam na przeczyszczenie, nie zdążyłam do ubikacji i trochę mi ukapło. Krzyczeli, że zaszłam im mieszkanie, zrobili mnie złodziejem i kuruję i padali, żeby składać pieniądze na pogrzeb, bo nie będą mnie mieli za co pochować.

Milknie z wyrazem beznadziei na twarzy, jakby już rzeczywiście miała umrzeć, gotowa po dożywociu do trumny. Bo jej sprawę znają już wszyscy. Zna ją sąd rejonowy, wojewódzki i Najwyższy Sąd Administracyjny, Radiokomitet i Ministerstwo Sprawiedliwości, kancelaria Sejmu, redakcje gazet, prokuratorzy, prezesi, sekretarze partii i prezydenci, NK ZSL w Warszawie i WK ZSL w Łodzi. I nikt przez kilkanaście lat nie potrafił naprawić błędów, jakie popełniła Marianna Smolarek. Bo jak się kogoś wydździczyło, i to dwukrotnie, to administracyjnie nie da się już tego ponoc odwrócić.

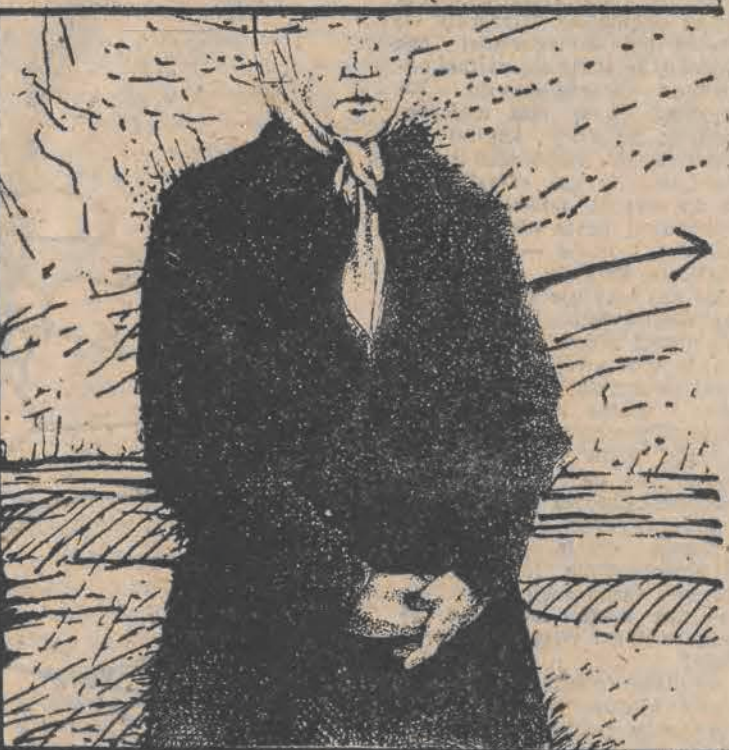
A nie nie zapowiadało, że dojdzie do takiej nędzy i upadłości człowieka. Bo też Piaskowice to nie jakieś ubogie zadupie, tylko zamożna wieś, która niebawem znajdzie się w granicach miasta. W październikowym słońcu las przybiera barwy jesieni, a w pobliżniach powietrzu majaczą sylwety wieżowców Zgierza. Siedzioba gminy też nie w zapadłej dziurze, tylko w Aleksandrowie Łódzkim.

Pod numerem 12 w Piaskowicach, z dala od asfaltowej drogi, niemal na wprost przystanku autobusowego, znajdowało się przed laty ładne drewniane obejście, z domkiem o wysokim dachu przesłoniętym koronami drzew w sadzie. A teraz w jednej ocalałej izbie leży na stole książeczka z napisem "Rachunek pogrzebowy". Bo 1 sierpnia 1965 r. zmarł w wieku 71 lat Bolesław Smolarek i Powszechna Spółdzielnia Pracy Usług Wielobranżowych wystawiła na nazwisko jego syna Mariana Smolarka rachunek w wysokości 1776,62 zł. Wtedy jakoś taniej i łatwiej było umierać, karawan kosztował 200 zł, tabliczka na grób 50 zł, ksiądz brał 400, a grobowy 350 zł. I jak babcia Smolarkowa popatrzy na ten rachunek, i pomyśli, że od tego się to wszystko zaczęło, głos jej staje się cieniutki i drżący, przypomina dźwięki pękniętej struny. Mówi, że chciała wysłuchać mszy świętej przez radio, lecz zięć wyłączył. Nie pozwolił córce rozmawiać z matką, a gdy stara się odezwała, córka ją karcila, bo jak zięć usłyszy, to znów będzie awantura. Kiedy wychodziła samowolnie, ostrzegali, że może nie wracać, bo nie wpiszcza jej do mieszkania. Prosiła przed świętami, żeby jej przywieźli księdza, to zięć uznał, że bez księdza też może umrzeć...

A przecież po śmierci męża Marianna Smolarek nie została sama na świecie. Córka, która po ojcu miała także na imię Bolesława, od 1945 r. mieszkała i pracowała w Zgierzu. Podobnie jak Jan Starzewski, za którego wyszła, pracownik Zakładu Energetycznego. Z matką pozostał ur. w 1930 r. w Piaskowicach syn Marian. Ożenił się w 1949 r. i odtąd wraz z małżonką Eugenią, później zaś także z dorosłym dzieć synem, pomagał matce w gospodarstwie. Bo w tej historii najważniejsza jest ziemia. Nie jakieś tam kulaćkie włości, lecz 2,66 ha gruntu pod miastem, a to się liczy.

Starzewscy nie inwestowali w gospodarstwo, choć z niego korzyścili, bo matka miała dobre serce i 4 stycznia 1969 r. spisała nieformalną umowę, na mocy której Starzewscy mogli uprawiać połowę ziemi. Bydunki były w kiepskim stanie, zarwał się dach na oborze, naprawić się nie dało, potrzebny był remont kapitalny. Marian Smolarek nie był właścicielem, toteż pożyczkę na remont mogła zadziąć matka, co też się stało w 1967 r. Ale to syn Marian przeprowadził remont i to on spłacał raty nie zadziżenie w wysokości 33 tys. zł w Banku Spółdzielczym w Aleksandrowie, na co ma złożone w specjalnej księżeczce kwity. Ma również kwity za płacony przez siebie podatek w latach 1966-1977.

Aby córka Bolesława nie czuła się pokrzywdzona, w kwietniu 1975 r. zawarto wobec świadków umowę, w myśl której Marian Smolarek miał spłacić siostrę Bolesławę zam. w Zgierzu z zabudowań mieszkalnych lub gospodarczych w wysokości 20 tys. zł. płatnych w ciągu 5 lat, aż do czasu spłaty całkowitej, przy czym siostra ma prawo korzystać z jednej izby mieszkalnej. Marian po-



ozuł się pewnie na gospodarce, uzyskał wydane przez UMŁ, ze stemplami i podpisami członków Państwowej Komisji Egzaminacyjnej świadectwo: wykwalifikowany rolnik, hodowca trzody chlewnej. Zaciągnął i spłacił kredyt na kupno macior, zwozi zlewki i suchy chleb i produkował wędzlinę. Według kwitów w 1976 r. odstawił 13 tuczników, w rok później 8 sztuk, a w 1980 r. jeszcze 5 sztuk, chociaż nie miał już warunków do hodowli.

No i nie zdążył spłacić siostry, bo niespodziewanie naszyły go inne wydatki. Nadawca i odbiorca przekazów pieniężnych mieszkali w Piaskowicach pod nr 12. Bo Marian Smolarek od maja 1975 r. do listopada 1976 r. przekazywał Mariannie Smolarek co miesiąc kwotę w wysokości 500 zł.

Kiedy babcia Smolarkowa spojrzyła teraz na ten zielony kasecik z napisem „renta dla Babeli”, wargi jej drżały, bo chciała wrócić do tamtych czasów. Babcia wstrzymuje oddech, lecz nie może powstrzymać cisnącej się na usta skargi. Była w mieście prawie półtora roku, zmuszał ją do obrządku przy naciągach, a gdy nie chciała, to od marca już z nią nie rozmawiali, nawet wnuk, syn zięcia, jakby jej nie znał.

— Gdy córki nie było — opowiada — zięć podał mi obiad, dośladam silnych boleści, prosiłam o lekarza, zięć zamknął się w drugim pokoju i nie udzielił mi pomocy. W blokach było mi bardzo duszno, jestem przyzwyczajona oddychać wiejskim powietrzem, a oni gotowali fupiny i kaszę, suszyli skóry z nurek i był okropny smród...

Ano, nie nie wskazywało, że obrócił się na złe. Bo w październiku 1978 r. instruktor Choroszkiewicz stwierdził w obecności świadków, że ziemię użytkują dwa małżeństwa. Smolarkowie uprawiają zboża, ziemniaki, warzywa, hodują drób i świnie, a Starzewscy uprawiają kapustę, ziemniaki, warzywa i mieszanki dla zwierząt futerkowych hodowanych w Zgierzu. Natomiast rok wcześniej specjalna komisja z WK ZSL stwierdziła, że Jan Starzewski postawił ule i uprawia od dwóch lat rośliny miododajne, nie troszcząc się specjalnie o ziemię.

Cóż więc stało się w tzw. międzyczasie? Otóż w kwietniu 1978 r. Marian i Eugenia Smolarkowie otrzymali akt własności ziemi o powierzchni 1,35 ha wraz z zabudowaniami, przy czym przyjęli oni osobistą odpowiedzialność za świadczenia objęte prawem dożywocia w wysokości 500 zł miesięcznie i inne świadczenia. Natomiast zamieszkałym w Zgierzu Starzewskimi Urząd Miasta i Gminy w Aleksandrowie przydzielił pozostałe 1,33 ha gruntu.

Alisi w październiku tego roku oba akty własności zostały uchylone, a w miesiąc później na podstawie decyzji Wojewódzkiej Komisji do spraw Uzasadnień Marianna Smolarek otrzymała akt własności na całe 2,68 ha gruntu.

Jeżeli w gospodarstwie pracuje syn, rolnik z kwalifikacjami, który ma największe prawo, i to w pierwszej kolejności, do uprawy ziemi, a właścicielka gospodarstwa czyni się 73-letnią nienależną kobietą, to jest to poważny błąd, który może doprowadzić później do tragedii. Chociaż, szczerze mówiąc, początek zła bierze się już od tych aktów własności wydanych przez Urząd Gminy. W tym miejscu bowiem zaczyna się walka o... 1 ar gruntu. Bolesława Starzewska żąda równej części, czyli 1,34 ha oraz drogi wjazdowej, Marian Smolarek zaś jest rozgoryczony, bo uważa, że podstępnie obciążono go dożywociem.

Skołatana matka chciałaaby wesprzeć przynajmniej Aleksandra, pisze więc 7 marca 1977 roku podanie do UMGM w Aleksandrowie z prośbą o sprzedaż swojej ziemi Józefowi Plakowi, który graniczy z jej polem, gdyż ona pragnie sobie zostawić tylko działkę siedliskową do 0,5 ha. Wcześniej jednak zięć Starzewski uzyskał od siostry za świadczenie, że hoduje pszczoły, ukończył kurs pszczelarski i 25 marca zawiązał babcię do Państwowego Biura Notarialnego w Łodzi. Notariusz uznał świadectwo wykwalifikowanego pszczelarza za dowód posiadania kwalifikacji rolniczych do prowadzenia gospodarstwa rolnego, w związku z czym spisał umowę, w której starsza Smolarkowa zapisała całe gospodarstwo zięciowi i córce za dożywocie utrzymanie.

Wydzielony syn, Marian Smolarek, stanął nad krawędzią przepaści. Bo co niedziela w Piaskowicach pojawiali się obcy, z którymi szwagier omawiał transakcje w sprawie sprzedaży gospodarstwa. Na dobre poczuł się zagrożony, gdy Starzewski w czerwcu zaczął rozbierać stodołę, gdzie Smolarek miał pasze, 7 tuczników i 2 loszki zarodowe. Rok temu nacelnik przyznał mu połowę gospodarstwa i zabudowania, on tu pracował i mieszkał, a teraz ma likwidować to, co od 1949 r. budował i rozwijał.

No i Smolarek wystąpił o unieważnienie tego nieszczonego aktu notarialnego, bo Starzewski nie posiadał przecież kwalifikacji rolniczych. Sad Rejonowy w Zgierzu dopiero w lutym 1979 r. unieważnił akt notarialny — umowę o dożywocie — zawarty między Marianną Smolarek i Bolesławą oraz Janem małżonkami Starzewskimi.

A tymczasem gospodarstwo podupadło i niszczyły budynki. Ponieważ Marianna znowu stała się właścicielką, zięć wycofał jakikolwiek cudem z gminy zaświadczenie, że pracuje na wsi i ponów w tygodniu tak on, jak i jego żona, uzyskali świadectwo wykwalifikowanego rolnika. Ludzie we wsi mruczą oko i mówią, że wszystko da się załatwić, bo na każdym szczeblu są tacy, co tylko czekają, żeby im wstała do kieszeni.

I tak w czerwcu 1979 r. w tym samym Biurze Notarialnym zawarto drugą umowę o dożywocie, o rocznej wartości dożywocia dla Smolarkowej w wysokości 12 tys. zł. W ten sposób Marian został ponownie wydzielony.

A co na to Smolarkowa? Podnosiła babcię z fotelika, przysuwała do stołu, ona zaś przygięta te wychudłe ręce do zapadłej twarzy i płacze. I mówi, że ona niepiśmienna, więc akt notarialny pewnie sfałszowany. Niepiśmienna, a są przecież jej pisemne oświadczenia, z jej ręki podpisanymi. Złorzeczy w nich na syna i synową, chce iść do córek w Zgierz.

Alie o tym, jak do tego doszło, jakie było dożywocie Babeli w bloku i co się stało z gospodarstwem — za tydzień.



Rys. Janusz Szymański-Głanc



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Mafia na Górniku (2)

Pan Turecki

ROMAN KUBIAK

Z gaskusza ciemnych interesów mafii Kulosa na światło dzienne wychodził tylko nieniczy, przeważnie drobniejsze kanty. Sprawy większego kalibru na zawsze pozostawały sekretami wąskiego grona zaufanych albo skutecznie wyciszały je sekate lapaśki chłopów szefa. Mimo milionowych zysków czerpanych z handlu dzinsowymi ciuchami, Kulosa nierzadko laszczy się także na klepskie okruczki. Szczególnie jeśli trafi mu się klient amator. Wtedy Kulosa dostaje malpiego rozumu i nie spocznie, póki gościa nie odrznie do skóry.

Bez wątpienia amatorem był pewien stateczny obywatel, który z wyprawą do Turcji przystąpił walizę dzinsowych kurtek na kożusku. Pan M. jest człowiekiem na stanowisku, toteż woli nie pokazywać się w towarzystwie bazarowych stacz. Niesie więc swe kurtki do komisji, lecz tam półki uginają się od podobnych delikcji. Chcąc szybko spieniężyć cały towar postanawia wejść w konspiracyjny z zawodowym handlarzem. Kraży między straganami Górnika namawiając tu-bylejów do intratnej spółki, ale choć każdemu kupcykowi o choczko błyskawia ślepi, żaden nie odważy się wkroczyć w kompetencje Kulosa czyli Pana Tureckiego. Pan M. trafia wreszcie przed jego oblicze i od ręki zawiera kontrakt. Za 9 kurtek męskich ma zgarnąć 225 tysięcy złotych. Przeszkolony w zasadach spekulancji konspiracyjki, M. zawozi towar do mieszkania córki szefa, forsę zaś odbierze za miesiąc. Tak przynajmniej sądził żyjąc przez cztery tygodnie nadzieją dobrego interesu...

Kulosa nie ma zwyczaju kryć się jak szczeniaki przed nalożeniem okrojonych klientów. Wchodząc na Górnika od strony ulicy Piotrkowskiej, Pana Tureckiego spotykamy po lewo obok pierwszego drewnianego kiosku. Tam zwykle urzęduje za turystycznym stołkiem, tam ma swój zakrzywiony gwóźdź wbity w ścianę kiosku, na którym zawieszona jedna dzinsowa kurtka, bo druga nosi na grzbiecie. Z tego miejsca wprawdzie steruje zgrają najemnych stacz, wydaje dyspozycje, rozdziela towar, zbiera utarg. Od czasu do czasu sam coś upchnie klientowi, ale raczej tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy.

Panu M., który terminowo zgłasza się po forsę, Kulosa puszcza starą melodię o tym, że milicja zwinęła wszystkie 9 kurteczek, na dodatek ostro wypytuje o nazwisko właściciela. Ale on, Kulosa jest rzecz jasna honorowy, więc wspólnika nie spycha. Próbuje M. błagać o swoje pieniądze plotąc kaganiec o uczciwości sumienia i sprawiedliwości, czyli czymś takim, za co nie dostanie tu złamanego grosza. Po tak drętwej mowie Pan Turecki odsyła go do pobliskiej komendy dzielnicowej, gdzie jest dobrze znany. Pan M. składa skargę. W takich okolicznościach rodzinna mafia idzie w naparę.

Ojciec bluźni na córki, córki na brata, brat na matkę, a wzięci na świadków stacze nigdy w ogóle nie słyszeli o jakimś Kulosie.

Skargi na mafie Corleone lawinowo spływają do Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź — Górna. Kilka udanych nalożów na bazar uszczupla nieco krociowe zyski rodzinki, lecz nie może jej przeproszyć. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę. W czerwcu 1986 roku Urząd Skarbowy wymierza handlarzowi podatki o łącznej sumie prawie 300 tysięcy złotych, choć wiadomo, że ręka prawa dotyka ledwie ochłapów dzinsowego biznesu. Dalsze systematyczne łapanki przynoszą podobne plony, sygnalizując wysokie grzywny. Ale Urząd Skarbowy ma poważne kłopoty z wyciągnięciem forsę od Kulosa i wyrozmianie rozkładu płatności na raty. Pan Turecki formalnie utrzymuje się bowiem ze skromniutkiej renty inwalidzkiej, a komornik nie znajduje w jego domu żadnych cenniejszych przedmiotów. Nie wolno także dobrać się do wytwornego Mercedesa Kulosa, ponieważ przeznaczone zarejestrowano go jako wóz inwalidzki.

W październiku 1986 roku Wydział Handlu coby żonie Pana Tureckiego zezwolenie na wykonywanie rzemiosła dziewiarzkiego i sprzedaż wyrobów z włóczki. Upada więc fasadowy stragan, którego rzeczywistym przeznaczeniem był handel przemycanym dzinsiem. Ta decyzja jest ciosem dla mafii. Na domiar złego pasmo klęsk odstrasza nieco współników, rwa się kanały przetrzutowe. Gwałtownie tonięjące dochody popychają szefa w wir nowych interesów. Teraz regularnie penetruje stołeczne targowiska przywożąc stamtąd transport chodliwych ciuchów. Obawiając się zbiorowej wpadki i rozbicia mafijnej siatki, załatwia rodzinne połączenia telefoniczne oraz montuje rezerwyne systemy ostrzegawcze. Chce mieć pewność, że w razie czego, towar i ludzie znikną bez śladu.

Jako osobnik niepiśmienny i ezasty bywał pokójów przesłuchań, Kulosa otacza się swymi doradcami i opiekunami. Wynajmuje ludzi do czytania urzędowych pism, opłaca osobistego adwokata. Zadaniem mecenasa jest błyskawiczne stawienie się na każde polecenie szefa, szczególnie gdy ten znów wpada z towarem i wędruje na przesłuchanie. Wtedy wytrawny prawnik przybijać do odsieczu jak lew walczy o swego hojnego pracodawcę.

Pan Turecki szybko odkrywa pożytki z adwokata czule zwanego Papuzą. Przy jego fachowym wsparciu postanawia dać nauczkę tropiącym gang milicjantom. W tym celu po kolejnych zatrzymaniach i spowiedziach w komendzie, oskarża funkcjonariuszy o branie łapówek albo o kradzież większej gotówki, przede wszystkim dolarów, które rzekomo miał przy sobie. Stosowne pisma składa wprost w prokuraturę, wiedząc, że oskarżenia oszczędzą

paskudne dochodzenia i nieprzyjemne wyjaśnianie zarzutów. Wyraźnie gra na zniechęcenie prześladowców. Jednocześnie stara się wykończyć uparte go dzielnicy, którego nie może przekupić ani zastraszyć. Dzielnicy jest twardy, depcze Kulosowi po jednej piędzi. Dlatego szef każe sporządzić plik wrednych donosów, które z pasją rozsyła do rozmaitych instytucji. Z anonimów wynika, że obywatel z dzinsownicy jest przebiegłym złodziejem, wyzyskiwaczem, bandzirem i gwałcicielem, toteż cała społeczność Górnika domaga się rychłej wymiany stróża prawa.

Własne donosicielstwo rodzi w Kulosie przekonanie, że sam jest permanentnie kablowany. Coraz częściej rzuca bezpodstawne podejrzenia na członków swej mafii, na których współników i niektóre postacie z bazarowego półświatka. To staje się jego obsesją. Wystarczy cię nieufności, by szef wysłał chłopów z zadaniem śledzenia kapusia. Bojówka korzysta z samochodów. Dorwawszy ofiarę, wciąga ją do bramy kamienicy i po ustytnym ogłoszeniu krótkiego wyroku sumienia wykonuje zleconą robotę. Drobniejszych podejrzanów załatwia brutalnym wtargnięciem do ich mieszkań oraz serią gróźb adresowanych do żon i dzieci. Skutkiem szczególnie obojętnie zbiorowych gwałtów na nieletnich córkach.

W toku dochodzenia Pan Turecki zasłania się zwolnieniami lekarskimi, aby bronić Boże nie składać zeznań, podczas których mógłby nieopatrznie coś chlapinąć. Doprowadzony przez milicjantów, pada na podłogę symulując atak serca, co łatwo demaskuje lekarz pogotowia ratunkowego. Chwilę później o zdrowienie wychodzi do ubikacji, skąd wraca bez pękatej torby, której wcześniej, nawet w trakcie umiejętnie odgrywanego ataku serca ani na moment nie wypuścił z rąk. Poszukiwania torby kończą się fiaskiem. Kulosa i dzinsowa mafia wyznają zasadę, że w sytuacjach zagrożenia lepiej pozbyć się dowodów rzeczowych, choćby niszczyć je. Świetnie czyni to zwłaszcza córka szefa, wielokrotnie drac na strzepy bardzo drogie ciuchy.

Upokorzony Kulosa knuje perfidną zemstę. Tym razem oskarża milicjantów o to, że pewnego pięknego dnia wywieźli go do ciemnego lasu, gdzie rzekomo przy użyciu siły i groźby mordowali go ze skromnej renty i rodzinnych oszczędności. Wieczorami Kulosa i jego chłopcy telefonują do mieszkańców oficerów milicji, zapowiadając krwawy ciąg dalszy zemsty.

Aby nie potęgować strat mafia musi zmienić metody działania. Ku zaskoczeniu rodzinnej Corleone odwiedza Urząd Skarbowy w celu dobrowolnego opodatkowania się od sprzedaży dzinsowych szmatek. Ale deklaruje jedynie drobne obroty na śmieśnię małe sumy. Uzykawszy kwit z pieczęcią handlarza wielokrotnie wykorzystują go jako alibi podczas przetrzutow i upłyniania większych partii towaru.

Częsta nieobecność Kulosa i krążące pogłoski o niechętym upupieniu mafii ośmielają bazarową konkurencję. Tu i ówdzie pojawiają się nieznanie wcześniej stacze z tureckimi ubrankami. Jest wśród nich Pani Magister, z zawodu chemik, a z prostego rachunku — handlarz. Ścisły umysł Pani Magister dowodzi bowiem, że jeden średnio pomyślny dzień na Górniku daje większy dochód

niż tydzień żmudnej pracy w laboratorium. Ale Kulosa nie szanuje cudzych rachunków, więc rozwścieczony samowolą skacze do gardeł konkurencji. Panią Magister poturbuje oświeście rekrutując jej cały towar.

Ofiarą rodzinnej pacy także nastoletni chłopak. Zdarzenie to opisuje następująco:

„Przyjechałem z Kola, żeby w Łodzi sprzedać trzy pary spodni dzinsowych, a za uzyskane pieniądze kupić turecką kurtkę w jasne plamy. Około godz. 12.30 na targowisku podszedł do mnie mężczyzna i okazał legitymację służbową MO. Poprosił moje dokumenty, więc dałem mu legitymację szkolną. Milicjant zatrzymał legitymację i kazał mi po nią przyjść do kamienicy. Nie wiedziałem, co mam robić. Wtedy podeszła kobieta, około 30 lat, ubrana w żółtą bluzkę i spodnie, a wraz z nią mężczyzna w średnim wieku. Zaczęli straszyć, że milicja 'ni wszystko zabierze, bo zawsze tak robi. Zapytałem, czy w takim razie mogę u nich przechować spodnie. Początkowo nie zgodzili się, ale później ugrzazili zgodę. Zostawiłem im te rzeczy, a mężczyzna miał je schować w samochodzie. Na komendzie byłam 15 minut. Kiedy urościłem, tamtych już nie było. Inni handlarze powiedzieli, że zabrali ich milicja. Potem przyszedł ten od samochodu i powiedział, że MO zabrala mój i jego towar, a dziewczynę przynęśli. Dobrze wiedziałem, że mnie okłamują, ale co miałem zrobić. Swoje straty oceniam na 59 tysięcy złotych”.

Początkujący stacze popełniają dziecinne błędy, które mafia wykorzystuje bez skrępowań. Na przykład obnoszą się z jedną sztuką towaru, podczas gdy reszta leży w zaparkowanym nie opodal samochodzie. Dlatego parkingi wokół Górnika są uważnie obserwowane przez gangi wyspecjalizowane w cichych włamaniach. Pod dobrą opieką jest natomiast towar zawodowców. Pilnują go handlarze i wartywianki albo babie kłozetowe. Rolę skryzys przetrzutowych znakomicie spełniają szatnie w pobliskich knajpach. Latami doskonałym systemem działa bezbłędnie. Ale...

Druzgocący cios spada na mafie we wrześniu 1987 roku. Po długotrwałych obserwacjach w zastawione sidła wpada młody Corleone. Do jego garażu trafia właśnie pokazny transport modnych, ocieplanych kurtek z Turcji, przygotowanych na handel przed sezonem zimowym. Lekko licząc towar ma wartość 2,5 miliona złotych. Właściciel garażu zdecydowanie wypiera się udziału w robocie, twierdząc, że ktoś złośliwy podrzucił mu owe ciuchy, prawdopodobnie wtedy, gdy zgubił klucze.

Echa wielkiej wyspy błyskawicznie rozchodzą się po Górniku. Stacze przynajmniej zakłady, że teraz wreszcie Kulosa zbastuje i jak niepiśmienny zwinie interes. Ale Pan Turecki po dawnemu rozkłada turystyczny stołek, na gwóźdź wieszając dzinsowy ciuch i daje sobie uciąć zdrową nogę, jeśli do niego nie odbije strat — z nieważką.

— I i knowu będzie wyjeżdżał, a pani sama pełna smutku i tęsknoty zaczęła się złościć na swój los.

Malgosia: — Myślę, że takie rozstania podgrzewają miłość, podnoszą jej temperaturę.

Czesio: — Ktoś kiedyś powiedział, że rozstania zbliżają. A ja staram się jak najbardziej zbliżyć do Malgosii i dlatego ciągle wyjeżdżam.

— Jak się zatem układa wasze współżycie? Czesio: — Malgosia mieszka oddzielnie i ja oddzielnie. A więc na razie jest wszystko w porządku.

— Czytelnicy „Odgłosów” mogą tłumaczyć to sobie opacznie i posadzą was, iż tworzyście jakiś układ partnerski.

Czesio: — Powiem więc jasno: jesteśmy małżeństwem i nie mamy nikogo poza sobą.

— Skoro każde z was mieszka osobno, to śmiesz przypuszczać, że posiadacie nie lada apartamenty. Pan Czesio zapewne jakieś własnościowe M-27, pani Malgosia może ciut większe...

Czesio: — Musi pan ująć z tego M-23.

Malgosia: — Mój apartament jest mniej więcej stumetrowy.

— A czego wspólnie dorobiliście się?

Czesio: — Kilku donosów do mojej małżonki o mojej niewierności, gdyż czasami widuję inną z panią Malgosią.

Malgosia: — Dorobiłam się paru znakomitych piosenek napisanych przez Czesława Majewskiego. I paru listów z ostrzeżeniami, że pan Czesio jest pospolitym bigamistą.

gram Brahmsa czy Chopina. Po 1970 roku przeniósł się do Warszawy i tu zaczęła się moja współpraca z teatrami. Najpierw był „Teatr na Targówku”, który wspólnie z Marianną Jonkajtisem i Włodkiem Korczem — także łodzianinem — stworzyliśmy. Był to w założeniu teatr muzyczno-estradowy, jedyny wówczas w stolicy tego typu. Przez cztery lata ten kierunek był utrzymywany. Potem profil jego zaczął się zmieniać w kierunku teatru dramatycznego, co nie bardzo mi odpowiadało. Wówczas rozpocząłem współpracę z Olgą Lipińską w teatrze „Komedia”. I wtedy też zaczęła się moja współpraca z „Kabaretem Olgi Lipińskiej”. A od sześciu lat — jestem w „Syrenie”.

— Kiedy poznał pan panią Malgosię?

Czesio: — To było tak: ujrzałem — byleki — zakochałem się.

Malgosia: — Naprawdę to w teatrze „Syrena”. Pierwszą piosenką w życiu, jaką tu zaśpiewałam, była „Co ja poradzę, że jestem taka ładna”. To była piosenka pana Czesia.

— A więc miłość od pierwszego wejrzenia? Malgosia: — Najpierw był interes: piosenka przez Czesia napisana, no a potem miłość.

Czesio: — Jak to dziewczyna... Wracam do swego życiorysu artystycznego. Chyba w 1983 roku Nina Terentiew z II programu tv zaproponowała nam takie dwie postaci: panią Malgosię i pana Czesia.

Malgosia: — Muszę wyjaśnić dlaczego Malgosia. Otóż w pierwszym programie Nina Terentiew wchodziła do studia i co nieco wyjaśniała. A więc musieliśmy się zwracać do siebie „pani Nino” — „pani Nino”, co byłoby niezręczne. Ninę Terentiew znano już z tele-

Czesio: — Malgosia nie ma wad, poza jedną: nie powinna pracować.

— A pańskie poczucie męskości, dominacji, siły już nie ma znaczenia?

Czesio: — Ja wypowiadałem się i to ostro, co przynosi mi wyraźną ulgę. To wystarczy.

— Proszę państwa, zbliża się Choinka, taki wieczór Polacy spędzają w gronie rodzinnym, że nie wspomnę o prezentach, jakie kładą dla najbliższych pod drzewkiem wigilijnym. Jak to będzie wyglądało u was?

Czesio: — My spotkamy się na jakimś placu pod ustawioną tam choinką i tam położymy dla siebie prezenty.

— Co otrzyma od pana pani Malgosia?

Czesio: — Będzie to dla niej niespodzianka. Powiem panu prywatnie i na ucho: jeszcze nie wiem, co jej dać. Myślę, że to problem wszystkich mężów. Utało się u nas dawanie prezentów praktycznych.

— Może coś do kuchni? Podpowiem panu: są znakomite deseczki do krawiania warzyw i do tego dość drogie, w granicach stu złotych albo ciut droższe...

Czesio: — To jest pomysł: skromny, praktyczny i drogi.

— A pani, Malgosiu? Co pani kupi panu Czesiowi?

Malgosia: — W czasie naszej wspólnej podróży za granicę wybrałam dla Czesia garnitur, za który on zapłacił. Myślę, że to dobry prezent pod choinkę.

— Mimo to pan Czesio będzie szukał w śniegu pod choinką dowodu miłości pani o nim.

Malgosia: — Już wiem! Wideokaseta! Przecież prowadzę video butik. Będzie to kaseta wypożyczona, a kiedy już ją sobie obejrzy, to przyjdzie i wymieni na inną.

— Rozmawiając z państwem dochodzę do wniosku, że wasz związek przeżywa wszystkie burze małżeńskie i do rozwodu nigdy nie dojdzie.

Czesio: — Zamierzona przez nas separacja bardzo nam służy. Nie ma u nas problemów, jakie są udziałem wszystkich innych małżeństw.

— Więc pan nawet nie wie, czy pani Malgosia dobrze gotuje?

Czesio: — Może to i dobrze, że nie wiem.

Malgosia: — Ja naprawdę nie umiem gotować, ale Czesio jeszcze o tym nie wie.

Czesio: — Ja potrafię przyrządzić jajka na miękko, na twardo, jajecznicę, zaparzyć herbatę i kawę.

— Ho, ho, aż pięć potraw! Tadeusz Pluchalski przynajmniej się, że nie przypała nawet wodę na herbatę.

Czesio: — Wody nie przypalam, ale kilka czajników już spaliłem.

— Zapomniałem zapytać o ważną rzecz: czy macie państwo samochody?

Malgosia: — Każdy ma swój. Ja — luksusowego „malucha”, a Czesio nie mniej luksusowego, wysłuszonego dużego fiata.

— Kto jest lepszym kierowcą?

Malgosia: — Czesio, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Nie tak dawno zamierzałam reklamować swego malucha, gdyż okazało się, że nie ma on chłodnicy...

— Dlaczego więc pan Czesio nie podkładał pnia?

Czesio: — Kiedy się spotykamy, to mamy sobie tyle do powiedzenia, iż na nic już nie zostaje czasu. Zdarza się, że Malgosia musi mnie gdzieś podwieźć. Kończy się to tym, że wysiadając całąje ziemię, Malgosia bardzo lubi rozmawiać w czasie jazdy, a jeszcze bardziej gestykulować. Wygląda to tak, że kierowca sobie, a Malgosia sobie.

Malgosia: — Przed teatrem koledy są tak uprzejmi, że nawet nie starają się ustawić swoich samochodów obok mojego. Szczególnie ci, którzy mają nowe i drogie auta.

— Proszę państwa, osobicie jestem za stworzeniem przez was typem małżeństwa. Biorąc jednak pod uwagę rozwój demograficzny kraju, zaczynam się obawiać, czy państwo to rodzinę np. 2 + 1 lub 2 + 2 potraficie stworzyć.

Czesio: — Stworzymy. Korespondencyjnie. Myślę, że stanie się to w 1990 roku.

— Co to będzie: dziewczynka czy chłopiec?

Czesio: — Ja dziewczynkę, Malgosia chłopca. Albo odwrotnie. Każde z nas będzie miało swoje dziecko.

— Proszę o szczegóły o tym korespondencyjnym powiększeniu rodziny.

Czesio: — Jeszcze tego nie próbowałem. Ale niedługo poczta wprowadzi superszybkie przesyłki listowe. Skorzystamy z tego. Myślę, że to będzie list polecony.

— I każde z was będzie oddzielnie wychowywać swoje dziecko?

Czesio: — Będziemy je wymieniać, gdyż dzieci muszą znać oboje rodziców.

— Czy tego typu postępowanie nie wzbudza wśród waszych kolegów zaskakowania?

Czesio: — Mam już oferty, by swoje doświadczenia przekazywać innym, bowiem część kolegów chciałaby u siebie wprowadzić tego typu układy.

— A sprawa teściów?

Czesio: — Teściowie między sobą się nie znają, ale my znamy teściów: ja swoich rodziców, ona swoich. To jest wspaniałe, a zarazem praktyczne.

— Proszę państwa, a starość? Jak zamierzacie w nią wejść?

Czesio: — Ja chcę wejść łagodnie, mam już miękkie pantofle.

Malgosia: — Miłość nie pozwoli nam się zestarzeć. Bo my proszę pana, kochamy się nad życie.

Czesio: — Nad całe nasze życie!

— Zazdrościsz tego wielkiego uczucia i dziękuję za rozmowę.

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Zapytaliśmy WITOLDA FILLERA

redaktora naczelnego tygodnika „Szpilki” i dyrektora Teatru Syrena, co sądzi o upowszechnianiu kultury, i czy zna kogoś, kto zasługiwałby na naszą doroczną nagrodę.

— Upowszechnianie kultury rozumiem dość tradycyjnie, a ten tradycyjizm może dlatego dziś jest w cenie, że w ostatnich latach obserwujemy przerażający zanik tych form, które lat temu dziesięć wypracowaliśmy, i co do których byliśmy pewni, iż weszły one na dobre w krwioobieg naszego życia społecznego. Potem pod presją wydarzeń, przede wszystkim strukturalno-ekonomicznych, cały ten system propagandy kultury i handlu kulturą okazał się dość powierzchowny i stanął w obliczu sytuacji, że kultura jest, odbiorcy są, a transmisji nie ma. Dlatego mówiąc o upowszechnianiu kultury stale wdycham do tych czasów, kiedy były zespoły amatorskie, kiedy były domy kultury prowadzące rzeczysławia i energiczną akcję pośrednictwa bez dużych dotacji. Muszę powiedzieć, iż prowadzę teatr, który dość dużo jeździ po Polsce — a może jeździć dzięki temu, że jeździ na zasadach komercyjnych, ponieważ jest sprzedajny, to znaczy, nie gramy przy pustej sali — i w tej Polsce stąkam się w większości z ludźmi, którzy znakomicie potrafią tę kulturę „sprzedawać”. Niestety, tych ludzi jakos publicznie „nie widać”, pozostają anonimowi, choć to właśnie oni są tymi, których należy zakwalifikować do miana „upowszechniaczy kultury”.

— Chętnie dowiem się czegoś bliższego o tych animatorach życia kulturalnego z tzw. terenu, czy jak chce opinia, z prowincji. Może zatem poda pan przykład takiego człowieka...

— Proszę pana, szczególnym punktem na mapie Polski, który mocno wbił mi się w pamięć, jest Rybnik i Rybnicki Dom Kultury oraz jego szef dyrektor WOJCIECH BRONOWSKI, który nie tylko, że sprowadza do swojego domu kultury teatry z całej Polski, nie tylko, że organizuje sympozja i pokazy filmowe, ale co jeszcze urządził wspaniałą Jesień Poetycką, na którą przyjeżdżają poeci z całej Polski, ze wszystkich regionów kraju. Tam ludzie już się do tych imprez przyzwyczaili i nie trzeba tam robić sztucznej frekwencji.

Myślę, że jest to właśnie upowszechnianie kultury. Mój teatr był tam już kilka razy z bardzo różnym repertuarem i mieliśmy te fragmenty, że kiedyś uczestnicząc w inauguracji tej poetyckiej imprezy, nagle mogliśmy zobaczyć czołowych poetów i pisarzy i mogliśmy z nimi porozmawiać. Tak więc byliśmy zadowoleni z poetów, a poeci z nas. Myślę, że to co się dzieje w tym Rybnickim Domu Kultury zasługuje na pełne uznanie.

— A teatr w znaczeniu bardzo szerokim, także jest placówką upowszechniającą kulturę? Jak pan to ocenia?

— Nie jestem dobrym rozmówcą, a jak już powiedziałem, prowadzę teatr komercyjny, który nie troszczy się o widza, bo ma go w nadmiarze, teatr, który handluje śmiechem, radością, żartobliwą refleksją, a więc nie jest to upowszechnianie szerszych wartości, wymagających zadumy, skupienia i ciszy. Wyznamy swoje miejsce w szeregu, uważamy, że nie jest złe, ale nie jesteśmy na tyle zarozumiali, żebyśmy stali na stołowniku, iż Jurandot jest większym pisarzem od Szekspira. Dlatego nie wiem jak to wygląda gdzie indziej, wiem natomiast jak to wygląda u mnie.

— A upowszechnianie poprzez wystawy? Mam na myśli dość liczne wystawy karykatury w budynku redakcji „Szpilek”...

— Jestem zdania, że rozrywce jest teraz łatwiej, z czego korzystają różni hochsztaplerzy, a łatwiej jest dlatego, iż jest ogromne na nią zapotrzebowanie. Im większe kłopoty, zwłaszcza materialne, tym bardziej widzę się znakomity zabawy. W końcu rysunek satyryczny jest jakąś formą zabawy, a równocześnie posiada nośnik wychowawczy. Pracując w tej dziedzinie uważam przede wszystkim, że główną rzeczą, która mnie interesuje, i którą staram się w moich przedstawieniach i w moim piśmie realizować, to jest odpowiadanie na zapotrzebowanie czytelnika czy widza. A współczesnego człowieka — jak zawsze zresztą — interesują dwie rzeczy: seks i polityka. Z seksem mamy więcej kłopotów, z polityką są kłopoty inne, ale handlujemy tym towarem i to się ludzdomi podobą.

Wspomniał pan o wystawach, które są także pewną formą upowszechniania kultury. W tej chwili nawiązałyśmy kontakty międzynarodowe pod hasłem „Satyrycy wszystkich krajów łączcie się”. W tym roku mieliśmy już trzy wystawy za granicą: w ZSRR, Jugosławii i we Włoszech. W przyszłym mamy włoską i szwajcarską wystawę w „Szpilekach”. Obecnie szukamy wystawę u siebie „Krokodyla” i czeskiego „Dikobraza”. Ale nie mamy poczucia, że coś upowszechniamy. Po prostu robimy to, co uważamy za słusne.

— Czy nie sądzi pan zatem, że w Polsce upowszechnianie kultury jakby nie istnieje?

— Nie istnieje, ponieważ nie ma prawdopodobnie funduszy. Niedługo tym zajmowały się wielkie zakłady pracy, które teraz skąpią i wolą pieniądże przeznaczać albo na potrzeby bytowe swoich pracowników, albo w ostateczności na sport. Ech, gdyby bodaj cząstka tych funduszy, które idą na koszarne piłkarstwo polskie trafiła do kultury, na jej upowszechnianie, to nie byłoby o czym nam dziś rozmawiać.

— A jednak rozmawialiśmy, za co panu dziękuję.

Rozmawiał:

EUGENIUSZ IWANICKI

Piękni i wspaniali

Rozmowa z panią MALGOSIĄ i panem CZESIEM, małżeństwem z telewizyjnej audycji „Piękni i wspaniali”.

— A wspólne dzieci?

Czesio: — Owszem, każdy ma swoje.

Malgosia: — Myślę, że moja Iza jest trochę podobna do Czesia...

— Nie sądzicie, że być może jest to recepta na współczesne małżeństwo?

Czesio: — Właśnie próbujemy taką receptę znaleźć. Jeżeli się to sprawdzi, to ją upowszechnimy. Za darmo.

— Pani Malgosiu proszę powiedzieć coś o sobie jako o aktorce?

Malgosia: — Na razie moje aktorstwo w tv ograniczyło się do roli Malgosii. W teatrze — gram sporo. Boję się jednak, by do końca życia nie utożsamiano mnie z panią Malgosią.

— Wiem, że są nagrywane kolejne odcinki „Pięknych i wspaniałych”...

Malgosia: — Cztery czekają na emisję. A potem będziemy to ciągnąć dopóki się da. Oprócz tv i teatru śpiewam na estradzie, prowadzę konferansjerkę. Trzy czwarte śpiewania przeze mnie piosenek skomponował Czesław Majewski.

— A jak odbiera pani publiczność w teatrze i na estradzie: czy jako Ninę Gocławską czy jest pani nadal Malgosią?

Malgosia: — Dotąd byłam Malgosią. Ale zdarza się, że zwracają się do mnie per „pani Nino”, co świadczy, że nie wszyscy utożsamiają mnie z okienkiem tv.

— A listy? Czy przychodzą wtedy, gdy pani publicznie tęskni za tym obywatelstwem panem Czesiem?

Malgosia: — Wiele listów. Jakaś praktyczna pani napisała mi bardzo serio, że „jesteś młoda, głupia i powinnaś się zastanowić, Amerykanin to Amerykanin, a ten cały Czesio... Jak ci się, dziecko, woda w uszy naleje, to się nauczysz dopiero życia!”. Myślę, że taka wymyślona historia jak nasza, może zdarzyć się w życiu, że nasze perypetie znajdują odbicie w rzeczywistości...

— A nie było listów, w których ktoś życzyłby wam więcej takich: „Kochana, my pana Czesia znamy z kabaretu Olgi Lipińskiej i mówiąc między nami, jaki tam z niego mężczyzna? To, pożałujcie Bóg, trzecia pleść”.

Malgosia: — Nie, takich listów nie było. Myślę, że w kabarecie on to robił tak śmiesznie, a przy tym tak delikatnie, że traktowano go z przyzwyczajeniem.

— Panie Czesławie, jest pan łodzianinem z krwi i kości...

Czesio: — I z serca. Urodziłem się na Brackiej w obecnym osiedlu Władysław Bytomskiej. W Łodzi ukończyłem liceum muzyczne, potem Wyższą Szkołę Muzyczną. Będąc na studiach już pracowałem w orkiestrze Henryka Debicha, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się z muzyką rozrywkową. Na studiach uczyłem Bacha, Beethovena, Mozarta i Chopina. A tu od razu muzyka mniej poważna, przez wielu uważana za gorszą. Ale dziś myślę, że ci co tak sądzą, nie mają racji. Każda muzyka dzieli się na złą i dobrą.

Malgosia: — Czesio nie chce się chwalić, ale kiedy byliśmy razem z Violetta Villas w USA, odniósł tam autentyczny sukces, kiedy w Carnegie Hall zagrał Gershwin. Publiczność skandowała i klasowała na stojąco. Cieszyłam się, jakby to był mój prywatny sukces. Zapewniam, że był to sukces przez duże S.

— Myślę, że pan Czesio nie powiedział tak, że o czymś jeszcze: Mozart i Beethoven nie zarabiali na swojej muzyce tyle, ile dziś zarabia kompozytor muzyki rozrywkowej.

Malgosia: — Pan Czesio jest dziś w tej samej sytuacji, co klasycy w swoim czasie.

— Jestem przekonany, że jest akurat odwrotnie.

Czesio: — Zarobki kompozytorów muzyki rozrywkowej są owiane legendą. To nie są bajoniskie sumy i żyjemy jak większość obywateli PRL.

— Sprawa pieniędzy, to był tzw. wtór. Wracam do artystycznego curriculum vitae pana Czesia.

Czesio: — Przez siedem lat pracowałem w orkiestrze Henryka Debicha. U początków mojej drogi artystycznej zadecydowałem, że poświęcę się muzyce mniej poważnej. Nie oznacza to, iż przestała mnie fascynować i zachwycać muzyka klasyczna. Gdy tylko mogę, chętnie

wizji, mnie jeszcze nie. Tak więc łatwiej było mnie przechodzić niż ją. Tak narodziła się Malgosia.

— Pan Czesio pojawił się w życiu pani Malgosii zaraz od pierwszego programu?

Malgosia: — Od trzeciego. Muszę tu jednak powiedzieć co następuje: tak szybko robionego programu chyba jeszcze nie było. To zupełnie wariackie tempo. Dziesięć stron maszynopisu należało wymsiać z tygodnia na tydzień, potem to napisać, opracować jakieś story, no i nauczyć się tego. Na ogół otrzymywaliśmy studio do nagrań na 2-3 godziny, co jest bardzo mało. Nie ma czasu na żadne powtórki, wszystko wtedy szło „na żywo”.

Czesio: — Tekst w ostatecznej wersji był zazwyczaj gotowy wieczorem poprzedzającym dzień nagrań. Uczyć się trzeba było w nocy, a to przecież dziewczęta stroni!

Malgosia: — Dla mnie, była to jednak szansa, której nie mogłam stracić. Te programy nauczyły mnie pełnej mobilizacji i nieoszukiwania. Kamera jest bezlitosna i wszystko wychwyty.

— Panie Czesiu, co może pan powiedzieć o współpracy ze swoją telewizyjną małżonką?

Czesio: — Współpraca jest, bo skoro mieszkamy oddzielnie, to przynajmniej spotykamy się przy pracy. Malgosia jest „dziewczyną” uroczą i gdyby nie to, nie byłibyśmy razem. Muszę także parę słów powiedzieć o jej talencie: otóż w jednym z programów jej gościem był zespół „Kombi”. Musiała więc w ciągu jednej nocy nauczyć się około sześćdziesięciu nazw różnych instrumentów muzycznych, wzmacniaczy itp. Do tego w języku obcym. Jak ona to opowiadała, nie mam pojęcia. W każdym razie zrobiła to świetnie i ani razu się nie pomyliła.

— O czym będą następne odcinki „Pięknych i wspaniałych”, których emisję zapowiedziała telewizja?

Czesio: — My nie wiemy, kiedy będą emitowane.

Malgosia: — Forma ta sama, lecz w innym opakowaniu.

Czesio: — Po pierwsze. Malgosia i ja już jesteśmy w innym stanie cywilnym. Jeden odcinek dzieje się w mieszkaniu, które pragniemy wynająć jako małżeństwo. Następnie — w video butik, gdzie Malgosia wypożycza wideokasety.

— Kto pani załatwił ten butik?

Malgosia: — Sama, poprzez tego Amerykanina. Niestety, mąż na to nie wyraża zgody.

Czesio: — Nie wyrażam. Uważam, że żona winna siedzieć w domu, a ja winienem zarobić na nią i na utrzymanie rodziny. Na tym tle zaczynają się różne nasze perypetie.

— Ma pan do żony pretensje, że zarabiała?

Czesio: — Mam. Otworzyła interes bez mojej wiedzy. Moja ambicja przez to jest mocno urażona. Czuję się mniej wartościowy...

— Niestety, pańska rola staje się „dwuznaczna: jest pan utrzymankiem, gorzej, pasożytem na barkach ciężko pracującej kobiety.

Czesio: — Dlatego się oburzam.

— Mimo to korzysta pan z efektów handlowych małżonki.

Czesio: — Jeszcze nie korzystałem.

Malgosia: — Zarobki ciułam tymczasem dla siebie.

Czesio: — Widzi pan, nie dość, że mamy oddzielne mieszkania, to mamy także oddzielne kasy.

— Jak się pracuje w tym butik? Kto pani tam odwiedza?

Malgosia: — Do tej pory odwiedził mnie Andrzej Kopciński, ciocia Krystyna Królówna, która przyjechała po przebytej operacji plastycznej...

— Czy nie namawia ciocią by zostawiła pani tego Czesia, a połączyła się z jej amerykańskim siostrzeńcem?

Malgosia: — Nie, bo ciocia właśnie przekonuje się do Czesia i raczej sądzi, że to że mną nie jest wszystko w porządku, więc wysłała mnie do psychoanalityka. Resztę proszę obejrzeć w programie „Piękni i wspaniali”.

— Jak tolerujecie wzajemne wady?

Malgosia: — Na razie nie oglądam się za innymi mężczyznami, ale pragnę być sobą, a nie jakimś garkotłukiem. A że zrzędził? To co, ja robię swoje.

Rozmawiał, ręce pani Malgosii całował, a pana Czesia prawie uściśnął

EUGENIUSZ IWANICKI



Ruch w „RUCH-u”

Spojrzenie z kiosku

ANDRZEJ KAROLCZAK



Kiosk „Ruch” jaki jest — każdy widzi. Tak napisalbym, gdybym nie bał się banału i sztampy. Ale rzeczywistość: każdy widzi. Każdy, choć raz dziennie, kupując poranną gazetę, bywa klientem „Ruchu”. I widzi — ciśniecie kiosków, zaprojektowanych przed laty na punkty sprzedaży gazet i papierosów. Tymczasem stały się one sklepami wielobranżowymi. Kupisz tu proszek do prania i wodę kolońską, zeszyt, ołówek, krawat, pasek do spodni, zabawkę i przerzuty, książki i reprodukcje malarstwa.

Kioski jakie są, widzimy. Widzimy z naszej strony, kiedy podajemy „dobre” za bilety na tramwaj. Widzimy „od ulicy”. Spróbujmy popatrzeć z tamtej strony, ze strony oszklonej klatki, w której od błędnego światła siedzi sprzedawca.

Salon

Używamy słowa „salon” z pełną premedytacją. W porównaniu z kioskami sklep „Ruch” w przejściu podziemnym na skrzyżowaniu Piotrkowskiej z aleją Mickiewicza jest rzeczywiście salonem. No, prawie salonem. Oficjalnie nosi dumne miano „punkt sprzedaży nr 126”. Duża lada, obłożona prasą krajową i zagraniczną, reprodukcje Matejki i Rembrandta, gabloty z najróżniejszymi, proszę wybaczyć słowo „dupelami” jak w jakimś prywatnym sklepiku z wszelkim dekoracyjnym chłamem.

Kiedy przedstawiam się Bożenie Miasek, sprzedawczyni, która akurat dyktuje i mówi, że chce napisać o pracy ru-

chowskich sprzedawców, słyszę najpierw:

— Niech pan koniecznie napisze, że to bardzo ciężka praca.

Tyle to ja też wiem. Jeszcze nie spotkałem człowieka, który pochwaliby się lekką pracą. Nie tylko górnik i budowlanek, nie tylko kierowca i pielęgniarz. Urzędnik też nie ma lekko ani kontroler z PIH-u... Pani Miasek na pewno wie, co mówi. Pracuje jako sprzedawczyni w „Ruchu” już 25 lat.

Salon pod „Centralem” obsługują cztery osoby: wymieniona Bożena Miasek, Konstancja Michałowska i małżeństwo Barbara i Józef Jentszowie. Pan Józef, jako jedyny mężczyzna w tym zespole jest jego nieoficjalnym szefem. Nieoficjalnym, bowiem w punktach sprzedaży „Ruch” kierowników nie ma. Józef Jentsz najmniej daje się zauważyć za ladą — biega do dyrekcji, walczy jak lew o zaopatrzenie, reprezentuje „firmę” na zewnątrz...

Pracujemy na zmiany od pół do szóstej rano do siódmej wieczór. To są godziny otwarcia. Tak naprawdę, zaczynamy pracę o pół godziny wcześniej a kończymy też sporo później. Trzeba przyjąć towar, trzeba zrobić codzienny bilans kasowy — mówi pan Józef. — Trzeba przyznać, że mamy mniejsze kłopoty zaopatrzeniowe niż inni nasi koledzy: szczególne położenie naszego punktu, jego niemały reprezentacyjny charakter i wielkość predysponują nas do lepszego zaopatrzenia ale i do... cięższej pracy. Jak widać, koleśka u nas prawie nigdy nie małego. Łódzianie i cała masa przyjeźdźców. Po za-

kupach w Centrum wpada się do nas. Po eleganckim prezent na przykład. A reprodukcja dzieła znanego malarza to rzecz elegancka. Przy okazji można kupić coś z kosmetyków, papierosy.

Filia „Centralu”

Z pobieżnych obserwacji wynika, że klientela Józefa Jentsza i jego „załogi” to klientela „Centralu”. Gazetę sprzedaje się tu mniej niż w innych kioskach „Ruch” — przyjeźdźni nie są zainteresowani łódzką prasą. Sprzedaje się sporo reprodukcji. Natomiast w wolne soboty i niedziele, jeśli akurat punktowemu wypadnie dyżur, można się zanudzić: nie ma klientów! Nie jest to kiosk pod domem, do którego można wyskoczyć po paczkę „ekstramocnych” albo pastę do zębów. Kiedy nie pracuje „Central”, obroty salonu w przejściu podziemnym są minimalne...

Żaloga punktu sprzedaży nr 126 zarabia do czterdziestu tysięcy miesięcznie na głowę. „Na rękę” jest tego mniej, bowiem zgodnie z umową, przedsiębiorstwo odprowadza 10 proc. zarobku do banku. Leżą tam sobie te pieniądze, wzbogacane o 13 procent rocznie, jako zabezpieczenie dyrekcji „Ruchu” na wypadek manka czy innej handlowej niespodzianki. Nawet nieźle to oszczędzanie, pieniądze przecież nie przepadają. Szkoda tylko, że bankowy procent niższy jest — niestety — od stopy inflacji.

Józef Jentsz praktycznie całe swoje dorosłe życie przepracował w „Ruchu” jako sprzedawca. Zaraz po odbyciu „woja”, w roku 1976 zasiadł za rachowską ladą. Salon w przejściu objął w dniu jego otwarcia — w roku 1979. Pierwszą czynnością nowego sprzedawcy było... wyniesienie czterdziestu wiader wody. Nasi lebscy budowlani tak zaprojektowali i zbudowali przejście podziemne, że woda spływa w sam raz pod sklep „Ruch”. A pod sklepem odpływ nie przewidziano. W dni dżdżyste bywa zalodze mokro...

Na otwarcu przejścia podziemnego byli różni notabie z ówczesnym pierwszym sekretarzem KL PZPR. Pan Józef do dziś żałuje swojej gorliwości: gdyby wtedy wody ze sklepu nie usunął, może by ktoś zmądrzył władzę brew i oświadczył służby zajęłyby się fatalną „podlogą” przejścia podziemnego przy Piotrkowskiej róg Mickiewicza...

„Odgłosy” — proszę Szanownych Czytelników — są jedną z najbardziej chodliwych gazet w sklepie nr 126, sto sześćdziesiąt egzemplarzy sprzedaje się do ostatniego, gdyby nadział był wyższy, też by poszedł. Powyższe przytaczam na odpowiedzialność moich sympatycznych rozmówców: nie wiem, czy przypadkiem nie kierowała nimi kurtuazja...

Za to bez niej kurtuazji mówią sprzedawcy o telefonie — przydałby się, o, przydał. Wciąż są jakieś sprawy a to do dyrekcji, a to do magazynów, a to gdzieś tam jeszcze... Trzeba biegać. W XX wieku!

Trzeba zarobić,

żeby żyć w tych ciężkich czasach. W „Ruchu” kokosów nie ma, ale źle nie jest. Bożena Kwiakowska z punktu sprzedaży nr 100 przy Dworcu Fabrycznym akurat bierze swoją miesięczną pensję w mojej obecności. Jest tego 38 tysięcy 200 zł plus 4 tysiące odprowadzone do banku. Ale za darmo tu się pieniędzy nie bierze — kiosk pracuje przez pół miesiąca w cyklu całodobowym! Trzy osoby — oprócz pani Bożeny rodzeństwo — Urszula Marianka i Mirosław Markon, muszą tu odesiedzieć swoje osiem godzin o każdej porze roku, świętek i piątek. Szczególnie niemiło jest w święta. W taki wigilijny wieczór na przykład — klienta ani na lekarstwo, w

domu stygnie karp i barszcz, a ty siedzisz, sprzedawco, dyktując w służbie, jak na to nie patrzeć — społecznej.

Albo w nocy. Rzadko trafi się podróżny, który chce kupić aktualną gazetę albo paczkę papierosów. Częściej — lump a pobliskiej Składowej po „Popularne” albo po „Brzozówkę”, bo już na normalną gorzałę zabrakło. Trzeba uważać na pieniądze i towar... Wprawdzie i milicja i SOK pod bokiem, ale strzeżonego pan Bóg itd.

Punkt sprzedaży nr 100 ma umowę z przedsiębiorstwem na 2,3 proc. od obrotów. Latem daje to około 40 tys. miesięcznie, zimą mniej. (Salon w przejściu podziemnym ma prowizję 2,2 proc.). Na zarobki kioskarkę składają się jeszcze dodatkowe pieniądze ze sprzedaży prasy — 50 groszy od każdego egzemplarza.

Klientela kiosku przy dworcu to — oczywiście — podróżni. Najbardziej stała, wierna część klientów to ludzie dojeżdżający do pracy. Tęcza dla stałych klientów prawie nie ma. A przedsiębiorstwo do tego ciastnego kiosku jeszcze przysyła prasę zagraniczną. Niby słusznie: wśród podróżnych przecież trafiają się cudzoziemcy. Ale jakoś ci inostryjacy do kiosku nie zaglądają. Tak więc prasa NRD i ZSRR zalega kioski i w stu procentach trafia do zwrotu. W tym takie rarytasy jak — uważaj! uwaga! „Literaturna Gazieta” i „Ogoniok” — skądinąd poszukiwane organy sztandarowa pierlestrójki!

Umowy są różne

W sąsiadującym kiosku, prowadzonym przez panię Marię Strożek i Krystynę Żurek (punkt nr 104) niby ta sama problematyka pracy a umowa z firmą inną. Panie z tego kiosku mają „progową” prowizję, niższą od koleżanek z sąsiedztwa, ale za to stały dodatek za pracę nocną, zabezpieczenie zarobków w czasie urlopu itd. W sumie zarabiają mniej więcej tyle samo co sąsiedzi. Nie decydują się na „wskaźnik liniowy” — brak atrakcyjnego towaru.

Na „klubowych” i „popularnych” utargu nie robię — mówi Maria Strożek — a tak, to przynajmniej mamy tyle samo co sąsiedzi. Tyle, że my pracujemy tylko we dwie i jak przyjdzie nasza kolej na dyżur całodobowy, to siedzimy po 12 godzin.

Dużo lepiej pracowało się w budynku stacyjnym. Niestety, PKP wykwaterowała „Ruch”. Sprzedawcy nie mają ciepłej wody, pracują w strasznej ciasnocie.

Od obydwu dworcowych kiosków do pobliskich, przydworcowych, dosłownie kilkanaście metrów. Ale nie narzekają na konkurencję — ruch w „Ruchu” przy dworcu taki, że wszyscy się pożywili. Samych „Odgłosów” idzie po 200 egz.

Natomiast narzeka na konkurencję załoga salonu w przejściu podziemnym — nowa forma sprzedaży tj. „gazeciarnie” sprzedający „z ręki” (jaka to nowa forma? stara jak gazety) oferują swój towar pod „Centralem” i na schodach przejścia. Klient, który dotrze do kiosku, już ma swojego „ekspresjaka”. A prowizję gazeciarnie mają lepszą — 2 złote od sprzedanego egzemplarza.

Kiosk nr 100 przy Dworcu Fabrycznym ma miesięczne obroty rzędu 4 milionów złotych. W tym ok. 13 proc. ze sprzedaży prasy. Kiosk nr 104 — to samo. Punkt sprzedaży nr 126 w przejściu podziemnym koło Centrum — 7 milionów. W tym prasa — ok. 10 proc.



Mówi: Ewa Zdzieszńska

— Kiedy ostatni raz grała pani na łódzkiej scenie?
— Dwa lata temu grałam w Teatrze Studijnym im. J. Tuwima rolę pól kobiety, a pól mężczyzny Prezidentów w sztuce Garcii Lorki „Publiczność” w reż. Pawła Nowickiego. Było to w tym czasie, gdy drastycznie musiałam odejść z Teatru Powszechnego za dyrekcją mojego kolegi aktora.
— Swoją aktorską los związała pani z łódzkimi teatrami i jak w efekcie na tym wyszła?
— Tak faktycznie. Prawda jest gorzka.
— Podobno niełatwo z panią pracować, bo ma wymagania i często wie więcej niż reżyser?
— Pracowałam z takimi reżyserami jak: Witold Gruba, Roman Bykała, Tadeusz Byrski, Andrzej Kondratiuk, Wojciech Piłarski, Janusz Kłosiński, Jerzy Zegalski, Paweł Nowicki i oni nie narzekali na mnie. Jeśli chodzi o wymagania, to mam je przede wszystkim w stosunku do samej siebie.

— Aż wreszcie zdecydowała się pani sama na reżyserię?
— Zdecydowałam się późno, wychodząc z założenia, że mogę już tego spróbować. W teatrze w Grudziądzu wyreżyserowałam „Szczęście Frania”. Latem 1987 roku współpracowałam z reż. Mieczysławem Waśkowskim przy sztuce „Kapelusz pełen deszczu” w Teatrze Dramatycznym w Gdyni.

— Zajęła się pani także pedagogiką aktorską?
— Dwa lata temu powstało przy Estradzie Łódzkiej Studio Estradowe, w którym prowadziłam zajęcia z prozy. Mielismy 12 słuchaczy, z których większość zdała już egzamin państwowy. Studio rozwiązano. Każda inicjatywa podjęta w Łodzi kończy się podobnie.

— Swojego czasu była pani pedagogiem w łódzkiej szkole teatralnej?
— Po aspiranturze w Leningradzkim Instytucie Teatralnym, gdzie robiłam doktorat z prozy, wykładałam ten przedmiot w PWST w Łodzi. Kilku moich studentów stało się bardzo dobrymi aktorami.

— Czy Łódź jest dla pani szczęśliwym miastem?
— Odpowiem wykrętnie: bardzo wysoko cenię łódzką publiczność.

— Łódzka publiczność nie zapomina o pani, skarżąc się, że nie ma już okazji do bezpośrednich spotkań w teatrze. W filmie i telewizji też nie bywa pani zbyt częstym gościem?

— Nie zależy to ode mnie. Wysoko ceniłam sobie współpracę z Łódzkim Ośrodkiem TVP. Zaczęłam tam pracować, gdy spektakle realizowano na żywo, daliśmy mi one wkrótce sporą popularność. Moją ostatnią rolą telewizyjną była Pani Pic w sztuce „Nieboszczyk pan Pic” w reż. Marka Okopńskiego. To było trzy lata temu. Pamiętam, że przysłało mi recenzję opublikowaną w „Ekranie”.

— Również rzadko można usłyszeć pani charakterystyczny głos w dubbingu?

— W dubbingu pracowałam dużo za życia reż. Bartosza. Kilka dni temu, po 10 latach, łódzkie studio dubbingowe zwróciło się do mnie z propozycją współpracy. Anektowano mnie na cały przedziałek, już od 9 rano. Po godzinie pracy dowiedziałam się, że był to trzytygodniowy epizod. Moja obecna sytuacja zawodowa w tym mieście jest taka, że ratuję mnie poczucie humoru i wojakowski lekarz, którzy są moimi prawdziwymi przyjaciółmi.

— Z tej rozmowy niektórzy mogą sądzić, że przekraczając barierę pewnego wieku aktorki są w bardzo trudnej sytuacji?

— Nie wszędzie.

— Swojego czasu była pani żoną dyrektora teatru. Czy fakt ten miał znaczenie dla tego, co wtedy robiła i jak miał się do okresu, gdy przestała być dyrektorką?

— Rola żony dyrektora teatru jest bardzo trudna, bo jeżeli gra, to mówi się, że dlatego, bo jest żoną dyrektora, jeśli nie gra — to pewnie dlatego, że jest niezadowolona. Po przejściu do Teatru Nowego w Łodzi, grałam bardzo dużo. Nie mogę więc powiedzieć, żeby mi to zaszkodziło.

— Kiedy — zdaniem pani — aktorka osiąga apogeum swojej dojrzałości zawodowej?

— Wydaje mi się, że każdy twórca, do których należą także aktorzy powinien pracować i doskonalić siebie dopóki starczy siły i formy. Stare powiedzenie mówi, że kiedy aktor nie gra — umiera. Jest w tym jakaś prawda.

— Czy żyje pani wyłącznie aktorstwem?

— Niestety, ale prawie. Zaczęłam studiować medycynę, ale nie przeszedłam przez prosektorium. Dziś żałuję, że nie zostałam lekarzem. Ukończyłam za to studium dziennikarskie.

— Hobby?

— Samochód.

— Mimo poważnego wypadku jeździ pani nadal?

— Wypadek miałam jako pasażer a nie kierowca. Przez dwa lata chodziłam w aparacie. Grałam w nim nawet w TV. Miałam złamany kręgosłup szyjny. Ale jedyne miejsce, gdzie czuję się nerwowo odprężona to... za kierownicą samochodu. Bardzo dużo jeżdżę. Po zmianie ministra kultury i sztuki, nareszcie otrzymałam asygnowane na nowy samochód. Czekalam 10 lat.

— Czytałam, że pracuje pani w różnych miastach kraju. Gdzie?

— Grałam gościnnie Panią Prezesową w Grudziądzu i Bydgoszczy. Byłam zapraszana na konsultację kultury słowa do Torunia, Lublina, Białegostoku. W tym roku pracowałam w Gdyni.

— W gdyniskim teatrze pracuje pani syn?

— Maciej zdał egzamin państwowy i jest aktorem. Jest potrzebny i zdyscyplinowany, ale ja wolalabym, aby został np. księdzem.

— Który okres w swojej bogatej karierze uważa pani za najciekawszy?

— Teatr „7.15” w Łodzi, Teatr Polski w Poznaniu i Teatr Nowy w Łodzi.

— Z którą z ról utożsamia pani siebie?

— W każdej roli staram się odnaleźć częścią siebie, bo aktora każda rola transponuje przez swoją osobowość.

— Lubi pani siebie?

— Nie znoszę. Są dni, że nie mogę na siebie patrzeć.

— Czyli przyznaje się pani do tego, że bywa konfliktowa?

— Jeżeli człowiek nie jest „konfliktowy”, to znaczy, że nie się w nim nie dzieje. Z dwójga złego wolę być konfliktowa i coś w aktorstwie zrobić.

— A mimo to nie umieszczono pani nazwiska w jubileuszowym folderze wydanym z okazji 40-lecia Teatru Powszechnego w Łodzi?

— Zostałam pominięta w licznych i doborowych towarzystwach.

— Z natury jest pani jednak optymistką?

— Muszę. Jestem przecież rocznikiem Kolumbów!

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

Jadwiga Poznańska

Ja nie odeszłam

Na białym płótnie
granat nie
wyszywa wzory pojednania
i chociaż włókno odmienione
i przyszło pełnić inną zmianę
ja jestem ciągle taka sama
układam w liniach wzór tkaniny
a za mną rzędem idzie całym
niewyłączony głos
maskiny
ja nie odeszłam / tak jak chciałam
i nikt się wątku nie przerywał.

Pośpiech

Zachodząc w bramę gubisz czas
nie zauważasz oczu twarzy
gdy szafek dźwięk pogania nas
na pierwszą zmianę korytarzem
Idą pośpiesznie
w biegu lat
osobnej siatki płat rozrywany
na pierwszą zmianę goni czas
wściekłe panienki matki tony
losem jaskółki czy podskokiem
przechodzą spiesznie
nieuchwytnie
gdzieś wyrósł sutek dzwon
i pozwolenie na stapanie

Trwanie

Zwały białych bell
pochłonięty już biel i czerń
włoch myśli

Zwały białych bell
samaczki na twoich nogach
granatowa wstążka
przebytych lat

Zwały białych bell
zapisali dla ciebie
order wyrwania

Wiersze

Przechodzą do mnie
barwnym motylem snu
unoszą skrzydłami słów
a ja w oczekiwaniu
rozsypane okruszki nadziei
i zjawia się ten
ciężki jak oddech nocki
samknięty już wrota fabryki
wejść gościu
podaruję ci światło wstawiania

(I nagroda w dziale poezji w konkursie RSTK
im. A. Domagala Jakub)

T

rudne rozstrzygnięć
czy sprawiła to moda,
czy tak niespokojny
czas — w każdym ra-
nie — coś oświeca
spotykamy w naszej
najnowszej literaturze książki po-
siadające specyficzny kształt: qu-
asi-intymnych zapisków (czynie-
nych oczywiście z myślą o dru-
ku). Myślę, iż zjawisko owo przy-
pomina w jakiejś mierze funkcję
etykiety zastępczej. Zamiast wła-
ściwego literatury rozrachunku
z epoką czynionego przy pomocy

Hen kreszą nie tylko siebie. Li-
czne lektury, streszczane nawet
w niejaki nadmiarze, utwier-
dzają w przekonaniu o niewy-
dłużonym, szarym, szarym, szarym
losie tych, którzy podwieśli-
li się pięknej sztuce pisania.
Los autora „Nie boję się bez-
sennych nocy...” doprowadza się
w gruncie rzeczy do tego, iż
bardzo on się męczy, ponieważ
nie ma dla kogo pisać. Pisałby
dla krytyków („gdyby coś ta-
kiego, jak krytyka literacka, w
ogóle mogło jeszcze istnieć”); pi-

się pod pierze nawinął. W doda-
tku bez tej odpowiedzialności au-
tora wobec czytelnika, jaka to-
warzyszy zjawiska dotychczas
utworom stricte literackim. Spo-
ra dawka minodori bowiem jest
w tak pomyślnym diariuszu u-
mawiana za pozytywne, przydaj-
ca smaku przyprawę. Całkiem
niepotrzebnie. Pisarstwo nie na-
tym nie zyskuje, a i wizerunek
autora, budowany na takiej nie-
zwyklej szczerości, nie
wypada najwłaściwie. Trzeba to
jednak rozumieć, bo w literatu-
rze — jak i w życiu — trudno
opierać się potężnej manii...

Książka Józefa Hena dotyczy
problematyki ostatniego ćwier-
wiecza, w warstwie retrospektyw-
nej również czasu wojny i mi-
ędzywojnia. Sprawy najnowsze
pozostają zaledwie dotknięte,
tkwią w dość mglistej sferze a-
luzji, niekiedy objawia się bar-
dziej wyrazisty symbol. Hen u-
siłuje, uchwycić istotę polskiej
współczesności, pojąć sens prze-
mian, spenetrować drogi i bez-
droża narodu, z którym związał
swe życie, choć bliska rodzina
wyjechała do Izraela. Wszelako
pozycja, z jakiej owe starania
podejmuje, tyleż mu pomaga, co
i przeszkadza. Spogląda bowiem
wciąż na koturnów człowieka
pióra, przekonano o swojej je-
śli nie wyższości, to w każdym
razie odrębności. Rozgląda się
wokół, nade wszystko jednak
zwraca — niczym Budda we wła-
sny pepek — w dzieła własne i
innych. Trudno się tedy dziwić,
iż życie puentuje za pomocą lite-
ratury. Co nie zawsze brzmi
przekonywająco. Nagromadzenie
sentencji, cytatów, różnorodnych
opinii, wspomnień etc. przypo-
mina raczej komplet wyrychów
słownych na każdą okazję —
nie zaś zestaw kluczy do polskiej
współczesności. Z tym wszystkim
książkę Józefa Hena czyta się
dobrze i żal bierze, iż mamy do
czynienia z formą zastępczą, a
nie na przykład z powieścią o
najnowszych polskich dziejach.
P.S. Witold Gombrowicz pozo-
stał „Dziennik” nie „Dzienni-
ki” (1).

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Józef Hen: „Nie boję się bez-
sennych nocy...”. Czytelnik, War-
szawa 1987, s. 437, nakład 20 320
egz., cena zł 390.

Forma zastępcza

typowych form artystycznych o-
trzymujemy książki, których au-
torzy zdają się z całą powagą
twierdzić: oto proszę, kochani
czytelnicy, obnażymy swą pierś
niczym Rejtana, abyście mogli na
przełamanie podziwiać i wpościć,
niepodobna bowiem być normal-
nym pisarzem w niemożliwym
czasie i miejscu — takie i zbliz-
żone wyznania znaleźć można nie
tylko między wierszami w nie-
jednym quasi-dzienniku. Stano-
wia one hasło swolennego „egoty-
zmu” literatury polskiej lat o-
siemdziesiątych.

W ciągu ostatnich miesięcy po-
znałem stylizowane powieści
miedzy innymi Tadeusza Konwi-
ckiego, Adolfa Rudnickiego, Boh-
dana Czeszka, ale refleksja po-
wyższa pojawiła się dopiero pod-
czas czytania książki Józefa He-
na „Nie boję się bezsennych no-
cy...”, jako że ta ostatnia będąc
lekturą nie mniej frapującą od
tylko co wymienionych pozostaje
jednocześnie — horribile dictum
— książką niekiedy nader pre-
tensjonalną. Hen objawia bowiem
tak wielkie przeżyczenie we
wszystkim, co dotyczy własnego
pisarstwa, że emocji owych nie
jest w stanie pokryć pozorna
nonszalancja. Człowiek pióra ja-
wi się tutaj jako niezwykle wra-
żliwa istota o kruchoj konstruk-
cji psychicznej, narażona na
nieustanne ciosy. Tak traktuje

salby dla czytelników (ale prze-
cież, publiczność literacka jest
chora — tak, to ona jest chora,
a nie literatura!). Udać zatem,
że pisze wyłącznie dla siebie
(„pisanie jest zajęciem autoter-
apeutycznym: chociaż nie przesta-
je być moim, daje jednak
schronienie; partnerem jest tu
papier, nie zaś czytelnik”). A prze-
jawy intymności doprowadza-
ją się niemal wyłącznie do skarg
w rodzaju: „Nic nie da się po-
równać ze smutnym losem współ-
czesnego prozaka polskiego. Za-
ciężał nad nim urzędnicy, któ-
rzy rozgryzają swoje sprawy.
Nie istnieje w ogóle jakiś choćby
daleki odbiór obiektywny, nie in-
spirowany przez pasję politycz-
ną. Recenzentów prawie nie ma,
a jeśli są... Boże! Naprawdę poli-
tyczne topi kresztą wszystko,
czytelnik spragniony jest jedynie
pochlebstw, dawek martyrologii,
usprawiedliwień swoich namię-
tności — w najlepszym razie roz-
rywki. Fluktuacje są tak błyska-
wiczne, a druk tak powolny, że
książka napisana w jednym roku
stała się nieaktualna czy też
anachroniczna w następnym”. W
rezultacie zaobserwować można
swoistą rejeradę znanych auto-
rów: nie na emigrację zewnę-
trzną, bądź wewnętrzną, lecz w
mnie lub bardziej hybrydyczne
formy stylizowanego diariusza,
zdolnego pomieścić wszystko, co

Cyrk z fajerwerkami — Majakowski?

Pan dyrektor Teatru Studyjne-
go 83, Paweł Nowicki, sporządził
scenariusz oraz wyreżyserował (i
zredagował program) spektaklu
pt. „Tragedia — Włodzimierz Ma-
jakowski”. Pan dyrektor także
wystąpił osobiście na początku
spektaklu odczytując własnorę-
cznie komunikat Związku Pisa-
rzy ZSRR o śmierci Aleksandra
Fadiejewa. Komunikat powstał —
jak wiadomo — w roku 1958 i
nikt, poza dyrektorem Nowickim,
nie wie, po co został odczytany,
jako prolog przedstawienia.

Przedstawienie było niesłycha-
nie urozmaicone i atrakcyjne, w
sensie inscenizacyjnym zwa-
żając, bowiem udało się umie-
ścić kompletnie widowisko. Ale
to nie wszystkie atrakcje: w
spektaklu (wymieniam z pamięci)
był jeden mężczyzna przebra-
ny za kobietę, dwa białe niedź-
wiedzie, trzech (słownie trzech!)
jakby jeden nie wystarczył) Jó-
zefów Stalinów. Ponadto trzy
balony — nie licząc publiczności.
Coś pięć, czy sześć traktorów,
na szczęście zminiaturyzowanych.

Ponadto pokazna liczba chora-
gwi, przypominających kościelne,
a udekorowanych w zależności od
potrzeb i fantazji twórczej auto-
rów (autor?) a to portretami
Majakowskiego, a to spodniami
męskimi różnych królów i kolo-
rów. W tym spodnie do jazdy
konnej.

Były także utwory poetyckie i
prozatorskie oraz publicystyczne,
różnych autorów, nie wyłączając
tytułowego Majakowskiego.
Ponadto było wesoło. Stosunko-
wo najmniej kiedy aktorzy od-
grywali, w sposób straszliwie nu-
dny i rozwlekły skecz, stanowią-
cy twórczą sceniczną adaptację
starego kawału o Stalinie i Buł-
hakowie. Natomiast naprawdę
wesoła była scena samobójczej
śmierci poety, zrobiona w kon-
wencji melodramatu w niemych
kinie. Boki srywa! Nic też dzi-
wnego, że widownia bawi się
sejnie i gorąco oklaskuje samo-
bójcę. To jest ten europejski,
nonszalanccki styl i szyk.

W ogóle premierowa publicz-
ność bawiła się dobrze, wychwy-

tywała aluzje i polityczne „ton-
kości” nawet tam, gdzie ich zu-
pełnie nie było. Artyści dostali
mnóstwo kwiatów, wykłaskano
autora scenariusza i reżysera.
Premierowa bowiem publiczność,
składająca się z krewnych i przy-
jaciół artystów ma to do siebie,
że bawi się dobrze i nie szcza-
dzi braw wykonawcom, w odróż-
nieniu od skwaszonych recen-
zentów. Wiem, bo siedziałem o-
bok Zdzisława Pietrasika z „Poli-
tyki”, który klaskał umiarkowa-
nie. Natomiast inny recenzent po-
wiedział mi po spektaklu: —
Fajnie, że wszystko robia, jest
cyrk z fajerwerkami, jest spe-
ktakl z bigiem! Tylko żeby je-
szcza jakąś sztukę do tego do-
pisać...

A robili to rzeczywiście z bi-
giem i tą drogą wyrażam po-
dziw dla młodych i ambitnych
aktorów, którzy bardzo się sta-
rali żeby coś z tego collage'u wy-
nikało. Ale nie wynikało. W za-
den sposób nie chciało wyni-
knąć. Choćby wszystko było.
Wszystko. Zabrakło tylko Włodzi-
miera Majakowskiego i odro-
biny sensu...

Przed nową realizacją Teatru
83 ostrzeża Państwa

ANDRZEJ KAROLCZAK

Teatr Studyjny 83 „Tragedia
— Włodzimierz Majakowski”.
Scenariusz i reżyseria — Paweł
Nowicki. Scenografia — Grzegorz
Małecki. Muzyka do piosenek —
Janusz M. Grzelazka.

„Teatr Okrucieństwa po to został stworzony,
by przywrócić teatrowi pojęcie życia namię-
tego i pełnego drżenia; i okrucieństwo, na
którym pragnie się oprzeć, rozumieć należy w
znaczeniu gwałtownej surowości i rygoru,
skrajnego zagęszczenia scenicznych elementów”.

Antonin Artaud

„Teatr Okrucieństwa” Antonina Artauda
nigdy nie powstał. Istniał tylko jako pro-
jekt i jako idea pielęgnowana przez jego
wielbicieli. Peter Brook ohrzczył tak swój te-
atr.

Trzydzieści lat temu obejrzałem Brook’ow-
skiego „Tytusa Andronikusa” i wydał on mi
się — jak pisał wówczas o tym spektaklu Jan
Kott — kwintesencją tragedii szekspirowskiej.
Szukałem potem jej konsekwencji w „Królu
Learze” Bondarczuka, „Hamlecie”, którego bo-
hater czytał, chodząc po kruzgankach pałacu,
„Próbach” Montaigne’a, „Złym” Tyrmanda, czy
„Witaj smutku” Saganki; szukałem jej potem w
„Makbetach”, a znalazłem po latach u Roma-
na Polańskiego.

Kwintesencja szekspirowska jest zatem teatr
okrucieństwa, ale wyrażony nie jako proroc-
two, lecz jako konkretne zadanie postawione
aktorom. W wypadku Macieja Prusa zadanie
to zostało wyrażone w kategoriach metafizycz-
nych. Poszukuje on bowiem w „Tytusie An-
dronikusie” sensu świata jako syntezę losu
człowieka.

Kiedy podnosi się kurtyna i odsłania zimny
świat metalizującej blachy, a refleksy światła
odbite w srebrnej powierzchni płaszczyzn
oślepiają widownię, na scenę wchodzi Rzymia-
nie w białych strojach hiszpańskich konkwista-
dorów. Tylko Tytus Andronikus wlecze za so-
bą narzuconą na ramiona czerwoną płachtę,
która ma sugerować krew i okrucieństwo. Po-
tem wchodzi Goci w czarnych strojach beat-
ników na czele z królową Tamorą, również
obleczoną w czerń. Oto toczy się moralitet,
gdzie dobro i zło nawzajem nurza się w wy-
stępek, bo taki jest sens szekspirowskiego
świata. Jego wcieleniami są bohaterowie tego
moralitetowego dramatu. U M. Prusa, który
dąży do maksymalnej ascezy, sens szekspirow-
skiego świata wyrażają Tytus i Tamora po-
przez swój los, swoje przeznaczenie. Lucjusz,
syn Tytusa Andronikusa, jest natomiast sym-
bolem przedłużenia władzy, narzędziem Wiel-
kiego Mechanizmu, a więc kimś z zewnątrz —
tak go zresztą interpretuje młody, debiutujący
w teatrze aktor, Zbigniew Suszyński. Sadzę,
że usłyszymy o nim jeszcze niedługo.

Ala wróćmy do Tytusa i Tamory. U P.
Brooka nosicielem idei spektaklu (deformacja
dająca w kierunku tragiczności) był tylko An-
dronikus, grany przez Laurence’a Oliviera.



NOWE ATENY Andrzeja gruna



KRADZIEŻE NA ZAMÓWIENIE (?)

Dla nas są to dobre narodo-
we kultury, dla złodziei —
zwyczajny łup, padający się
do spieniężenia. Grabież wo-
jenne — a tych nie brakowało
w naszych dziejach — sposto-
szyły narodowy dorobek, a zło-
dzieje dopełniają miary.
Wypadek z dwóch ostatnich
lat dowodzą, że kradzieże dzieł
sztuki (potwierdza to także
doświadczenie Urzędów Cel-
nych) dokonywane są na o-
kreślone „zamówienie” i orga-
nizowane z zamiarem wywie-
żenia łupu za granicę. W cią-
gu dwóch zaledwie lat, władze
celne uderzają wywóz z
kraju 2000 cennych numizma-
tów, ponad 700 innych dzieł
sztuki, dziesiątków starodruków,
zabytkowych instrumentów, za-
bytków techniki i sztuki ludo-
wej. Wśród nich m.in. złote
monety, XV-wieczna drewnia-
na figurka gotycka „Madonny z
Dzieciątkiem”, pamiątek ze
słynnego serwisu łabędziego z
miśnieńskiej porcelany, akware-

ze Juliana Fałata, XVIII-wiecz-
ny zegarek kieszonkowy itd.

Rzecz charakterystyczna jest
to, że prawie 60 proc. spraw-
ców przemytu stanowią cudzo-
ziemcy z Europy Zachodniej,
w tym połowę — obywatele
RFN. Najczęściej przemyca-
ją przedmioty dające się uk-
ryć i one zwykle padają lu-
pem, aczkolwiek zdarzają się
również próby przemycenia
przedmiotów nie dających się
ukryć, jak chociażby olbrzy-
miemu portretu Wilhelma II,
czy 2-metrowej zabytkowej o-
budowy zegara. Najwięcej prób
przemycenia dzieł sztuki uda-
remniły Urzędy Celne w Rze-
pinie, Szczecinie, Wrocławiu,
Cieszynie, Zgorzelcu i w Porcie
Lotniczym w Warszawie.

„PAN AUTICZKO” W PRADZE

Przez cały październik trwa-
ły w Pradze zdjęcia do filmu
„Pan Auticzko” a praskie tajem-
stwa. Tak brzmi tytuł ekr-
anizowanej książki Zbigniewa
Nienackiego z serii „Pan Sa-

mochodził i tajemnica tajem-
nic”, opisaną w niezwykle
kultury wielkich odkryć alche-
micznych i rywalizację mi-
strów czarnej magii na dwo-
rach Królewskich Pragi i Kra-
kowie u schyłku XVI wieku.
Film realizowany jest przez
Kazimierza Tarnasa z zespołu
„Profil” w koprodukcji pol-
sko-czechosłowackiej. Wśród
wykonawców występuje wielu
wybitnych aktorów: Jan Na-
glova, Otakar Brousek i Leon
Niemczyk. Główną rolę dziecie-
ca odgrywa Lubuska Kapra-
lova. Film ma trafić na ekrany
w naszych kinach w roku
przyszłym.

CZOŁOWE MIEJSCE W ŚWIECIE

Według danych UNESCO
Związek Radziecki zajmuje jed-
no z pierwszych miejsc w
świecie, gdy idzie o produkcję
wydawniczą. Po rewolucji u-
kazało się tam 3,5 miliona ty-
tułów książek i broszur o łącz-
nym nakładzie 63 mld egz., wy-
danych w 92 językach narodów

radzieckich i 73 innych języ-
kach świata.

W ZSRR działa 219 wydaw-
nictw i przeszło 4 tys. zakładów
poligraficznych drukujących
corocznie przeszło 60 tys. tytu-
łów książek i broszur w łącz-
nym nakładzie 2 mld egz. Co
roku ukazują się tu książki
autorów z przeszło 100 krajów
w łącznym nakładzie 200 mld
egz. Co czwarta książka wyda-
na w ZSRR przeznaczona jest
dla dzieci i młodzieży. W ostat-
nich dziesięciu latach wydano
33,5 tys. tytułów w nakładzie
blisko 3 mld egz. Samych pod-
ręczników (przydzielanych bez-
płatnie) drukuje się tu co ro-
ku przeszło 288 mld egz., a
wydawane są w 53 językach
narodów radzieckich.
Nic tylko pozazdrościć.

ŁÓDZCY PISARZE PO BIAŁORUSKU

Przyjaźniacy się z Łodzią
Mińsk białoruski daje dowody
tej przyjaźni publikując utwo-
ry łódzkich pisarzy w prasie
literackiej oraz w wydawnic-

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Szekspirowski teatr okrucieństwa

Grany w sposób ekspansywny, pełny, używał wszystkich możliwych, a dostępnych mu środków wyrazu.

M. Prus obdarza zarówno Tytusa, jak i Tamorę funkcją nośników idei spektaklu. Dlatego też na parze aktorów kreujących te role (Zbigniew Józefowicz i Ewa Mirowska), spoczywa cały ciężar odpowiedzialności za czystość przedstawienia.

Z. Józefowicz gra Tytusa refleksyjnego, stara się korzystać z aseptów i półtonów, z ascetycznego gestu. Często jest odwrócony do widowni tyłem, ale nie przeszkadza to ani na chwilę w czytelności intencji aktora, przeciwnie, właśnie wtedy Z. Józefowicz jest wymowniejszy, i to zarówno w scenach dramatycznych, jak i tragicznych, pełnych napięcia i ekstatycznego okrucieństwa. Oto Andronikus oddaje swą córkę Cesarzowi, ale ona tuli się w ramionach innego, Z. Józefowicz, odwrócony tyłem do widowni robi gest ręką, tak wyrażający, że Lawinia (Bożena Miller-Malecka) musi oderwać się od narzeczonego. Inna scena. Oto Tytus widzi po raz pierwszy okaleczoną Lawinię. Jego wzruszenie, ból i rozpacz aktor wyraża w sposób stonowany, wręcz delikatny, widzimy tylko lekki spazm ciała odwróconego do nas tyłem aktora, aby w chwilę potem zobaczyć twarz Z. Józefowicza wyrażającą chęć zemsty zgodnie z kodeksem patrycjusza rzymskiego i żołnierza.

Rola Tytusa jest niezwykle trudnym przedsięwzięciem. Nie jest to bowiem ani Król Lear, jak chce tego Brook, ani Hiob, jak chce tego europejska tradycja. Jest to natomiast syntetyczny obraz doli człowieczej wpisanej w określony system wartości moralnych i praw etycznych. Z. Józefowicz doskonale to rozumie, wie bowiem, że największe nieszczęście przyjmuje się w ciszy, w głębokim poruszeniu, ale od wewnątrz i tak właśnie rozwija się życie swego bohatera, przechodząc od euforii do tragedii i od tragedii do piekła ludzkiej egzystencji, które człowiek sam sobie gotuje.

Rola Tamory jest u Szekspira wątkiem i zdecydowanie źle napisana, daleko, bardzo daleko jej do Lady Makbet. Ale nie zniechęciło to ani M. Prusa, ani E. Mirowskiej przed dowartościowaniem tej postaci. Nie stała się ona w interpretacji aktorki tylko bierną realizatorką zemsty (Tytus Andronikus stracił jej syna), ale rozciągała cały zasób kobiecych wdzięków, aby intryga wokół Andronikusa i jego rodziny za-

cieśniała się aż do końca, jak pęta na szyi skazańca. E. Mirowska swoją Tamorę obdarzyła cechami, które zdecydowanie określiły postać królowej Gotów jako protagonistkę Tytusa i to protagonistkę godną tego miana. Naturalistyczne wręcz powody nienawiści i walki tych dwojga urosły do psychologicznych zmagania równych sobie, mężczyzny i kobiety, gdzie namiętność z pola erotyzmu przeniosła się w rejon wilczego prawa. Jest więc Tamora E. Mirowskiej pełną wdzięku i uległości żoną, namiętną kochanką, uroczą przyjaciółką i wręcz krwiożerczą wilczycą, bezwzględna i barbarska. To bogactwo nie leży, jak na teatrze, podane przez Szekspira, trzeba je było odnaleźć i urzeczywistnić środkami, które podpowiada doświadczenie i intuicja aktorska o wysokiej profesjonalnej próbie.

Sensem świata jest walka — zdają się mówić twórcy polskiej prapremiery „Tytusa Andronikusa” w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi — walka o władzę, walka dobra i zła, walka pierwiastka kobiecego i męskiego, walka... Człowiek zatem skazany jest na wieczną walkę, ta zaś stanowi kwintesencję jego losu.



Na zdjęciu: Adam Marjański i Bożena Miller-Malecka.

Foto: Romuald Sakowicz

Zburzyć aby zbudować

Pociąg — plakaty i plakaty — parostanki; program gigantycznej propagandy wizualnej i dekoracji miast. Nowa sztuka: czyste odczucie plastyczne i użyteczny konkret. A ponad tym wszystkim, ale jednocześnie z tym wszystkim i z tego — fotografia oraz film. Nie robicie fotografii artystycznej i robicie foto-dokument!

Muzeum Sztuki podjęło się bardzo ambitnego i trudnego zadania: chcąc przybliżyć współczesnemu widzowi czas najbardziej dramatycznych przewarstwowań w sztuce: okres, który rozpoczął się około roku 1913, a zmierzał na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Polcażone fotografie, przeźrocza przedmiotów sztuki, fragmenty filmów, wydawnictwa odnoszące się do sztuki tamtych lat, opatrzone całością hasłami — cytatami i wypowiedziami ówczesnych twórców i teoretyków sztuki. Przygotowanie tego wszystkiego, dokonany wybór zasługują na uznanie i wystarczą za rekomendację wystawy.

Alle skoro ma się tyle, chciałoby się mieć jeszcze więcej. Mnie zabrakło emocjonalnego zaangażowania ekspozycji. Widziałbym też zdjęcia, filmowe montaż opatrzone bardziej agresywnym komentarzem, skupiającym uwagę i kierującym ją na coraz to inne plany i z fotografiami, zwracającym uwagę na coraz to inne sekwencje, czy sceny akcji na ekranie.

Dynamit wzbuchający — to bodaj najbliższe określenie tego, co powstawało w sztuce okresu Rewolucji Październikowej. Czas przeobrażeń społecznych wyzwolił energię artystów do niedawna jeszcze spychanych na obrzeża sztuki. Uważali, że ich miejsce jest wśród rewolucjonistów, że to, co

nowe społecznie musi iść z tym, co nowe artystycznie. Energia malarzy i rzeźbiarzy, grafików i poetów poszukiwała sojuszu z energią polityków, rozprzestrzeniała się na dotąd zamknięte przed awangardowym myśleniem obszary przemysłu. Wspinał się po dachy, ażeby dotrzeć do Leninowskiego planu propagandy monumentalnej. Trzeba było szybko, jak nigdy dotąd reagować na wydarzenia następujące po sobie w przyspieszonym tempie.

Toteż było tak, jak organizatorzy wystawy w Muzeum Sztuki napisali w informacji skierowanej do dziennikarzy przed otwarciem ekspozycji: „Poszukiwanie nowych, adekwatnych do epoki języków wypowiedzi było jednym z istotnych ustępów wielkiego, przesadzającego o wielkim wstrząsie w całej sztuce światowej, przełomu artystycznego dokonanego w przededniu i w czasie Rewolucji Październikowej. Nową rolę dynamicznej kroniki dzieł i nowego „okna” skierowanego na świat w ruchu spełniać miały, w myśl aspiracji awangardy artystycznej, film i fotografia. One notowały moment, gdy „masz prą naprzd, jak huragan”. Fotografowie, których zdjęcia prezentuje wystawa, jak Aleksander Rodcenko, i filmowcy-dokumentaliści, jak Dżiga Wiertow, kierowali nowe, a dla współczesnych szokujące, spojrzenie na postać człowieka, na tłum, na przedmioty w ruchu i sekundy mijającego czasu, na przestrzeń dookoła. Przelamując wszelkie konwencje obowiązujące w filmie i fotografii, kładli akcent na dynamikę, możliwość jednoczesnego nakładania obrazów, montażu i fotomontażu. Pisali: „Fotografowie nie kłamią”. „Ja — oko mechaniczne”. Ogromna rozpiętość polemiki środowiska artystycznego — od malarstwa abstrakcyjnego Kazimierza Malewicza, przez „konkretną rzeźbę” Władimira Tatłina, po program służby sztuki na rzecz przemysłu — rzutowała pośrednio na skonsolidowanie się stanowiska tych twórców, którzy całą swą energię poświęcili penetrowaniu rzeczywistości okiem fotograficznym i filmowym kamerą.”

Oglądając to na wystawie, oglądamy z nową, że

M. Prus jako interpretator szekspirowskiego „Tytusa Andronikusa” i aktorzy, a zwłaszcza E. Mirowska i Z. Józefowicz jako interpretatorzy postaci Tamory i Tytusa, wyrzili tę złożoną metafizyczną poprzez formę zbilansowaną do Artaudowskiego Teatru Okrucieństwa, zagłębiając te elementy, które muszą decydować o przeniesieniu konfliktu dramatycznego z tekstu na inscenizację.

Dokonanie tego zabiegu pozornie bardzo proste i nienowe, w przypadku „Tytusa Andronikusa”, wymagało ogromnej pracy i poszukiwań. Substancja tekstu bowiem nie miała w sobie tak silnego pierwiastka wizji scenicznej, jak to ma miejsce w późniejszych chronologicznie dramatach Szekspira (o trudnościach niech świadczy fakt tak długiego oczekiwania „Tytusa Andronikusa” na swoją polską prapremiery). A zatem uruchomienie substancji teatralnej (inscenizacja) było w tym wypadku niezwykle trudne, ale twórcy spektaklu dokonali tego zabiegu z efektami niezwyklej i wyjątkowymi: oto szekspirowski teatr okrucieństwa stał się poprzez medium Artaudowskiego Teatru Okrucieństwa wyrazicielem dążeń współczesnej teatralizacji teatru.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

W. Szekspir „Tytus Andronikus”, przekład: Leon Ulrich, reżyseria: Maciej Prus, scenografia: Dorota Banasik-Bielska, muzyka: Janusz Stoklosa. Prapremiera polska 27 września 1987 roku w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi.

Kronika

W MBP IM. LUDWIKA WARYŃSKIEGO, 20 XI br., uroczyste zainaugurowana została — na terenie Miejskiego Województwa Łódzkiego — XXI Dekada Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek — Świat — Polityka”. Z tej okazji w gmachu biblioteki otwarta została wystawa „Rewolucja Październikowa w polskim piśmiennictwie”.

Podczas uroczystego spotkania prof. dr hab. B. Wachowska omówiła działalność komunistów łódzkich w propagowaniu kultury wśród robotników, zaś dr P. Samus przedstawił referat „Z Łodzi do Piotrogradu”. Bogaty program tegorocznej dekady przewiduje tradycyjne liczne imprezy — wystawy, prelekcje i spotkania z czytelnikami.

DRUGIE JUŻ, Ogólnopolskie Seminarium Filmowe „W kręgu zła” zorganizowały w dniach 20—22 listopada br. DK Łódź-Bałuty i DKF „Elta”, przy współpracy „Filmoteki Polskiej” w Warszawie.

Zaprezentowanych zostało 20 filmów pełnometrażowych, dotyczących szeroko rozumianej patologii społecznej, m.in. „Trąd” w reż. Andrzeja Trzosa-Rastawickiego, „Czy łatwo być młodym” Jurija Podnieksa, „Błędny Ognik” Louisa Maliea). Odbywały się też spotkania z twórcami — prawnikami — specjalistami od problematyki przestępczości — i dziennikarzami.

DLA UCZCZENIA 50 rocznicy śmierci Andrzeja Struga, znanego pisarza, legionisty i działacza PPS, Urząd Dzielnicowy Łódź-Sródmieście i Dzielnicowa Biblioteka Publiczna zorganizowały 24 bm. sesję popularnonaukową.

O wyborach ideowych A. Struga mówił m.in. ceniony znawca jego twórczości — dr Jerzy Rzymowski.

W tym samym dniu, w lokalu biblioteki, otwarta została wystawa obrazująca dorobek twórcy i działalności autora „Złotego Krzyża”.

CZASOPISMO „NOWYJ MIR” zamierza opublikować w grudniu br. wybór wierszy laureata Literackiej Nagrody Nobla 1987 — Jospa Brodskiego.

Przedstawiciel redakcji „Nowy Mir” — Oleg Czechonow — stwierdził, że przyznanie J. Brodskiemu Nagrody Nobla przyczyni się do wzrostu zainteresowania poezją rosyjską na Zachodzie.

DWIE WIELCE ZASŁUŻONE PLACÓWKI MUZEALNE obchodzą w tym roku jubileusze: 80-lecie — Muzeum Miasta Pabianic i 60-rocznicę powstania — Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim.

Z okazji 80-lecia, w pabianickim muzeum otwarta została 17 bm. wystawa poświęcona życiu i działalności Ignacego Jana Paderewskiego.

Obchody 60-lecia Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim odbędą się 4 grudnia. Przewidziana jest sesja naukowa oraz otwarcie okolicznościowej wystawy o działalności muzeum w latach 1927—1987.

DZIĘKI PRZYCHYLNOŚCI MIEJSCOWYCH WŁADZ i MKiS, w Zielonej Górze otworzyła podwoje pierwsza w kraju prywatna księgarnia.

Jej właścicielka, p. Elżbieta Jarmolkiewicz, zamierza w przyszłości organizować spotkania autorskie, brać udział w kiermaszach i festynach — a nawet prowadzić sprzedaż akwizycyjną.

TERESA PRUSKA, mężatka, lat 40, matka 16-letniej córki, została Komendantką Chorągwi Łódzkiej ZHP.

Studiowała fizykę w Uniwersytecie Łódzkim. Po jej ukończeniu pracowała jako nauczycielka w LO im. Stanisława Staszica w Gierzku. Przez 7 lat prowadziła drużynę, szepcz i hułacz w tym mieście. Stąd przeszła do pracy w Chorągwi Łódzkiej. Działa w PRON. Jest harcmistrzynią Polskiej Ludowej.

Uprawia turystykę. Interesuje się literaturą.

13 LISTOPADA GOŚCIŁ W KLUBIE NAUCZYCIELI, w ramach Wieczorów Autorów Łódzkich Oficyn Wydawniczych, organizowanych przez Radę Łódzką PRON, nasz redakcyjny kolega — literat i dziennikarz — Andrzej Makowiecki. Gospodarzem wieczoru było Wydawnictwo Łódzkie.

Spotkanie wywołało duże zainteresowanie czytelników, wśród których autor tak głośnych książek, jak: „Enklawa przy ulicy Wschodniej”, „Faworyt Wąbrzeźna”, „Co dzień bliżej nieba”, „Napier. Napoleona”, ma licznych wielbicieli.

JOANNA ŚLEDZICKA, Miss Ziemi Łódzkiej, pierwsza wicemiss Polonia '87, swierzyła się dziennikarzowi „Expressu” Hustrawanego, Julianowi Beckowi, że na balu w Hotelu Grand w Warszawie była w towarzystwie Janusza Atlasa i jego żony, Bogdana Łazuka, Ewy Kuklińskiej i... dyrektora „Pewexu” (Uff... pomarzyć sobie można tylko o tak doborowym towarzystwie!).

Z rozmowy tej dowiedzieliśmy się również, że z USA ma zamiar przywieźć panu Chmielewskiemu... gumę do żucia.

RAZ W MIESIĄCU — w kinie Tatrzy Male-Studynie — odbywał się bieżący impreza filmowa pn. „Mity kina”. Organizatorem projekcji jest Centrum Informacji Kulturalnej. Ma ona stanowić prezentację najbardziej znanych filmów, które przeszły już do historii kina światowego.

Pierwszym filmem, wyświetlanym 18 listopada, był obraz produkcji USA „Ostatni zachód słońca” z Kirkem Douglasem i Rockem Hudsonem w rolach głównych.

Opracował: JAK

twach książkowych. Tym razem miniski tygodnik „Literatura i Mastyctwo” (Literatura i Sztuka) organ Związku Pisarzy Białoruskich, ukazujący się od 1932 roku, w numerze 39 z dn. 25.IX br. publikuje wiersze Wandy Karczewskiej, Feliksa Rajczaka oraz pięć wierszy Romana Gorzelskiego, zresztą znanego tłumacza poezji i prozy białoruskiej. Należy przy okazji trzydziestolecia „WL” dodać, iż wydawnictwo to wiele miejsca poświęca twórczości pisarzy białoruskich.

(R.G.)

NOWE OBLCZE BERGMANA

Ingmara Bergmana nie trzeba przedstawiać — to jedna z najwybitniejszych indywidualności filmowych naszych czasów. Co prawda dotychczas pokazał światu jedynie swój „filmowy pazur”, a każdy jego film był prawdziwym wydarzeniem. Ostatnio zaprezentował się światu od innej strony, pisarskiej i natychmiast jego pamiętniki — bo o nich

mowa — stały się bestsellerem. „Laterna Magica”, taki tytuł nosi autobiograficzna książka Bergmana, uamiana została przez światową krytykę nie tylko na bestseller, lecz i za „autentyczne dzieło sztuki”. Jeden z krytyków stwierdził, że jest to książka tak dalece „brutalnie szczera”, że gdyby wyszła spod pióra innego autora, Bergman miałby prawo zaskarżyć go o zniesławienie.

Autor ukazuje w niej całe swoje życie, zarówno prywatne jak i zawodowe, kolejne małżeństwa i romanse, nie waha się przed ujawnieniem własnych obsesji seksualnych znajdujących odzwierciedlenie w filmach, błądzących studium różnych typów kobiecych, którym nawet nadano miano „Kobiet Bergmana”. Do tych kobiet zaliczono m.in. Liv Ullman i Bibi Andersson.

NAJLEPSZE FILMY

Wśród pięciu najlepszych filmów z krajów socjalistycznych — wybranych za pośrednictwem „Sowieckiego Ekranu” przez czytelników — znalazły się trzy filmy polskie:

„Seksmisja” Juliusza Machulskiego, „Dziewczyna i chłopak” Stanisława Lecha i „Przygodę Błękitnego Rycerzaka” Lechosława Marzalska. Pozostałe i pięciu najlepszych to: „Pomyłka młodości” Wiesława Radwanowicza (Jugosławia) oraz „Naręczona księżka z Krainy Sól” w reżyserii Martina Holly (CSRS-RFN).

Z zachodnich pozycji filmowych w repertuarze 1986 roku za pięć najlepszych uznano filmy: „Skorumpowani” (reż. Claude Zidi — Francja), „Eksperyment filadelfijski” (reż. Steward Raffill — USA), „Zaginiony” (reż. Costa Gavras — USA), „Pod ogniem” (reż. Roger Spottiswoode — USA) oraz „Sasiadka” (reż. Francois Truffaut — Francja).

Wśród pięciu najlepszych filmów radzieckich znalazły się: „Idź i patrz” Elemu Klimowa, „Uśmiechnij się” reż. Lejda Lajus, „Próba wierności” Aleksieja Giermana, „Rejs 222” Siergieja Mikaellana oraz „Błąd w Moskwę” — Jurija Ostelowa.

Aktualności sprzed lat

JAN CZARNY

Fraszki

FITANIE

Czemu to każde bódwa swym wierszem zaleca ubóstwo?

PATRIOTA

Wszystko by oddał dla narodu, oprócz swej wili i samochodu.

WIADOMY I NARÓD

Niechaj władcy samują narodu swyczące, bo gdy oni odechodzą, naród pozostaje.

OBYCZAJ

O los współbraci nikt nie pyta, kiedy się dorwie do koryta.

CURRICULUM VITAR

Od złoba do grobu.

Fraszki pochodzą ze zbioru „333 Frazski”, Wydawnictwo Łódzkie 1986 r.

Z kraju i ze świata ♦ Z kraju i ze świata

Ale w głębi duszy nie mógł nie zauważyć, że nabierając cech nowych, w przekonaniu Marka Aleksandrowicza, bardzo pozytywnych, Sonia straciła coś bardzo mu drogiego, coś dalekiego i bliskiego: łagodność, serdeczność. Znikła zwykła pociągająca przytulność tej domu, urządnego, zadbanego, jakiegoś miłego jrozbiarzi. Teraz były tu tylko rzeczy najniezbędniejsze, teraz tutaj ktoś się spieszył, był w pośpiechu. Kartofle jadła z patelni, patelnia stała na podstawce z metalowej kratki, obrus na jednym rogu był zagięty. Siostra nie opuszczała się, przeciwnie, była zadbaną, zeszczupiałą, zrobiła się bardziej ruchliwa, rzeczowa. Po prostu, zdaje się, dom stracił dla niej znaczenie. Nie było w nim syna.

Opowiadała o swojej pracy w pralni. Przyjmowanie bielizny jest dość skomplikowaną pracą, zdarzają się rzeczy jasna, kłopotliwi klienci, co zrobić, wszyscy są teraz nerwowi, rozstrzęsieni. Zdarzają się także niedociągnięcia ze strony przedsiębiorstwa — zniszcza rzecz albo zabużają. Wtedy jest ciężko: wyjaśnienia, tłumaczenia, załatwianie, a ludzie czekają, koleją się złości. Konflikt powinien wyjaśnić kierownik, żeby nie musiała przeżywać obsługi, ale kierownik nie wychodzi, nigdy go nie ma na miejscu, całymi dniami gdzieś przepada, to jest nawet ciekawa sprawa. I teraz była skóra do żartów, zawsze miała poczucie humoru.

Ale słowa o Saszy. Rozmawiała z Markiem przez grzeszność, żeby nie milczeć, nie patrzyła na niego, unikała jego wzroku i czuł, że ma przygotowaną frazę. Jeszcze ją wypowie. A na razie się waha i w tym nie zdecydowaniu, w tym, że unika jego wzroku, Mark Aleksandrowicz widział dawną Sonię.

Nagle przerwała swoje opowiadanie: — Tak, Marku, muszę cię uprzedzić, maly pokój wynajmuje. Tak, że jeśli chcesz nocować, to tutaj, u mnie.

— Zatrzymałem się w hotelu — odpowiedział Mark Aleksandrowicz.

O tym, że siostrze udało się zatrzymać pokój, wiedział. Nie są z Pawłem Nikołajewiczem formalnie rozwiedzeni, Paweł Nikołajewicz po aresztowaniu Saszy mógł zarezerwować powierzchnię jako specjalista, który czasowo wyjechał do pracy na prowincję. Ale siostra wynajmuje pokój — to nowina zachwycony nie jest, brat za pokój więcej niż wynosi komorne nie wolno, formalnie jest to spekulacja powierzchnią mieszkaniową. Teraz na takie rzeczy patrzy przez palce — kryzys mieszkaniowy, ludzie nie mają gdzie mieszkać, ale jednak nie chciałby, żeby jego siostra, siostra Riazanowa, żyła z wynajmowania pokoju.

— Czy to było konieczne? Nie rozumiała.

— Co?

— Wynajęcie pokoju?

— Tak, potrzebuję pieniędzy.

— Ile ci płaci?

— Pięćdziesiąt rubli.

— A kim są sublokatorzy?

— Sublokatorka. Starsza kobieta...

— Jak trafiła do ciebie?

— Sasiadzi polecili... A co? — w końcu spojrzała na niego. — Uważasz, że postąpiłam niesłusznie?

— Nie znasz jej... Sasiadzi polecili. Na co ci to? Zawracać sobie głowę z administracją, z meldunkami, wyjaśniać, co i dlaczego... Powtarzam: na co ci to? Proponuję ci nie pięćdziesiąt, ale sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Przywiozłem ci pięćset rubli. Wiesz, że pieniądze nie są mi potrzebne.

— Milczala, rozmyślała. Potem powiedziała spokojnie:

— Nie wezmę twoich pieniędzy. Osobiście ich nie potrzebuję, zarabiam na życie. A jeśli chodzi o Saszę... Sasza ma ojca, matkę, oni się o niego zatroszcza.

— Nie uda się jej przekonać, i nie chciał jej przekonywać. Zaproponował jej pieniądze, woli wynajmować pokój — jej sprawa, chociaż przecież widzi, że mu się to nie podoba. I to, co teraz powiedziała, jeszcze nie jest tą przygotowaną frazą, niech ją wypowie, dosyć gry w chowanego.

— Jak Sasza? — spytał Mark Aleksandrowicz.

— Nie od razu odpowiedziała. — Sasza... Ostatni list był z Kańska. Wyznaczyli mu wieś Boguczany, ale stamtąd jeszcze nie ma. Nie wiem, jak on tam — pojechał, czy poszedł? Sprawdzalam na mapie... Boguczany nad Angarą, drogi tam nie ma żadnej, na pewno pieszko... — nagle się zamknęła. — Nie wiem, jak teraz gadać na katorze: dawniej wozili w stółpinowskich wagonach, no a teraz to nie wiem...

— Soniu! — powiedział surowo Mark Aleksandrowicz. — Rozumiem, jest ci bardzo ciężko. Ale chcę, żebyś miała jasny obraz rzeczy. Po pierwsze, nie ma u nas katorgi. Po drugie, Saszę zawieziono nie do obozu, ale na zesłanie. Zwracam się do najwyższych instancji. Interweniowano, ale nie ma można było zrobić. Prawo jest prawem. Saszę coś obciąża, niezbyt, prawdopodobnie, ważnego, ale obciąża. Czasami mamy surowe, nie poradzisz, zesłano go na trzy lata, będzie mieszkać na wsi, na wsi mieszkają miliony ludzi, pójdzie tam do pracy. Jest młody, trzy lata szybko miną, trzeba się tylko pogodzić z tym, co jest nieuchronne, trzeba spokojnie i cierpliwie czekać, nie rozklejać się.

Nagle się uśmiechnęła, potem jeszcze raz się uśmiechnęła.

Dobrze znał ten uśmiech.

I powiedziała:

— Wychodzi, że za mało dali, tylko trzy lata.

— A czy ja mówię, że wypadło dać więcej? Soniu, oprzytomnij. Mówię, że to jest mówię bez ogródek, w naszych czasach głupstwo — trzy lata zesłania... Przecież rozstrzelują...

Cały czas się uśmiechała, uśmiechała, wydawało się, zaraz się roześmieje.

— No tak... Nie rozstrzelali... Za wierszyki w gazetce ściennej nie rozstrzelali, dali za wierszyki w gazetce ściennej tylko trzy lata zesłania na Syberię — wielkie dzięki. Trzy lata, co tam, głupstwo. Przecież i Jostifowi Wisarionowiczowi Stalinowi więcej niż trzy lata zesłania nie dawali, a on organizował zbrojne powstanie, strajki, manifestacje, podziemne gazety wydawał, nielegalnie za granicę jeździł — i mimo wszystko — trzy lata, uciekał z zesłania i prowadził go ponownie na te same trzy lata. A niechby Sasza teraz uciekał, dostałby, w najlepszym przypadku, dziesięć lat obozów...

— Przystała się uśmiechać, śmiało i surowo popatrzyła na Marka Aleksan-

drowicza. — Tak! Jeśli by car was sądził zgodnie z waszymi prawami, to by się utrzymał jeszcze tysiąc lat...

Uderzył pięścią w stół.

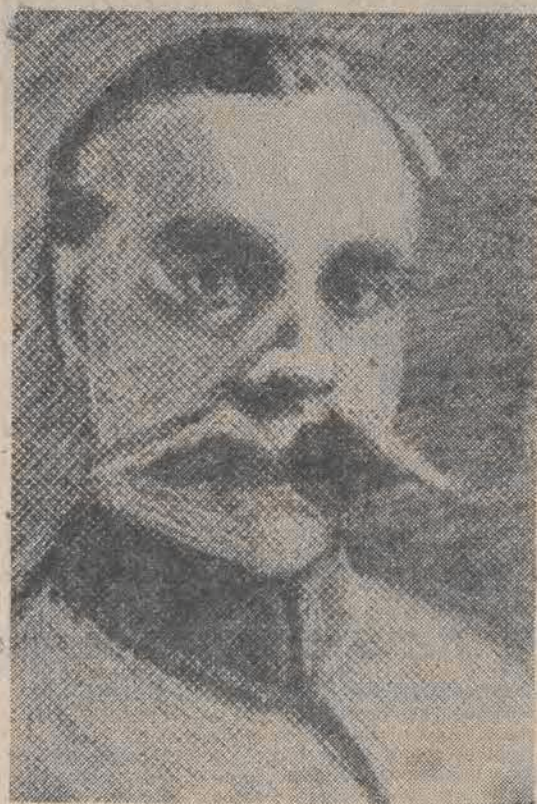
— Co ty pleciesz?! Idiotka! Gdzieś się tego nauczyła? Przestań natychmiast. Jak śmiesz tak mówić? Przy mnie! Tak, mamy dyktaturę, a dyktatura — to przemoc. Ale jest to przemoc większości wobec mniejszości. A za cara mniejszość gnębiła większość, dlatego właśnie car nie stosował tych skrajnych środków, które my stosujemy w imieniu ludu i dla ludu. Rewolucja powinna się bronić, tylko wtedy jest coś warta. Wielkie jest twoje nieśczęście, ale nie daje ci ono prawa stawiać się mieszczką. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Jeśli komuś powiesz coś takiego, trafisz do obozu. Weź to pod uwagę chociażby ze względu na Saszę, który nie powinien teraz zostać pozabawiony matki.

— Słuchała milcząco, opuszkami palców wymacała i przyciskała do stołu okuchy. Potem spokojnie powiedziała:

— No to posłuchaj, Mark... Proszę cię, żebyś w moim domu nigdy nie walił pięścią w stół. Nie żyć sobie. Prócz tego mam sąsiadów, i wobec nich jestem skrupowana: przedtem mąż walił na mnie pięścią po stole, teraz brat. Ze-

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



S. Kamienieva

by to się więcej nie powtórzyło. Jeśli bardzo chcesz, to wal pięścią w swoje biurko w gabinecie na swoich podwalinach. Proszę, żebyś to sobie zapamiętała. Co do obozów, to mi nie grozi, niczego się nie boję, wystarczająco długo się bałam, dosyć tego. Wszystkich nie wsadzić, zabraknie więźniów... Znikoma mniejszość... Język się skręca. „Miliony ludzi żyją na wsi”.

A widziałeś, jak żyją? Kiedyś, dawno, jak żył młody, lubił śpiewać. „Powiedz, czy jest miejsce na ziemi” — pamiętasz? — „Gdzie by chłop rosyjski nie jechał”. Pamiętasz? Piękną śpiewałeś, z serca, dobry byłeś, litowałeś się nad chłopem. A dlaczego teraz się nie litujesz? O kim wtedy śpiewałeś? „Dla narodu, w imię narodu”... A Sasza — to nie jest naród? Taki czysty, taki jasny, tak wierzny, to go na Syberię, nie można było rozstrzelać, no to chociaż na Syberię. Co zostało z waszych pieśni? Modlicie się do swojego Stalina...

Mark Aleksandrowicz wstał, szarpnął krzesło.

— No, siostrzko droga...

— Nie krzycz, nie denerwuj się — ciągnęła spokojnie — co ci jeszcze chcą powiedzieć, Mark: proponowali mi pieniądze, ale pieniądze nie odkupisz swojej winy. Podnieśliście miecz na niewinnych, na bezbronnych i sami zginiecie od miecza! — Pochyliła siłą głowę, spojrzała z dołu na brata, wyciągnęła palec.

— I kiedy wybiła twoja godzina, Mark, wtedy wspomnisz Saszę, pomyślisz, ale będzie za późno. Nie obronisz niewinnego. Ciebie też nie będzie komu bronić.

8.

Zagłębiając się w taję, partia miała czwarty dzień. Z przodu wóz, z tyłu wielki konwojent. Konno, z karabinem za plecami.

Obowiązkowi konwojenci wielkiego wykonu chłopów po kolei, konwojent zmieniał się w każdej wsi. W liczbie rozmaitych powinności chłopcy syberyjskiego zawsze była także i ta. Tak samo towarzyszyli zesłańcom ojciec, dziad i pradziad młodego jeźdźcy, a prapradziadka samego pędzono w ten sposób.

To konwojowanie jest formalnością, partia jest przyjmowana i ekspedowana bez sprawdzania. Prawdziwym strażnikiem jest tajga, tutaj się nie ukryjesz, tutaj na trzydzieści wiorst wyczuł obcego. Straż jest niemożliwością nielegalnego istnienia w czasach, kiedy każdy jest sprawdzany wzdłuż i w poprzek.

Rzadkie ucieczki zdarzają się z miejsca przeznaczenia, kiedy zesłańcy zataśkną za wolnością i biegiem ucieknie, nie myśląc, co go czeka. Ucieknie wiosną, kiedy jest zapachy, jednakowoż na wszystkich szerokościach, ścisną serce nieprzewidywalną tęsknotą za ojczyzną, albo wczesną jesienią, kiedy sta-

nie się nieznośna myśl o długich miesiącach nieskończonej syberyjskiej zimy. Albo i zimą ucieknie, na miesiąc do końca wyroku: wszystkimi myślami jest już w domu, nie ma siły czekać i przetrwać godziną, kiedy przyjdzie po zwolnienie, a zamiast zwolnienia ogłoszą nowy wyrok. I znajdują takiego zimowego uciekiniera na wiosnę pod tającym śniegiem, dlatego nazywają ich „przebieśnikami”.

A z etapu nie uciekają. Dopiero co z więzienia, z obozu, z dusznego wagonu, idą swobodnie, багаż na wozie, chylkiem się go nie weźmie. I dokument jest jeden na całą partię, jak ucieknie — wszystkim sprawisz kłopot, wszystkim pociągna, oskarżą o udzielanie pomocy. Chcesz uciekać — uciekaj z miejsca przeznaczenia, bądź człowiekiem.

Już tutaj ostatni śnieg w dolinach, z góry przebiegały się promienie słońca, a na ścieżce było mrocznie i wilgotno. Wiatrołomy, chrust, uschnięte na pniu drzewa, pokryte kosmatym szarym mchem, spróchniałe kłody, ani krzaczka, ani kwiatka, tylko miejscami pośłodka zeszłoroczna trawka. I wszędzie ślady pogorzeliska, jakby zalał tu niepowstrzymany pożar lasu. Las bez kresu, ponury, monotonny: modrzew, modrzew, modrzew, czasem sosna, limba, świerk, jeszcze rzadziej brzoza lub osika.

(24)

Życie wyczuwało się tylko w koronach wysokich drzew, szumiał tam wietrzyk, dawało się słyszeć świergotanie sikorek, skakały z drzewa na drzewo wiewiórki, szeleściły szyszkami. I przed nimi ten sam nieprzebrany las, pasma gór i ich odgałęzienia.

W pobliżu Kańska wsi stały gęsto, z każdej z nich spieszono się wysłać ich dalej, żony tylko nie zostawiać na noc. Zjawiali się na nocleg późnym wieczorem, odchodzili wczesnym rankiem. Kłął gospodarz, trzaskając zasuwką u drzwi, płakało rozbudzone dziecko, wrzędziła gospodyni, rzucając na podłogę łachman, albo i nie nie rzucając — śpijcie, jak chcecie. Spać na podłodze było zimno, rozdzielając kasał chory Karcew, tęsknie wzdychał Iwaszkin, myśląc o żonie i dzieciach.

Ale w tajdze wsi stoją rzadko, pokonanie odległości między nimi zajmowało cały dzień. Do pierwszej osady w tajdze przyszli za dnia i nareszcie się wyspali.

Włodzie konwojenci rozwiązali, kiedy oddalili się od Kańska.

— Teraz idź.

Rozprostował zastawę, potem poszedł, lekko, nie męcząc się, nie skarżył, patrzył gniewnie, nieprzejednanie. Miał obozową zaprawę: byle drobiazg może kosztować życie, trzeba się mieć na baczności, decyzyje podejmować błyskawicznie, nie ustępować w niczym, nikogo się nie bać, przeciwnie, sprawiać, żeby ludzie się ciebie bał. Protekcyjnie traktował Borisa, Saszę, Iwaszkina, „przypadkowe ofiary stalinowskiego reżimu”, „ogardzał Karcewem — „kapitulantom”, nie rozmawiał z nim, nie dostrzegał go. Sasza dziwił się takiej umiejętności ignorowania człowieka, z którym razem się idzie, razem sypia, dzieli niedole.

Włodzia Kwaczadze szedł na przódzie. Karcew, chory, oddychający z trudem, wiodł się z tyłu, często się zatrzymywał. I grupa się też zatrzymywała. Włodzia stał, nie odwracając się, niezadowolony, że trzeba się zatrzymywać. Słabość fizyczna Karcewa tłumaczył słabością duchową, w tym też widział przyczynę jego zaprzaństwa. I do tego, kto szedł obok Karcewa, pomagał mu na trudnej trasie, podchodził podejrzliwie, jak do szpiega z obozu wroga.

Sasza podobała się odwaga Włodzki, opór, jaki stawia zwierchnictwu, godność, z jaką się zachowywał. Ale on całkowicie odrzucał cudzy sposób myślenia, tę wadę Sasza widział także w sobie. Zraz pierwszy dzień powiedział:

— Włodzia, żeby nie było nieporozumień. Ja się zgadzam z linią partii. Zatrzymajmy swoje poglądy dla siebie. Bezproduktywne dyskusje są niepotrzebne.

— Ja tym bardziej nie mam życzenia polemizować ze stalinowskimi potakiwaczami — odrzekł wyniośle Włodzia — ale nawet jak już przypędziłeś mnie tutaj, to ust mi nie zatkać.

Sasza się uśmiechnął.

— Ja cię tutaj nie przypędziłem, mnie samego przypędził.

— Swój swojego wszędzie znajdzie. I ręce byś wykręcał nie gorzej od tamtych, z Kańska.

— Wyobrażam sobie, co wy byście robili z nami, gdybyście byli u władzy! — powiedział Sasza.

— Wy i za naszej władzy podnosilibyście ręce do góry — pogardliwie rzucił Kwaczadze.

— Nie ma się co kłócić, chłopcy — wrzasnął Boris. — Wieczne nieszczęście politycznych — kłóca się... A kryminalni są solidarni i zarząd ich nie rusza.

— Kryminalni — to holota! — powiedział Włodzia. — Kanale, oprawcy. Za miszkę lury sprzedadzą kolegi. To główna ostoja zarządu, jego pomocnicy. Zabili żonę — osiem lat, a i z tego darują mu połowę za wzorowe zachowanie. A wyniosł z fabryki parę zelówek — dziesięć lat.

Coraz głuchsza stawała się tajga. Te same, porośnięte gęstym nieprzebrnym lasem grzbiety gór, płaskowyzę, wawoży i pagórki, ptał rejtach w koronach drzew, mrok i wilgoć na ścieżce. Raz mignął w brzoźnie długonogi łos i skrył się, trzaskając gałkami.

Z rana świeciło słońce. Jego promienie nie padały na ścieżkę, ale mimo wszystko iść było weselej i lżej.

Na postój zatrzymali się w południe koło zimowiska, malej leśnej chatki o ciemnych okopconych ścianach, bez sufitu, bez okien, bez płoty, z klepkami z udeptanej i przepalonej ziemi. Zimą na niej rozpalają ognisko, dym wychodzi przez otwór w dachu. W kącie leżał pęczek suchych szczap — ten, kto stąd odchodził, zostawiał paliwo temu, kto przyjdzie po nim, ten może przejść w mróz, śnieg, zamieć, nie zdobędzie suchego drewna, nie roznieci ognia i zamrze na udeptanym klepis-

ku. Dobry człowiek postawił nie tylko szczapę, ale i schowa w suchym miejscu pudełko zapalek.

Rozpalili ognisko, przynieśli wody ze źródła, ugotowali kaszę jaglaną, zrobili herbatę. Kaszę zdobył wczoraj Boris w wiejskim sklepie. Znal sprzedawcę, który otworzył sklep w nocy, prócz kaszy dał jeszcze paczkę tytoniu, załatwił butelkę samogonu, który zaraz tego wieczoru wypili.

Świadomość tego, że nawet tu go znają, że bez jego pomocy koledzy by zupełnie zgineć, na powrót wprowadzała Borisa w zwykły stan aktywnego działania, umacniała przekonanie, że i w Boguczansku nie będzie taki ostatni.

On się rozliczył za nocleg, za kolację piął za wszystkich, chłopcy nie mają pieniędzy, Sasza ma, ale nie wiadomo, czy załatwi sobie pracę. A Boris ma pracę w Boguczansku zapewnioną. Nawet sprawiał wrażenie kierownika: frencz z wykładanym kołnierzem, spodnie, włożone w porządne buty, płaszcz przeciwdeszczowy, kaszkiel w kolorze ochronnym. I miękki władcy głos kierownika, z tym wykształconych, z którymi trudno dyskutować, bo i tak człowieka przegadają, lepiej od razu zrobić, czego żąda.

I teraz też on wszystkim rozporządzał, jednego posłał po wodę, innego po chrust, teraz już można nazbierać w lesie suchego i zdecydowali, że nie będą ruszać tego, który leżał w zimowisku. Tylko Karcewa nigdzie nie posłał. Karcew usiadł na pieńku, zamknął oczy, podał promienie słońca bladą, cierpiącą twarz.

Tenże sprzedawca tak urządził, że poza kolejką poszedł z nimi jako konwojent: dobry, uszużny chłopak i zreczny — na postoju narobił brzożowych łyzek. Szedł pieszko, lekko, jasnowłosy, prowadził konia za uźdz. Sasza, jak wyszedł obok niego ze wsi, tak z nim odeszedł do postoju. Chłopaczek dał mu broń, żony strzelił do jarząbka, Sasza nie trafił.

— Jednak jakbyś w niedzwiedzia nie trafił, kłepko by było — zaśmiał się chłopak.

— A chodzisz na niedzwiedzia?

— Chodzę, trzy razy. Niedzwiedzia osaczamy w barłogu. Jak psy poczują zwierza, to rapiemy kłody, zatykamy barłóg, on zaczyna się wyrwać, to my strzelamy. Są, co chodzą z rohatyną, albo nawet z nożem, po naszymu z kindzatem. Niedzwiedź — zwierzę chytne, do człowieka wylataje, a do konia albo tam bydlątka to się skrada.

Uśmiechnął się, kiedy Sasza powiedział, że są zwierzęta silniejsze od niedzwiedzia — lew, słon, tygrys... Nie wierzył.

Z takim samym uśmiechem opowiedział, jak rok temu na polanie, koło której przechodzili, zabito trzech zesłańców kryminalnych.

— Pędzili ich tak samo, a oni we wsi usiedli grać w karty. Nasze chłopaki zobaczyły u nich pieniądze. Doszli tutaj, strzelali zaczęli. Tamci podeszli im na muszkę, popadali, śniegiem ich zasypało. Myśleli nasi, że zjedzą ich zwierzęta, tu ich dużo. Jechał tam nasz pełnomocnik ze skupu, i psy wyczuły nieboszczyków. Zaczęli przesiuchiwać, odesłali naszych chłopaków do Nowosybirsk, no i tam ich w więzieniu granda pozabijali.

— A dużo pieniędzy zabrał tym zabitym?

— No wzięli te dziesięć rubli.

W rozmowie przy ognisku znów wróciła ta historia. Znal ją Boris — opowiadali zesłańcy w Kańsku, znal Kwaczadze — słyszał w obozie. Obydwu chłopaków zabito tej samej nocy, kiedy przywieziono ich do więzienia, wieść o nich dotarła przedtem niż ich tam dostarczono. Cela była duża, solidarna i nie dowidziano się, czyje to ręce zrobiły.

— I dobrze, że ich wykończyli — zauważył Włodzia — tak, to by dostali, góra, po pięć lat, a wypuszczono by ich już po roku, myślałby kto, zesłańców zabili. A teraz miejscowi będą wiedzieli: więzienie ma telegraf łączący do rządowego. Państwo nas nie chroni, to będziemy się bronić sami. Innego wyjścia nie ma.

— Włodzia — rzekł Sasza — przecież sam mówiłeś, że kryminalni — to nie ludzie. Więc jak można im pozwolić, żeby sprawowali sądy?

— Katorga rzadzi się swoimi prawami, pochodzi z tej skóry, to je poznasz — wykręcił się Włodzia — inteligencje rozważania.

— Dlaczego się czepiasz inteligencji? Ona też jest coś warta — powiedział Sasza.

Włodzia uniósł palec.

— Pojedynczy przedstawiciel.

— Przecież ty też jesteś inteligentem.

— Dlaczego uważasz, że się tym szczyć?

— Pierwszym inteligentem — powiedział Sasza — był człowiek, który wytworzył ogień. Współcześni, oczywiście, zabili go. Jeden oparzył sobie palec, drugi plecie, trzeci mordował ot tak — nie wychylał się. Już w epoce kamienia tak było — nie wychylał się.

— Saszy należy się pierwsza nagroda za logikę — ogłosił Boris. — Włodzia, zgadzasz się, żeby przyznać Saszy pierwszą nagrodę?

— Daj, jeżeli ją masz — odpowiedział Kwaczadze.

Wszyscy byli nastrojeni pokojowo. Słońce opuszczało się za korony drzew, ale czuli jego ciepło, szli bez wierzchnich okryć, rzuciwszy palta i czapki na wóz. Towarzyszy im uszużny chłopaczek, daje postrzelac ze strzelby, żaden z niego konwojent, to wszystko nie przypomina etapu. Po raz pierwszy jedzą nie przy cudzym stole, lecz w lesie, przy ognisku. Trzask sosnowych gałązek, ich żywiczny aromat, zapach przypalonej kaszy, sosnowe szpilki w herbacie — to wszystko cofa ich do dzieciństwa. Przecież wcale niedawno siedzieli przy ognisku w pionierskim obozie.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

W didaskaliach do „Murzynów” Genet zaznacza, że na scenie powinni występować Murzyni. Murzyni przebrani za białych, ale tak przebrani, żeby spoza maski widoczna była ich „murzyńskość”. Ta maskarada (przez jej twórcę nazwana — „blazenada”) ma zaskoczyć widza — ci, których braliśmy za białych, okazują się Murzynami, są tylko murzyńskim wyobrażeniem o świecie białych. Pewność naszych sądów znów została wystawiona

je młody, obiecujący aktor, Jacek Burda (Bogusław Linda). Patrzy trochę zażenowany na tragiczną dwojga podstarzałych ludzi, patrzy z podziwem jak aktor na aktorów. Na szamotaninę największego aktora Michała Baryńskiego (Zbigniew Zapasiewicz). Patrzy też sceptycznie... Bo też scena ta nie będzie miała nigdy spełnienia. A właściwie będzie, tylko zmienia się aktorzy, koncepcja i scenariusz pozostają ta sama.

rozgrywa się w środowisku aktorskim, gdzie pewne pozy — według autorów filmu — przenosi się ze sceny do prywatnego życia, co jest swego rodzaju chorobą zawodową. Ale jeśli aktor musi w życiu grać, wcielić się w nową rolę, to — jak uważa Barczewski — tylko do pewnej granicy, której nie można przekroczyć. I dlatego, kto wie, czy nie słusznie, efektywny czyn Burdy nie znajduje akceptacji u starszego kolegi.

szukać prawdy za wszelką cenę. Jakiej prawdy? Ta nonkonformistyczna postawa wynika jednak ze swego rodzaju... komfortu psychicznego — Burda jako aktor roku może sobie pozwolić na wiele więcej niż — powiedzmy — przeciętny halabardnik. Na marginesie podstawowego dyskursu pojawiają się pytania o sens zawodu aktorskiego — czy teatr powinien być uważany przez aktora za własny dom? Czy aktor powinien spełniać wszelkie postęgi dla jego dobra, dbać o porządek, a nawet robić za bilitera, jak uważa Barczewski? Czy też ma być instytucją (choć stojącą w hierarchii ponad innymi instytucjami), gdzie aktor oddany jest specjalnym imunitetom, nietykalny prawie, a jego zadaniem jest grać, grać coraz lepiej.

Ten filmowy dyskurs, trzeba przyznać, zrobiony jest sprawnie, a nawet widowiskowo. Nie wiem tylko, czy konwencja musicalu (przypominająca trochę „Cały ten zgiełk” Boba Fossa) była tu najlepszym rozwiązaniem. Linda śpiewa, ale chyba nie swoim głosem...

Mamy także okazję podpatrzyć trochę światła filmowy, a my, plebejusze, zawsze tego łakniemy, nawet gdy rzeczony dramat nie rozgrywa się w Hollywood. Pojawiają się też na ekranie dziennikarze, ich obraz w polskim filmie od wielu lat jest podobny: to najczęściej kreatura, pozbawiona skrupułów, nie wychylająca się poza pewną normę. Tak jest i w filmie Kijowskiego. A swoją drogą — ciekawe dlaczego tak się dostaje dziennikarzom?

Dla równowagi widzimy też próby spontanicznej działalności młodych aktorów, co to chcą zrobić własny, eksperymentalny teatr i całe przedsięwzięcie

skazane jest, tak jak w „Wolnych chwilach” Barańskiego, na niepowodzenie. Stare magazyny to nie miejsce dla młodych, zdolnych ludzi. Pomocna dłoń mecenas państwowego zostaje wyciągnięta w odpowiednim momencie — młodzi dostają swój teatr zaadaptowany z dawnych pomieszczeń operetki. To spektakularny gest upadającej władzy. Młodzi zdają się jednak tego nie dostrzegać. Tylko Burda jak Hamlet, jak Lorenzaccio, jak Don Carlos zdaje się widzieć więcej. I być może dlatego płaci najwyższą cenę.

Cały dramat prawdy i fałszu (ceny za prawdę) rozgrywa się, co reżyser sugeruje bardzo delikatnie, tuż przed sierpniem 80. roku. I chyba niepostrzeżenie cała akcja została usytuowana w konkretnej, jakże przełomowej w tym wypadku, epoce. Wszystko co rozgrywa się między Burdą i Barczewskim to przecież dramat ponadczasowy. Pytania o sens życia są aktualne w każdym czasie, w każdym wymiarze. Podobne pytania zadawał już Szekspir i wielu, wielu przed nim. Kijowski nie mógł się jednak zdecydować — jedną nogą tkwiący w uniwersum, drugą jeszcze w poetyce kina moralnego niepokoju.

I nasycenie realiami, choć delikatne, jak już wspomnieliśmy, mogłoby sugerować jakieś inne odczytanie przesłania filmu. Ot choćby takie: samotność i zagubienie polskiej inteligencji w epoce przedsielnicowej. Nie, chyba nie o to chodziło Kijowskiemu. Burda poprzez swój talent, a nade wszystko nadzwyczajność, wyraża ponad przeciętność i nie może symbolizować całego pokolenia. Którego to już z kolei — straconego?

I choć to Burda z właściwa

sobie wirtuozerią zmienia rolę (Gustawa w Konrada?) i słowo staje się czynem, gest faktem dokonany, nie o taki czyn chyba chodziło. I choć w jednoaktówce — Śmierć artysty w lesie — tylko on gra swoją rolę do końca, i to on „budzi się” z podziwem przekonani — dlaczego? Chyba że jest to jedyna rola, jaką mógł zagrać do końca, wcielić się w nią bez granic.

Sztuka rzadko ofiar, ale czyż takich? Na stadionie, gdzie cały film zaczyna się i kończy. Barczewski w rozmowie z dziennikarzem odcina się od takich gestów, uważa, że jest sprzeczny z etosem aktora. Ale czy Burda już funkcjonuje inaczej, o czym Barczewski jeszcze nie wie — sakralizuje się, tworzy się mit. Młodzi ostentacyjnie opuszczają starego aktora. Prawda, absolutna prawda jest komfortem, na który stać tylko szaleńców i samobójców.

Ala co to jest prawda abso-

lutna? W tej powszechnej maskaradzie, w której przyszło nam uczestniczyć, nielato odpowie dzieć na to pytanie. Może, gdy zdejmniemy maski, okaże się, że pod spodem jesteśmy Murzynami. Ale zostanie jeszcze jeden ruch... I jeszcze jeden. W tym zdejmowaniu masek nie ma końca.

JACEK MACIASZEK

Śmierć artysty w lesie

na próbę. Ale Genet idzie jeszcze dalej w tej maskaradzie. Sztuka jest przeznaczona dla aktorów-Murzynów. W ostentacyjności mogą ich zastąpić biali, ale wedle sugestii autora — ucharakteryzowani na czarnych, a następnie przebrani w maski białych...

Śmierć artysty w lesie nie należy do najłatwiejszych ról. Rece drżą otwierając ampulkę, brzytwy nie można znaleźć, pośpiech nie gwarantuje sukcesu. Ale jeśli jest się aktorem, trzeba grać, nawet dla jednego widza, nawet przed samym sobą lub przed bogiem. W filmie Janusza Kijowskiego scena śmierci w lesie powtarza się wkrótce obsesyjnie i nie bez przyczyny. Przez jesienne liście scenę tę obserw-

W dobrym aktorstwie liczy się gest (ten wystudiowany) i poza. To nieodłączny atrybut tego zawodu. Potem praca, rzemiosło... Zbytne wcielenie się w jakąkolwiek rolę może doprowadzić do... Jedyną ofiarą tej maskarady będzie jej przypadkowy obserwator Burda i tym gestem przekreśli swoje poprzednie blazenady, gestem niepowtarzalnym i jedynym (ale czy prawdziwym?) odcina się od kabotyństwa tak popularnego w aktorskim fachu, od kabotyństwa nas wszystkich. Odcina się? Czy może sankcjonuje je? Docenia jego eksplację Burdy, choć motywy tego poświęcenia, trzeba przyznać, nie do końca są dla nas jasne.

Ten hamletyczny dramat

Rzeczywistość i złuda, prawda i fałsz, życie i gra przenikają się na ekranie (dzięki sprawnemu montażowi), przebieg z jednej strony do drugiej następuje niepostrzeżenie i błyskawicznie. Rozterki młodego aktora, który w poszukiwaniu prawdy ginie tragicznie. Temat jakby skądś znany. Głębokości poeci, malarzy, ginących kompozytorzy. Aktorzy umierali na scenie. Czyżby film miał być próbą dowartościowania upadającego etosu aktora? Linda-Burda, w poprzednich filmach perfekcyjny, a co najmniej świeży i młodziutki, tutaj jednak jakby nie mógł udźwignąć swojej złożonej roli, roli skonstruowanej wedle romantycznego klucza. Kijowski każe mu więc

O Antonim Bohdziewicz (1906 - 1970)

Nie należę do wielbicieli oficjalnych uroczystości, a więc na spotkanie z okazji nadania imienia Antoniego Bohdziewicza głównej sali PWSFTiTu szedłem z obawami, gdyż sądziłem, że będzie długo, nudno i usypiająco.

Na szczęście prelegenci okazali podobną niechęć do podniosłej atmosfery i nikogo nie zdołali wykończyć, na co być może wpłynął podmiot ich wywrażeń.

Oto, co uchwyciłem.

Antoni Bohdziewicz rozpoczął pracę jako spiker w warszawskim radiu i na łamach

„Zagorów” zamieszczał filmowe scenariusze, a podczas pobytu na stypendium w Paryżu asystentował René Clairowi. W czasie wojny kierował referatem filmowym na Wydziale Propagandy Armii Krajowej, co zaowocowało dokumentalnym utrwaleniem warszawskiego powstania. W 1948 roku współzakończył łódzką szkołę filmową, w której wykładał reżyserię. Po pięćdziesiątym szóstym roku kierował kilkoma zespołami filmowymi, a jednocześnie współorganizował polską sekcję DKF, której to organizacji jako całości był pewien czas prezesem. Obok filmów krótko-

metrażowych nakręcił kilka fabularnych: m.in. „Za nami półdla inni”, „Kołose szczęści”, „Wilczy bilet”.

Zazwyczaj o zmarłych nie mówi się źle, ale jeśli tadeń z wspomnień nie wylewa ani kropki złości, to chyba na tej podstawie można sformułować kilka superlatywów.

Z tych okolicznościowych przypomnień wyłania się wizerunek fachowca i pasjonata wszystkiego, co z filmem związane, ale co najważniejsze, wizerunek ów jest tylko częścią do portretu człowieka. Bardzo trudno spełniać się twórczo i jednocześnie pozostać człowiekiem, a właściwie poprzez swoje człowieczeństwo, które wynikać musi z określonych zasad — stałych i niezmiennych — spełniać się twórczo.

I pewnie dlatego, że Antoni Bohdziewicz złaził serce i talent w naturalną całość, dając w jego bliskich i przyjaciółach nuta sentymentu.

T. KUB.

LDK — „Video 87”

W Łódzkim Domu Kultury odbył się II Ogólnopolski Przegląd Twórczości Niekommercjalej — „Video 87”, a więc impreza, która prezentuje dorobek amatorów-hobbistów, blakających się obok tzw. branży.

Autorów nie przyjechało wielu, co trochę mnie zdziwiło, ponieważ jury było profesjonalne i nie tylko rozdzieliło nagrody (trzy pierwsze równorzędne i trzy wyróżnienia), ale również pragnęło czegoś nauczyć.

Powinno nam być napisane, że widać pasję i szczerą zaangażowanie twórców w swoje dokonania, ale szlachetne intencje to dopiero początek, a dalej jest umiejętność ustawienia

się wobec siebie i swojej pracy w pozycji względnie bezstronnego obserwatora, aby ewentualny talent mógł się krystalizować.

Być może nie należy snuć takich wywodów, bo przecież chodzi o zabawę, ale co stoi na przeszkodzie, aby była to zabawa na wyższym poziomie, a posładki przedstawiciela pracy — w tym wypadku moje — nie wołały o pomoc do nieba?

Na pewno braku sprzętów, w poważnym stopniu determinują autorów, ale to tylko częściowy argument na brak dyscypliny scenariuszowej, a i, prawdę mówiąc, pomysłowości.

Tylko jeden film na ponad czterdzieści — „Pan Tadeusz,

czyli pierwszy zajazd w PRL” Aleksandra Dyla — zwracał uwagę. Była i rzetelność formalna, ale i temat.

Wyróżnia się dwa nurty produkcji niekommercjalej — reportaż i kreacje — przy czym w warunkach luki technologicznej technika wideo bardziej sprzyja tej pierwszej formie wypowiedzi, gdyż przy pewnym sprycie można ją „oszukiwać” montaż.

T. KUB.

TVP

Daniel Passent i inni

W czasach, kiedy istniał Studencki Teatr Uniwersytetu Łódzkiego (STUL) i kiedy zaczynała mrugać reżyserska gwiazda Jerzego Hufka (teraz obecny dyrektor Teatru Nowego) pamięta ten epizod w swoich autobiografiach szef ensemble'u Marian Glinkowski rozrzucający udaną premierę i drinkim z tej okazji zwykły wygłaszać taką oto refleksję: „Wszystcyśmy wychowali się na piosence” Kiwałymi aproba-kach, a pieśń aktor-torka STUL-u Alicja Oginińska wchodziła na scenę i śpiewała różne przebrania, ale bliższe sercu przeboje.

Gdyby wrócił teraz tamten czas Marian Glinkowski zapewne nie o piosence by mó-

wił. Powiedziałby, że wszyscy wychowaliśmy się na telewizji. I znów nikt by nie zaprzeczył.

Z okazji swojego 33-lecia, w sobotę 14 listopada, telewizja nadała parę programów wspominkowych. Z równym rozróżnieniem, które malowało się na twarzach Edyty Woźniak i Jana Suzina oglądało te programy milion widzów. Pewnie nawet żalowało, że to trzydziści piąt lat przedstawiono tak zdawkowo w paru minutach młgaw-kach. Aż dziw bierze, że nie było stać redaktorów na ucz-niejszy jubileusz. „Tamy i tamtych lat” dawały wspaniałą okazję, aby ów trzydziestoletni dorobek atrakcyjnie zdyskontować. Był znakomity moment, aby widzom pokazać:

tak zaczynaliśmy, tego dokonaliśmy, tak rozwijaliśmy się.

Choć z drugiej strony moge rozumieć tę nagłą skromność obecnych redaktorów TVP: co będziemy przypominać przeszłość, nie swoje programy, cudze dni świetności. Jeszcze widzą zaczęły porównywać, konfrontować i oceniać. I wtedy mogłoby się okazać, że te różnice nie zawsze świadczą o postępie w stosunku do tego, co było kiedyś. Tym bardziej, że telewizyjna widownia wspomina nie tylko przeszłość TVP, ale i swoją młodość.

Aby być sprawiedliwym, trzeba jednak powiedzieć, że takie porównania są mimo wszystko fałszywe. Czas są inne, ludzie są inni i telewizja jest całkiem inna. Zmieniły się techniki, poszerzył się i to bardzo znacznie krąg odbiorców, zwielokrotniły się i zróżnicowały funkcje przekazu telewizyjnego. Dzięki narastającej roli wideo, a w niedalekiej przyszłości dzięki telewizji satelitarnej, TVP straci monopol i będzie musiała zabiegać ze wszystkich sił i możliwości o swojego odbiorcę.

Powiem więc, że dla nas widzów idą lepsze czasy. Tymczasem uzbójmy się w cierpliwość i przecekalmy. I korzystajmy — co proponuje zawołany rzecznik rewolucji audiowizualnej Krzysztof Teo-

dor Toeplitz — często z urzędu, w które wyposażony jest każdy odbiórnik tv, a mianowicie z wyłącznika. Przekreślajmy go w momencie, kiedy np. na małym ekranie ujrzymy Barbarę Borys-Damiećką, która nagle staje się redaktorką-rozmówczynią i usiłuje prowadzić rozmowę na temat polityki i negatywnych TVP (program „Mówiac między nami”). Wszyscy, których w tym programie obejrzelismy (i nie-stety wysłuchaliśmy) to znaczy Jerzy Gruba, Olga Lipińska, Krzysztof Teodor Toeplitz i wspomniana już Barbara Borys-Damiećka (skądinąd bardzo dobra realizatorka obrazu tv) nie bardzo wiedzieli o czym ma być ich rozmowa. Choć każdy z rozmówców doskonale wie, że nie wystarczy usiąść i coś mówić, aby z tego powstał solidny i w miarę mądry program. To Gruba powiedział podczas tej audycji, że w tym ważny jest pomysł. Bez tego wszystko zamienia się w bełkotliwy szum informacyjny. A tu jedynym pomysłem (Gęśli taki w ogóle istniał) było to, aby obsadzić w roli prowadzącej Barbarę Borys-Damiećką, która co i raz popatrywała w bok i sprawowała w monotonie jak też wypada w kolumnie jej fryzura i lewy profil.

Nie bawię się w eufemizmy,

bo tak nakazuje potrzeba. Głosność to głosność. Sami uczestnicy audycji, o której piszę dopominali się od siebie nawzajem nazwisk autorów i tytułów programów, które krytykowali. I słusznie.

Pośród wielu audycji, które pojawiły się w ciągu ostatnich miesięcy w TVP wyróżnia się zdecydowanie program zatytułowany „Goście Daniela Passenta”. Mimo tradycyjnej formuły „rozmowy przy okragłym stoliku” audycja przyciąga uwagę telewizyjną przynajmniej z dwóch powodów. Przyczyna pierwsza jest jakby oczywista: sam gospodarz, jego swada, zmysł publicystyczny i niekwestionowany dziennikarski autorytet. I według drugiego, który decyduje o randze programu to jego problematyka. Zawsze aktualna, dyskutowana na łamach czasopism i poza nimi, powiedziałabym nawet biorąc pod uwagę tradycję TVP — odważna. Daniel Passent z niejaka dezynwolturą udowodniła, że przed kamerami tv można mówić o wszystkim. I co najważniejsze — potrafi prowadzić rozmowę ze swoimi gośćmi, zadaje pytania, które akurat chcieliby zadać zgromadzeni przed odbiórnikami widzowie. Ale i ripostuje, zmuszając rozmówców do wyłożenia wszystkich argumentów. No i nie mówi, że „rozmowa

nie wyczerpała wszystkich wątków, zatem do tematu będziemy wracać”. Takie „pointy”, czyli ciche gadanie towarzyszy wielu tzw. telewizyjnym dyskusjom.

Obserwując od wielu miesięcy wysiłki szefów i redaktorów naczelnych z gmachów przy ul. Woronicza można tymczasem rzec, że wraca nowe. Znow powstała nobliwa społeczna Rada Programowa i znów odbywa posiedzenia. Bywały takie Rady i poprzednio a nie żółci wylewali potem z siebie uczestnicy doradczego gremium świećąc oczami za nie swoje grzechy. Jak będzie teraz? Nie ma co bawić się w przypuszczenia i w prognozy. Z personalnego składu Rady Programowej wynika, że i tym razem TVP pragnie zabezpieczyć się na wszystkie strony. A konieczna pieriestrojka miast od działania zaczyna od nobliwych zebrań i posiedzeń.

Przypominam więc sobie i wszystkim telewizjom, że nasze odbiórniki tv mają klawisz do wyłączania.

WIT ZAKROTA

Graniczna stacja — Erlan. Po dziewięciu dniach podróży przez Związek Radziecki i Mongolie. Pociąg bardzo powoli wjeżdża na stację.

Na dworcu w Erlan.

Pełne zaskoczenie. Zabudowania dworca lśnią jak noworoczna choinka — tyle tam neonów. Na peronie, na baczność płatkami w galowych mundurach stoją urzędnicy celnicy i służba kontroli granicznej. Pociąg staje. Pierwszy spośród każdej płatki ustawiony jest teraz na wprost drzwi wejściowych do wagonu. Wsiadają bardzo sprawnie. Odbijają się kontrole: zdrowotna, paszportowa i celna. Otrzymujemy do wypełnienia deklaracje zdrowia zredagowane w języku angielskim, ale bardzo trudno pojąć sens pytań ankiet. Nim wszyscy udzielili pełnych odpowiedzi na pytania zawarte w formularzach już kolejny Chińczyk zbiera je. Podobnie jest z deklaracjami celnymi. Wszystko to jest czystą formalnością. Nikt nie sprawdza nam bagaży. Po chwili dowiadujemy się, że wolno nam wysiąść z pociągu. To nowość. Mamy około dwóch godzin czasu. Bierzymy nasze plecaki i na peron. Ustawiamy wszystkie kolejno w rzadek. Pociąg tymczasem odjeżdża aby... zmienić podwozia z szerokich na wąskie.

Jest godzina druga w nocy — 14 sierpnia 1987 r. — na stacji otwarta kasa wymiany walut, kiosk z pocztówkami, sokami i piwem: można pójść do baru napić się herbaty albo sake. Pierwszy tyk i osłupienie — coś jakby mocny gin pomieszany z perfumami. Pod koniec pobytu w Chinach przyzwyczajamy się do tego smaku.

Jest w Erlanie również czytelnia czy biblioteka — mnóstwo tam reklamówek o Chinach we wszystkich możliwych językach. Takie reklamówki podczas naszej podróży będziemy spotykać na każdym kroku. Ale z Erlanu każdy zabiera poważną ich garść — na pamiątkę.

Gwizd, świst i wjeżdża pociąg — specjalnie dla naszej grupy przydzielono dodatkowy wagon. Traktują nas tak — bo każdy biały płaci tam dolarami, a do tego płaci co najmniej dwa razy tyle co Chińczyk. Czekają nas jeszcze czternaście godzin jazdy i... Pekin. Po drodze dziesięć minutowa przerwa — wszyscy wysiadają z pociągu — jest okazja, aby sfotografować Wielki Mur Chiński.

Pekin — wielkie zaskoczenie.

Wczesnym popołudniem wjeżdżamy na dworzec w Pekinie. Wprawia mnie w zachwyt znajdująca się tam zieleń — ogromne palmy posadzone w wielkich donicach. Pada deszcz i przeczy to moim wyobrażeniom, zacierpiętych z książek, o suchej północy Chin. Czym prędzej wybieramy z pociągu, aby jak najszybciej znaleźć się w poczekalni i kupić bilet na dalszą podróż. W Pekinie, jak i w większości dużych miast chińskich, które odwiedzane są przez turystów z Zachodu — na dworcach znajdują się dla nich osobne poczekalnie. W takim pomieszczeniu jest dużo, są wygodne fotele i zamontowana jest klimatyzacja. Obsługa zna języki obce. Tam właśnie poznałem Chińczyków natomiast czekają na pociąg w wielkiej hali, gdzie są bardzo stłoczeni. Siedzą jak się da i gdzie się da.

W Pekinie zabawiliśmy tylko jeden dzień, gdyż udało nam się kupić po wielu trudnościach w porozumieniu się co do miejsca i terminu wyjazdu tudzież ilości osób — bilet do Chongqing, 2200 km na południowy zachód od Pekinu. Teraz już spokojnie możemy iść zobaczyć miasto i poszukać hotelu.

Nagle, otykam się. W poprzek drogi jest wyciągnięta czyjaś noga. Ze zdziwieniem rozglądam się wokół i widzę, że cały plac przed stacją usłany jest kuczącymi się leżącymi na matach bądź gazetach Chińczykami. Każdy ścisną w ręku jakiś tobolek. Aha, to podróżni czekający na pociąg. Niezwykle cierpliwi — siedzieć tak i moknąć? brrr...

Gdzieś z boku znajdują się małe straganiki, w których można kupić coś do zjedzenia. Kierujemy się w tamą stronę, lecz musimy przystanąć. Obstawili nas napastliwi sprzedawcy planów Beijingu (chińska nazwa Pekinu). Po pięć jao za sztukę. Plan jest tylko w języku chińskim. Kupujemy. Zabytki są dobrze oznaczone a linie autobusowe oznaczone cyframi arabskimi.

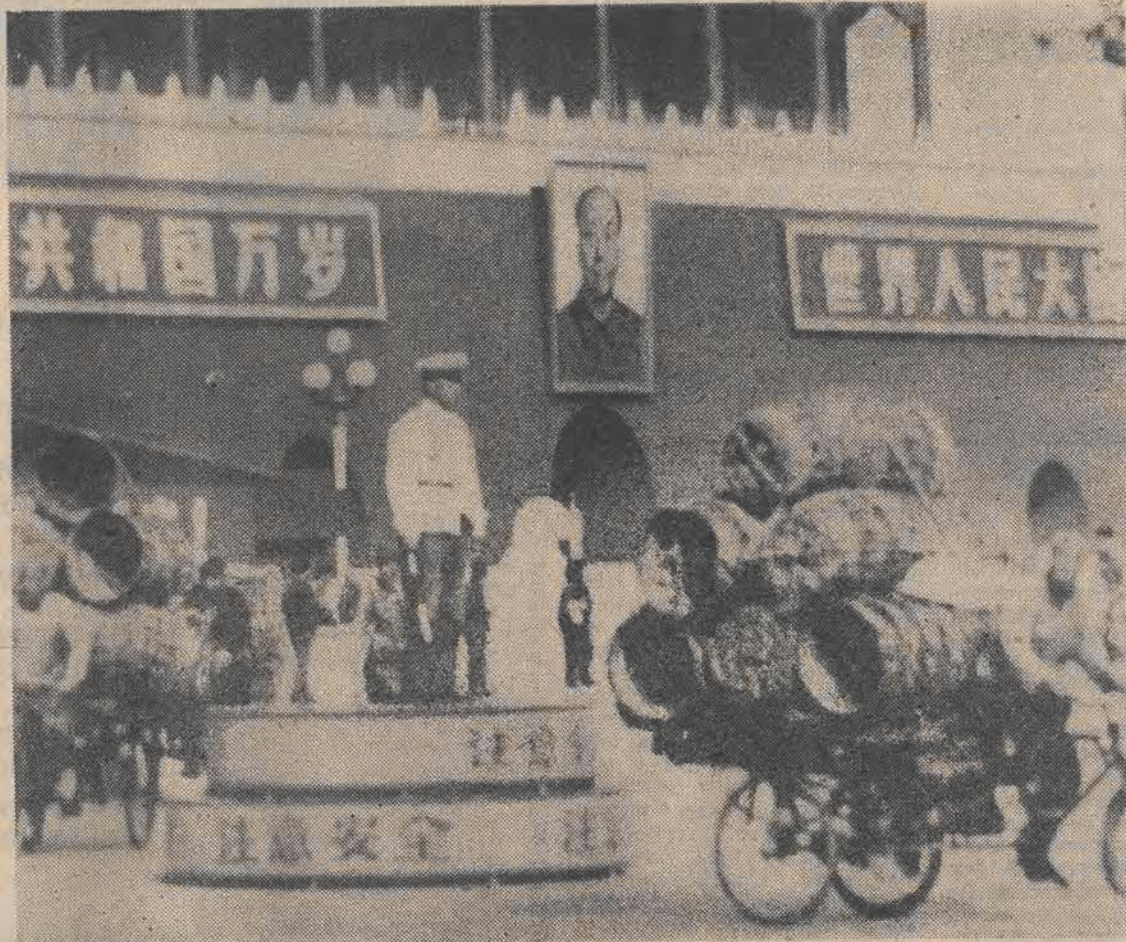
Po krótkiej rozmowie z przygodnie spotkanym Anglikiem mamy na mapie zaznaczoną kropkę w miejscu Fei Xia Hotel, w którym ponoć są wolne miejsca. Wsiadamy w metro. Jedziemy trzy stacje. Wychodzimy na skrzyżowanie. A tam okazuje się, że czeka nas jeszcze jazda autobusem.

W autobusie.

W chwili, gdy autobus podjeżdża na przystanek, oczekujący ludzie szturmują oba wejścia, w tym samym czasie wysiadający przepychają się i wykręcają sobie nawzajem ręce. My pchamy się z plecakami do środka. Wsiadliśmy. Ale nie wszystkim to się udało. W środku jest już z ludzi „marmolada”. Placimy za przejazd. Konduktor każe wstać siedzącemu najbliżej mnie pasażerowi — miejsce jest dla mnie. Po chwili przez głośnik informuje jaki jest najbliższy przystanek. I zaczyna się polowanie... Konduktor musi wypaść z tłumu wszystkich tych, którzy wsiadli na ostatnim przystanku i nie zapłacili jeszcze za przejazd. To taka gra. Chińczyk wsiada do autobusu, od razu plecami się ustawia do konduktora. Autobus musi zatem obsługiwać trzy osoby: kierowcę i dwóch konduktorów — aby opanować sytuację: aby od wszystkich zebrać pieniądze za bilet.

Jedziemy tylko dwa przystanki. Hotel odnajdujemy bez trudu, ale nie ma miejsc. Po długich tłumaczeniach otrzymujemy nocleg w pokoju wieloosobowym. Następny nocleg również mieliśmy w tym hotelu. Wieczorem wracamy i jakże wielkie jest nasze zdziwienie. Z pokoju zrobili się dwa pokoje. W ciągu jednego dnia wybudowano z dyktu ściankę działową, poprzysuwano tapczany. Dlaczego? Ano placiliśmy za miejsca w pokojach trzyosobowych, toteż teraz mieliśmy dwa pokoje trzyosobowe.

Dzień spędziliśmy na zwiedzaniu Pekinu. Najpierw do Tienanmenu — największego placu świata usytuowanego w centrum miasta oraz do Zakazanego Miasta — Zimowej Re-



Chiny mnie nie zawiodły

Komputer i tradycja

IWONA MARZANNA KNYPL

zydencji Cesarskiej, wybudowanej w latach 1406-1420 za czasów panowania w Chinach dynastii Ming. Wszędzie tłum, na placu i w samym Zakazanym Mieście również. Dużo było dopiero w Pałacowym Muzeum, ale bilet wstępu do niego był trzydzieści razy droższy od biletu wstępu do rezydencji. Wewnątrz byli tylko obcokrajowcy. Szczególnie ciekawa dla mnie była ekspozycja dawnych rekwizytów i szat używanych w przedstawieniach Opery Pekinńskiej.

W pociągu.

Następnego dnia jesteśmy na dworcu wczesniej. Wszystkim Chińczykom kontrolerzy sprawdzają bilety przed wejściem do hali głównej — my przechodzimy nie zatrzymując. Niestety mamy najgorzej klasę — hard sitter — wagon bez przedziałów, miejsca po dwie i trzy osoby. Odprawa pasażerów kończy się na piętnaście minut przed odjazdem pociągu, aby wyeliminować gapowiczów. Gdyby nie sprawdzano biletów pociąg pękłby w szwach.

Wszyscy wokół ciekawie na nas „typia”. Zadzają sobie pewnie w duchu pytanie: dlaczego oni jadą tą klasą — przecież powinni jechać najdroższą? My zaś nie dostaliśmy innych biletów, bo nie było, a zresztą bardzo chętnie poznamy chiński folklor.

Wagon jest przepelniony. Wszystkie miejsca są zajęte, podłoga również. Chociaż teoretycznie powinna być wolna, gdyż do każdego biletu kupowanego w dużych miastach chińskich należy nabyć również miejscówkę. Wstaje na chwilę, aby spróbować przejść się trochę i rozprostować kości. I już jakiś Chińczyk siedzi na moim miejscu — gdy wracam natychmiast wstaje. Ojoj — umie ten naród gospodarować przestrzenią i własnymi siłami. Koszmar zaczyna się dopiero nocą. Nie ma mowy o spaniu, jedynie można zapaść w marną drzemkę, z której i tak wyrwie mnie przeraźliwy krzyk... Co się stało? Przalczna sytuacja: jeden Chińczyk wszedł na półkę przeznaczoną dla bagażu, widząc tam kawałek wolnej przestrzeni do spania. Drugi był zazdrosny. Długo się nie zastanawiając podstawił śpiącemu pod obnażone plecy zapalniczkę z ogniem. Może uznał, że powinna nastąpić zmiana na „leżance”.

Pomimo starań obsługi w pociągu jest brudno. Nie ma koszy na śmieci. Duże odpady: puszki po konserwach, butelki wyrzuca się za okno, zaś skorupki od jajek czy łuski od orzeszków ziemnych rzuca się pod nogi. Co jakiś czas przechodzi zmiatacz i to sprząta. Nie wiele to jednak pomaga.

Obsługa pociągu jest bardzo uprzejma. Stale, za jej sprawą, dostępny jest wrzatek, roznoszony po całym wagonie w kilkultrowych

termosach. Rozwożone jest również bardzo tanie jedzenie składające się z ryżu i mięsnego sosu. W każdym rogu jest monitor i wieczorami puszczane są filmy wideo. Ożeniony jest tam najnowocześniejszy XX wiek z XIX.

Obserwacje.

Dalo się to odczuć również w samym Chongqing. Chodzę i obserwuję masło, życie ludzi, ich zachowanie. Przechodząc jedną z wąskich uliczek leżących blisko rzecznego portu na Jangcy poczułam nagle, że coś koło mnie chlusnęło z góry. Chwilowe skonsternowanie. Tak, to pomyje z okna zostały wylane na ulicę. Wyciągam z tego naukę, że zawsze należy wędrować środkiem drogi i mniej się obawiać pojazdów niż pomyj. A tuż niedaleczko, bo po drugiej stronie tej „średniowiecznej” uliczki siedzą grupki ludzi skupionych wokół odbiorników telewizyjnych i grających w gry komputerowe.

Za komputerami znajdują się stanowiska sprzedawców: od płodów ziemi po najnowszy sprzęt elektroniczny. Sprzedaje się żywe zwierzątka i ręczne wyroby sztuki chińskiej. Przeszłam jeszcze kawałek i właśnie któregoś z ulicznych sprzedawców macha do mnie ręką, oferując mi kisie bananów. Przechodzę dalej — nadal nie mam spokoju, teraz już bardziej natrętnie próbują wmówić mi kupno brzoskwiń. Niebezpiecznie je spożywać, gdyż polewane wodą dla zachowania świeżości na pewno zakażone są amebą.

No, nareszcie widzę coś dla siebie. Jak okiem sięgnąć cały chodnik na powierzchnię kilkunastu metrów kwadratowych usłany jest arbuzami. Pytam o cenę za jednego dzina (około 300 g). Odpowiedź 25 fenów. W porządku. Wybieram przyzwicie wyglądający owoc i daję do zważenia. Po dokonaniu tej karkołomnej operacji słyszę, że mam zapłacić 4 yuany. Nigdy w życiu. Z Chińczykami zawsze opłaci się targować. Śmieję się w głos i na własnym kalkulatorze wystukuję cenę dwa razy niższą. Teraz z kolei roześmiał się chiński straganiarz. Przedstawienie trwa. Trochę spuścił. To ja podnoszę cenę o dziesiętkę. W końcu stanęło 2 yuany 90 fenów. Placę.

Chińczycy potrafili dobrze pracować i być oszczędnymi, kiedy pracują bezpośrednio dla siebie. Kiedy cały wytwór tej pracy przeznaczony jest na ich własne potrzeby. Na wsi widziałam z jaką skrupulatnością wykorzystują każdy, najbardziej nawet pofalowany skrawek ziemi. Mikroskopijne poletki obrabiane przy pomocy motyki i kładzi do noszenia wody.

W Zheng Zhou, mieście wypadowym na wybieżkę do klasztoru Shaolin zmuszeni jesteśmy czekać na dworcu około dwóch godzin do odjazdu pociągu. W hali dworcowej jest strasznie duszno. Nie ma tam poczekalni dla turystów zagranicznych. Decydujemy się przypchnąć chińskim sposobem na placu przed stacją. Plecaki posłużą nam jako siedzenia. Kupujemy po plastikowym hermetycznie zamkniętym pudełku z ryżem i warzywami. Zaczynamy spożywać posiłek. Obstawili nas Chińczycy. Stanowimy wielką atrakcję (tego dnia nie spotkaliśmy innych Europejczyków). Czujemy się już trochę nieswojo, a ludzi otaczających nas wciąż przybywa.

Wybawienie z tej opresji przyszło dla nas całkiem nieoczekiwanie za sprawą... milicjanta, który zainteresował się niecodziennym zbiorowiskiem ludzi. W mgnieniu oka wokół nas puciołki i mogliśmy odetchnąć świeższym, choć i tak bardzo gorącym i zakurzone powietrzem. Z początku milicjant pokrzykując przepędził mniej zagorzałych podpatrywaczy. Tych bardziej opornych kopniakami zmusił do rozjeżdżenia się.

Wciąż jeszcze widać straszne spustoszenia, jakie na tym polu poczynił okres rewolucji kulturalnej i owe już historyczne mundurki. Ludzie zatrucili poczucie odrębności ubioru i nie przywiązują do niego żadnej wagi. Meżczyźni z reguły chodzą ubrani w spodnie wojskowe koloru khaki lub granatowego. Kobiety również ubierają się w spodnie. Podobne do tych męskich, skutecznie zasłaniające i tuszujące wszelkie wdzięki ciała. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć przypadki, kiedy na ulicy widziałam Chinki ubrane modnie i gustownie. Sukienki prawie wcale nie noszą, bo niepraktyczne do pracy i wykonywania domowych obowiązków. Noszą proste jasne koszule z kołnierzykiem. A jakież ont świetne i modne ubrania mają na swoich targowiskach. Dżinsy laciute, sprane, kwoiki puchowe w wielu fasonach, podkoszulki bawełniane jednobarwne bądź z nadrukami czy tradycyjnymi ręcznymi malowaniami. Nie jest to drogie. Pensja inżyniera chińskiego wystarczałaby na zakup dziesięciu par takich najmodniejszych dżinsów.

Powrót.

Pociąg z Pekinu do Ulan Bator odchodził 5 września 1987 r. o godzinie 7.40. Mamy mieć miejsca w klasie hard sleeper — jest to druga klasa wagonów sypialnych. Na dworcu jesteśmy pół godziny przed odjazdem pociągu. Nie ma żadnej kontroli, każdemu wolno wejść na peron. Okazuje się, że skoro jest to pociąg międzynarodowy, nie ma obawy, że gapowicze będą próbowali tam się dostać. Wsiadamy do wagonu. I znowu wielkie zaskoczenie. Nie ma tam wcale przedziałów tej klasy. Wszystkie są typu soft sleeper czyli pierwszej klasy. Nie poinformowano nas o tym przy zakupie biletów. Nie mogliśmy więc wtedy pojąć kalkulacji tak wysokiej ceny. Zapłaciliśmy trzy razy tyle, co za drugą klasę na analogicznym dystansie, tylko że na trasie krajowej. Chiny mnie nie zawiodły.



Uwaga! Uczestnicy obozów „Awangarda XXI” w Płocku i Zaleczu Wielkim

Organizatorzy obozów „Awangarda XXI” w Płocku i Zaleczu Wielkim chcieliby również w 1988 roku urządzić podobne obozy i zaprosić na nie między innymi uczestników obozów z 1987 roku. Patronat nad obozami, które miałyby być urządzane w 1988 roku, przejął redakcja „Odgłosów”. Chcielibyśmy, aby przygotowani do obozów trwali przez cały okres nauki. Chcielibyśmy, aby program tych obozów powstawał już teraz, aby sam ich przebieg latem 1988 roku był ukoronowaniem wcześniejszej pracy. Proponujemy, aby praca odbywała się w grupach zainteresowania.

Zaprosiliśmy do redakcji grupę uczestników obozu w Płocku i Zaleczu Wielkim i wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, jak przygotować program pracy na obozach 1988 roku. W spotkaniach w redakcji uczestniczyli też specjaliści różnych dziedzin wiedzy, profesorowie i pracownicy łódzkich wyższych uczelni, którzy oferowali swoją pomoc w prowadzeniu grup zainteresowań. Pomoc taką zapewniło Kuratorium Oświaty i Wychowania UML.

Zaproszeni do redakcji uczestnicy obozów w Płocku i Zaleczu Wielkim proponowali utworzenie następujących grup zainteresowania:

1. Filmowa — dla tych, którzy interesują się filmem i chcieliby poznać filmy poświęcone najnowszym dziełom Polski i spotkać się z ich twórcami.

2. Pomoc dla grupy zainteresowania filmem zapewniła Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Teatralna i Telewizyjna. Interesujący się tą dziedziną sztuki mogą poznać historię filmu, obserwować powstawanie przedstawień teatralnych, filmów szkolnych, jak też przy pomocy kamery wideo spróbować swoich sił w robieniu na przykład filmu o życiu na obozie. Propozycja — jak z tego widać — jest szeroka. Do wyboru.

2. Religioznawcza — dla interesujących się historią religii, współczesnymi wyznania. Pomoc dla grupy zapewniła specjalista z wyższych uczelni i Kuratorium.

3. Komputerowa — dla interesujących się programowaniem i pracą komputerów. Kuratorium zapewni fachową pomoc i możliwość korzystania z komputerów.

4. Dziennikarska — dla interesujących się dziennikarstwem. Opiekę nad grupą przejąłby redakcja „Odgłosów”. Umożliwilibyśmy poznanie procesu powstawania gazet, pism, audycji radiowych i telewizyjnych oraz spróbowania swoich sił na przykład przy redagowaniu gazet obozowej.

5. Naukowa — nazwa jest dość dowolna, chodzi mianowicie o grupę interesujących się pracą wyższych uczelni, pracą wybranych Instytutów Politechniki Łódzkiej, UL i innych uczelni. Program tej grupy — gdyby było więcej zainteresowanych — wymaga sprecyzowania.

6. Muzyczna — dla muzykujących, jak i chcących się uczyć grania na różnych instrumentach. Opiekę nad nimi przejąłby specjalista LDK.

7. Sportowa — dla chcących zrobić na obozie prawo jazdy oraz dla amatorów żeglarstwa. Grupa ta ma również zapewnić opiekę i warunki działania.

W niedługim czasie redakcja „Odgłosów” w porozumieniu z wiceprezydentem JANEM NOSKĄ, prześle do uczestników obozów w Płocku i Zaleczu Wielkim zaproszenia na spotkanie z wszystkimi uczestnikami oraz kadry obu obozów. Spotkanie planujemy po 16 grudnia 1987 roku. Miejsce, datę i czas podamy w zaproszeniu. Podamy również wykaz grup już zaproponowanych i będziemy prosili o odpowiedź — na przesłanym Wam druczku — w jakiej grupie zainteresowań chcielibyście pracować oraz, jakie inne grupy zainteresowań należałoby powołać poza tymi, które już zaproponowano. Na spotkaniu z wszystkimi uczestnikami obozów, którzy przyjmą nasze zaproszenie, chcielibyśmy także grupy powołać, aby po Nowym Roku mogły przystąpić do pracy, przygotować programy na okres pracy przed obozem i na obozie. Chcielibyśmy, aby rola organizatorów ograniczała się do zapewnienia pomocy fachowców i warunków do pracy. Sama praca i jej wyniki zależałyby tylko i wyłącznie od Waszej inicjatywy, pomysłów, chęci i wytrwałości.

Chcielibyśmy, aby uczestnicy grup zainteresowań i przyszli obozowicze — mogą też zgłaszać się nowi — spotykali się do wakacji raz w miesiącu na ogólnym zebraniu w którym uczestniczyliby też ludzie nauki, polityki, sztuki, gospodarki według Waszego zapotrzebowania.

Czekajcie zatem na nasze zaproszenie. Już w niedługim czasie powinno do Was dotrzeć. My czekamy na Wasze zgłoszenia.

„ODGŁOSY”

PRYWATNE BIURO TURYSTYCZNE

„PANORAMA”

tel. 57-78-65 Łódź, ul. Wrocławska 10

OFERUJE:

- * Wczasy zimowe
- * Imprezy sylwestrowe
- * Obozy młodzieżowe
- * Wycieczki turystyczne

Biuro realizuje zamówienia osób indywidualnych oraz szkół i instytucji.

2766/k

Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego
im. Obrońców Pokoju
„UNIONTEX”
Łódź ul. Targowa 65

ogłaszają PRZETARG NIEOGRANICZONY

na wykonanie robót zmiany ogrzewania parowego na wodne oraz z wymiennikownią ciepła w pomieszczeniach sal produkcyjnych Z-d „D” w roku 1988.

W ofercie należy podać:

- terminy realizacji
- ceny robocizn i kosztów robót
- Dokumentacja do wglądu w Dziale Gł. Inżyniera ds. Utrzymania Ruchu, tel. 74-17-81.
- Oferty należy składać do dnia 11.XII.87 r. do Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego Łódź, ul. Targowa 65.
- Komisja przetargowa rozpatrzy oferty w dniu 14 grudnia 1987 r., Łódź ul. Kiłińskiego 187 Dział Głównego Inżyniera ds. Utrzymania Ruchu.
- Przedsiębiorstwo zastrzega sobie możliwość odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn oraz dowolnego wyboru oferenta.

2733 k



TOTALIZATOR SPORTOWY

UWAGA, UWAGA!

13.000.000 to tylko dodatek!

Łączna wygrana może wynosić

OD 25 DO 30 MILIONÓW ZŁOTYCH
W SUPER LOTKU.

Czeka na swojego szczęśliwca.

Każdy ma szansę na Super wygraną
kto złoży kupon na zakłady SUPER LOTKA.

Wygrywają tylko i wyłącznie
zwyczajni ludzie, wszyscy
wierni i przypadkowi Klienci
Totalizatora Sportowego!

Warto i należy spróbować szczęścia,
tylko za 100 złotych.

2739 k

Uwaga totkownicze!



TOTALIZATOR SPORTOWY

Najwyższy czas złożyć kupony
na Specjalne Zakłady

Totalizatora Sportowego

Barbórkowo — Mikołajkowe

w dniu 5 grudnia 1987 r.

Czekają na Was

MILIONOWE WYGRANE
I DODATKOWE NAGRODY RZECZOWE!

- 5 samochodów osobowych „Polonez”
- 6 samochodów osobowych FSO 125 P
- 5 ciągników „Ursus” C-330 M
- 5 magnetofonów „Finexja” z zestawem kolumn

Wydatek 125 zł, a nagroda lub jak kto woli upominek wartości wielu milionów złotych.

Skreślamy szczęśliwe 5 liczb z 45.

2682 k

Uwaga ŻEGLARZE, MARYNIŚCI I MIŁOŚNICY MORZA!

Najlepszym upominkiem —
kaseta magnetofonowa
z nagranyimi piosenkami morskimi
w wykonaniu:
Zespołu „Stare Dzwony”, Jurka Porębskiego
oraz „Gdzie ta keja” —
z Festiwalu „Shanties 87”.

Kasety do nabycia w
sklepie „Intertour” sp. z o.o.,
ulica Ogrodowa nr 4, w Łodzi,
do którego zapraszamy od godz. 9 do 17

2686-k



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

26 listopada — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16
3 grudnia — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

Jak podczas poprzednich dyżurów reporterskich również i dyżur polniony przeze mnie w czwartek 18 listopada 1987 r. przyniósł sporą porcję informacji godnych odnotowania. Pierwszy telefon był od B.C. (adres i nazwisko tylko do wiadomości redakcji), który przypomniał, iż w swojej sprawie już dwukrotnie dzwonił do naszej redakcji. Teraz czyni to po raz trzeci. A sprawa jest następująca: matka z dzieckiem (małżeństwo rozwiedzione) zamierza wyjechać za granicę. Od byłego męża mieszkającego w odległym zakątku kraju może w każdej chwili uzyskać potwierdzenie notarialnie zgodę na zabranie dziecka ze sobą. Niestety, twierdzi B.C., Wydział Paszportowy żąda osobistego przyjazdu ojca dziecka. Sprawa ciągnie się już od maja i w tej sytuacji jest nie do załatwienia.

B.C. miał także jeszcze dwie sprawy: pierwsza — dlaczego nie ma części zamiennych do starych marek telewizorów? Wystarczy by „wyśiadł” jakiś opornik lub lampka, a cały, jeszcze dobry telewizor trzeba wyrzucić na śmietnik; druga — dlaczego nie ma w księgarniach książki Andrzeja Makowieckiego pt. „Rapier Napoleona”? B.C. chciałby taką nabyć, ale nie stać go na zapłatę wariackiej ceny na czarnym rynku.

Co do dwóch ostatnich spraw nie jestem kompetentny, by je załatwić. Natomiast odnośnie pierwszej uważałem, że może B.C. pomóc. Połączyłem się ztoż z Naczelnikiem Wydziału Paszportowy Urzędu Wojewódzkiego Spraw Wewnętrznych w Łodzi i po przedstawieniu uwag B.C. uzyskałem zapewnienie, że naczelnik wydziału jest gotów przyjąć B.C. w terminie dla niego dogodnym i sprawę ostatecznie i definitywnie załatwić.

Na moim dyżurze, zgodnie z redakcyjnym anonsem, że kiedyś ktoś szlag trafia może do nas zadzwonić, odezwali się w sumie 16 osób.

Zbigniew Kwiatkowski po przeczytaniu przekładu prasy w „Odgłosach”, z którego to przekładu wynikało, że spora grupa obywateli żyje w biedzie lub skrajnie nędzy natomiast obok egzystuje inna, o wysokich dochodach, bo osiągająca nawet 16 tys. zł miesięcznie. Z.K. nie rozumie: jak dać przy takich dochodach różnicę uznawać za wyjątkowo sumę za „wysoki dochód”? Swoją rozmowę zakończył tak: Po co takie bzdury pisać, panowie!

Władysław Karolak jest zrywany tym, że Polska sprzedaje na eksport węgiel, siarkę i miedź zamiast sprzedawać przynajmniej półfabrykaty, za co można uzyskać dużo większe ceny niż za podstawowy surowiec. Pyta: gdzie są prawa ekonomiczne i zdrowy rozsądek?

Marek Olek z ul. Rodaków 10 — tak wynika z jego słów — jest na granicy wytrzymałości nerwowej. Od 27 lat regularnie opłaca (tzn. w terminie) należność za światło i gaz. Właściciel za niego tę czynność wykonywała pani w jego mieszkaniu, która prowadziła alencję PKO. Zdarzyło się, że za październik 1987 r. zapłaciła z opóźnieniem. I zaraz zawiązała się ekipa z Zakładu Energetycznego Łódź-Południe by wyłączyć M.O. energię elektryczną i gaz. Nawet nikt nie sprawdził, co było przyczyną opóźnienia; przecież mógł człowiek zachorować, wyjechać za granicę itp. M.O. nie może pojąć tego braku zaufania ze strony energetyków.

Jan Michałowski z ul. Zgierskiej 6, którego dom podlega Relonowi Obsługi Mieszkańców nr 10 z ul. Długosza 5. Otóż Urząd M. Łódź 13 listopada 1987 r. powołał sztab kompleksowej kontroli sprawności funkcjonowania administracji budynków mieszkalnych komunalnych, spółdzielczych, zakładów pracy i prywatnych czynszówek. Słowem: wielki przegląd służb administracyjnych oraz ludzi i porządku w osiedlach. J.M. pyta: po co to wszystko? Przecież mieszkańcy swoje uwagi przez całe lata kierowali do urzędów i co? Ano nie. Teraz mają robić to po raz kolejny? Władze terenowe są chyba po to, by należeć i rzetelnie obsługiwać mieszkańców i pilnować ładu i porządku. Są to ich statutowe obowiązki. Co innego, gdyby do takich sztabów powoływali przedstawicieli komitetów blokowych i osiedlowych, którzy znają własny teren. Zresztą, konkluduje J.M., zespoły zostały powołane, ale ich nikt jeszcze na osiedlu nie widział.

Jan Michałowski opowiedział mi także zdarzenie, które w jakimś sensie łączy się z przedstawionym powyżej. Oto na jednym ze spotkań z radnymi był obecny dyrektor PGM (było to w Komitecie Osiedlowym nr 11 na Bałutach). Ludzie mówili o swoich bolączkach, narzekali, atakowali PGM. Wówczas miał wstać dyrektor PGM i powiedzieć: Ludzie, zachowujcie się jak holota!

Jerzy Kaczorowski z ul. Próchnika 15 m. 45. A mówił z desperacją. Od 3 lat stara się o mieszkanie. W jego sprawie interweniowała telewizja. Rodzina — 4 osoby — na sam chory — mieści się w pokoju o powierzchni 10 m kwadratowych. Od dwóch lat w mieszkaniu jest niesprawy piec a PGM nie przewiduje remontów. Natomiast zezwala ogrzewać mieszkanie energią elektryczną i gazem. W 1986 roku zwrócił mu za zużycie gaz i prąd 42 tys. zł. W tym roku jest jeszcze gorzej: na ul. Próchnika wyłączono gaz, trwała jakaś wykopki. J.K., gdy pobiera za dużo prądu, to zaraz pada się przewody pod tynkiem. Chyba będzie zmuszony, powiedział na zakończenie J.K., wejść na dach budynku i skoczyć w dół. Może przynajmniej rodzina znajdzie się w lepszych warunkach.

Kazimiera Brudzyńska z ul. Gdańskiej 28 opowiedziała następującą historię. Na wiosnę tego roku burza zerwała u nich dach, zwała komin. ADM dała naprawić komin postawiła Okazało się, iż pozostałe kominy „nie czyste”. Ludzie nie mogą palić w piecach, a tu zima za pasem. ADM z ul. Mielcarskiej nie reaguje na ich monity. Co dalej? Czyżby ograć mieszkańców?

Jerzy Kozłowski chciałby wiedzieć jak zakończyła się akcja z tzw. przeciekami maternalskimi? Rozpętało burzę i nagle uciechło. Czyżby nie było winnych?

Slawomir Wnuk z ul. Kopernika 10 m. 1. W 1986 roku stracił mieszkanie zastępcze a w nim zerwane podłogi. Postanowił, że jeśli ADM mieszkać się na ul. Barlickiego da mu przydział depek, położony podłogi we własnym zakresie, ADM deski przydzieli, ale na pokój. Brakuje mu pół metra sześć, na kuchnię. ADM na monity ponad odpowiada, że w PRL desek nie ma. Chciał więc zalać betonem, ale ADM nie pozwala. S.W. zadzwonił do redakcji chcąc sprawdzić, czy naprawdę w PRL nie ma depek.

Jadwiga Witeczak z ul. Próchnika 53 nie chce od ROM z ul. Mielcarskiej 35 kupować nowej trzykolorowej budki gazowej, gdyż ma dwie dwukolorowe własne. A wszystko dlatego, że na Próchnika trwają prace wykopiskowe i gazociąg jest zamknięty. Miał napelnić mieszkancom butle w ROM i ludzie dwa tygodnie temu te butle tam zawieźli. I nie. Nie napelniają. Proponują natomiast kupno romowskich, pełnych, trzykolorowych. Jeśli wierzyć Zakładowi Gazociągówemu to gaz do mieszkań na ul. Próchnika powinno dopiero 20 grudnia 1987 r. Co mamy robić? — pyta J.W. w imieniu wszystkich poszkodowanych.

Witold Borucki z ul. Kosmonautów 2 m. 13 czeka od 17 lat na zaistnienie telefonu. Poszedł więc do Urzędu Telekomunikacyjnego Łódź-Południe, aby porozmawiać z dyrektorem. Tam dowiedział się (otrzymał to na piśmie z pieczątką) że dyrektor przyjeżdża do dopiero 7 marca 1988 roku.

Eugeniusz Gąbinowski z ul. Rzgowskiej 131 ma żal do MPO, które w tym roku dwukrotnie podwyższyło opłaty za wywóz śmieci (raz o 30 proc., drugi raz o 40 proc.) a śmieci i tak nie wywozi. Ostatni raz był tu z MPO 5 października 1987 r.

Jarosław Madzerek z ul. Milionowej 102/12 zadzwonił do nas informując, że właśnie na skrzyżowaniu alei Włókniarzy z ul. Lutomierską walają się kupy Totó-Lotka. Opieczetowane, z banderolami, wypielone na losowanie, jakie się odbyło 18 listopada 1987 r.

Tadeusz Dzięciołowski z ul. Pojezierskiej 1 mówi że, od marca 1987 r. nie ma w całym domu gazu, bo im reperują zawór. Spółdzielnia „Osiedle Młodych” z ul. Bratysławskiej 6A tym się nie interesuje, a na pretensje mieszkańców nie reaguje.

Tyle było telefonów od ludzi, których „krew zalała i postanowili z nami podzielić się swoimi smartwieniami.

EUGENIUSZ IWANICKI

Potwierdzam odbiór książek przesłanych mi przez Anonimową Czytelniczkę. Dziękuję! Pozdrawiam!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1

Pod prąd

Pranie w samej wodzie

Napisałem niedawno, iż szanuję Marka Kotańskiego za odwagę publicznego głoszenia własnych poglądów i branie za to odpowiedzialności bez chowania się za plecy rozmaitych gremiów, czy instytucji, jak mają to w zwyczaju inni. I zdanie swoje podtrzymuję mimo, że ostateczna akcja, twórcy „Monaru” nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia. Oglądając bowiem telewizyjną transmisję z Torwaru czułem się tak, jak bym uczestniczył w sesji naukowej pod tytułem: „O wyższości świętej Wielkiej nocy nad świętami Bożego Narodzenia”, zorganizowanej pod patronatem pewnego znanego skądinąd profesora mniemanologii stosowanej.

Ponieważ starano się wychowac mnie w kuliści czystości ciała i ducha, pranie uważałem za czynność bardzo potrzebną i pożyteczną — nawet jeśli jest to pranie naszych narodowych brudów nacoczających Polskę. Sądzę jednak, że po każdym takim praniu powinno być czysto lub przynajmniej czystszej. Bo jeżeli nie jest, znaczy to, że tylko niepotrzebnie straciliśmy czas oraz energię, którą zawsze trzeba oszczędnie gospodarować, a tym bardziej w stanie ostrego kryzysu.

Przykro mi bardzo to napisać, ale spotkanie Marka Kotańskiego z mieszkańcami stolicy na Torwarze, poświęcone problemom alkoholizmu, uważam właśnie za typowe, nieskuteczne pranie, więc — jalone, bez mydła albo proszku czyli w samej tylko wodzie. Można by jeszcze złośliwie dodać: wodzie przelewanej z pustego w próżnię.

Zbyt długo żyję na tym świecie, abym nie pamiętał, ile to już razy mówiliśmy sobie głośno, że alkoholizm w Polsce jest naprawdę wielkim problemem i należy zdecydowanie z nim walczyć. Ba — ileż zgłaszano w tej materii cennych propozycji, jak wiele padało deklaracji, zapewnień, że będzie lepiej — z najwzrostszych nawet trybun. I co? I nie! Jak pilśni, tak pijemy. A można by nawet zaryzykować twierdzenie: i będziemy pić.

Pomyślałem sobie: dlaczego Markowi Kotańskiemu miałoby się nagłe udać to, co nie udawało się dotąd Sejmowi, rządowi, partii? Co? Znaczy on sam jeden w porównaniu z tak potężnymi i liczącymi się siłami? Krótko mówiąc, nie wierzę, aby kolejna akcja Marka Kotańskiego odniosła spodziewany skutek dopóki:

1. Każdy przypadek przebywania w miejscu pracy w stanie nietrzeźwym nie będzie karany przez pracodawcę bez żadnych wyjątków i z największą surowością, czyli nie na natychmiastowym wypowiedzeniu kończąc, ale od niego poczynając (mało przekonujące dla mnie są tu tłumaczenia, że brak ręk do pracy, na miejsce jednego pijącego przyjdzie przecież drugi, itp.);

2. Patrole milicji nie przesłana udawać, iż nie widzą na ulicach pijaków zataczających się, leżących na ławkach, czy gołej ziemi, wzbudzających swym wyglądem i zachowaniem odrazę oraz zgorzienie (jakże łatwość brzmia tłumaczenia, które zdarzało mi się słyszeć, że na przykład w wielu miastach brak izb wytrzeźwień, tudzież — dostatecznej liczby funkcjonariuszy, wobec faktu, że gdy chodzi o inne rodzaje wykroczeń przeciwko porządkowi publicznemu, to milicja działa z podziwu godną skutecznością i konsekwencją);

3. Handel nie skończył oferować nam głównie czyste, podłej wódki i krajowych win zaprawianych siarką, a nie — zanie urozmaicać wreszcie swój ofertę, i to w każdym punkcie sprzedaży (powoływanie się producentów i handlowców na duży popyt na czystą oraz win owocowe traktując jako godziwe w najwzrostszych wartości społeczne!)

Słowem droga do otrzeźwienia Polaków nie wiedzie — moim zdaniem — przez Torwar, gdzie mogą się nawet odcien-

nie spotykać przeciwnicy alkoholizmu, ale — przez dyrektorskie, generalskie i ministerialne gabinety. To w nich bowiem powinny zapadć w końcu takie decyzje, aby każde nierozważne sięgnięcie po alkohol od razu rodziło świadomość konsekwencji tego czynu. I aby były to naprawdę konsekwencje, nie zaś słowa rzucone na wiatr.

JÓZEF RETMAN

2

Nagle zastępstwo

Centralny rejestr

ANDRZEJ KAROL

Funkcjonuje w naszym kraju instytucja, która się nazywa Centralny Rejestr Skazanych. Jak z samej nazwy wynika, jest to kartoteka wszystkich, którzy siedzą bądź siedzieli (z wyjątkiem tych, których kara została zatarta). Nie prowadzimy, ku ubolewaniu organów ścigania, rejestru tych, którzy będą siedzieć...

Do czego ta kartoteka służy, tego akurat nie wiem. Wiem natomiast, że figurowanie w tym rejestrze może uniemożliwić np. otrzymanie pracy związanej z odpowiedzialnością materialną, w przypadku kiedy kandydat — jak wynika z wyroku — okazał pełną niefrasobliwość w tych sprawach i brak poszanowania dla własności społecznej lub prywatnej.

Nie wiem, czy nie protestują przeciw takiej formie kontroli zwolnienicy nieczym nieskrepowanej wolności jednostki. Ja nie tylko nie protestuję — ja mam pomysły, żeby te formy rozszerzyć nawet! Jestem otóż zdania, że wprowadzenie kilku podobnych rejestrów pomogłoby nam w skuteczniejszej pracy nad ogólnym uporządkowaniem naszego kraju.

Przykład pierwszy z brzegu: ogólne jest narzekanie na jakość kadr kierowniczych, na metody doboru ludzi na stanowiska kierownicze itp. A przecież można by łatwo dosyć wprowadzić np. Centralny Rejestr Nieudolnych Kierowników (w skrócie CRNK). Każdy, komu się udało doprowadzić jakiś zakład, jakiś urząd czy inną jednostkę gospodarczą i administracyjną do kompletnie ruiny, rozprężenia i upadku, miałby w tym rejestrze swoją fikszkę. Zgłaszają Kowalskiego do konkursu na dyrektora? Chwileczkę, sprawdzamy w CRNK — jest! Przesłany doprowadził do ruin przedsiębiorstwo do wielomilionowego deficytu. Został za to krzyż? Nie szkodzi, w tym czasie wszyscy dyrektory i prezesi dostawali. Wyeliminowany z konkursu!

Jeszcze skuteczniejszy byłby rejestr idiotów — Centralny Rejestr Idiotów (CRI). Ktoś, kto znalazłby się w tym rejestrze nie miałby szans nie tylko na stanowisko kierownicze, ale nawet na półkierownicze czy ćwierćkierownicze. Na żadne, wymagające najmniej, choćby samodzielnego umysłowego wysiłku umysłowego. Mniemam, że wszyscy przyklasną mojemu pomysłowi — wszak nikt nie uważa się za takiego idiotę, żeby aż znaleźć się w tym pamiętkowym albumie! Zdaje sobie z tego sprawę i dlatego mam pewne propozycje obiektywizacji kryteriów, kwalifikujących delikwenta do rejestru. Odbijają się przecież okresowe akcje weryfikacyjne idiotów, wystarczy tylko zadbać o sporządzenie ewidencji. Oto np. przyjeżdża do miasta znany urodziwiec, który za pomocą dotknięcia ręką, głębokiego zagłębienia w oczy itp. leczy za-

makomitym skutkiem raka mózgu, wrzody żołądka, łupież, wodogłowie i syfilis. Co robią odpowiedzialni służby? Nie-wiele. Ewidencjonują tylko kolejną do cudotwórcy i podstawowe dane osobowe wysyłają do Centralnego Rejestru!

Jedną świetną okazję już przegapiliśmy — bodajże dwa lata temu setki tysięcy Polaków ogarnęła pasja gry, której nazwy już nie pamiętam, a która to gra polegała z grubsza na tym, że trzeba było komuś tam wysłać jakiegoś pieniądza i wpisać się na listę graczy. Gra miała zapewnić wszystkim grającym grubą fortunę w ciągu paru miesięcy. Podejrzewam nawet, że kilku ewentualnych zwycięzców nie było na tym zarobilo — od mianowicie, którzy grę zainicjowali. Gdyby wówczas funkcjonował już Centralny Rejestr Idiotów, to wpłós do niego mogliby bez trudu dokonać funkcjonariusze państwa. Gdyby funkcjonariusze państwa, Poczty Polskiej byli w stanie coś dobrze zrobić, ale to już inne zagadnienie...

Ala może sprawa jest jeszcze do uratowania? Ma się przecież odbyć Spis Powszechny. Można jeszcze spróbować przy okazji wykonać Spis Powszechny Idiotów. Sam mam paru kandydatów, ale nazwisk (na razie) nie ujawnię...

3

Lewym okiem

Wizualne rodziny

Wysoko cenię i podziwiam ludzi umiających rysować. Przez całe lata pozostały w mojej pamięci niektóre rysunki, w których autor potrafił zamknąć jakąś dużą wiedzę, dużą prawdę o świecie i ludziach. Tak na przykład ciągle mam przed oczami mały skromny rysunek Szymona Kobylińskiego z „Polityki” sprzed wielu lat, przedstawiający dyrygenta z pałeczką w ręce, a przed nim tłum małych postaci również z pałeczkami w rękach, małych dyrygentów. W tym lapidarnym, ołówkowym skrócie, pokazał artysta ważną oścę naszego społeczeństwa: sami dyrygenci, nie ma ani jednego wykonawcy. Sami dyrektory, prezesi, naczelnicy jednoosobowych wydziałów, prezesi pięcioposobowych instytucji.

Jako felietonista, uprawiający ten fach również już od dziesięcioleci, żądrozęczę często artystom grafikom. Felieton jest także krótką formą publicystyki, ale grafik potrafi jeszcze lapidarniej, paroma kreskami, uzupełnionymi jednym zdaniem, wyrazić wszystko to, co chce powiedzieć. Oczwiedzić, nie zawrzesz jest to bardzo wyrazista, przyswajalna, a i w tym jej wielka moc, także propagandowa. Jest to więc broń ostra, celna i nader przydatna.

Zapowiadane u nas głębokie zmiany gospodarcze i polityczne wyszły, co zrozumiale, wielkie emocje wśród ludzi i nie ominęły także grafików. W swych specjalnych komentarzach, na łamach czasopism, dają oni wyraz własnym postawom, nadziejom i obawom. Ten sam Szymon Kobyliński rysuje w „Polityce” człowieka, który spóźnił się na samolot. Widząc, że ten już odlata, wzdycha: „samolot uleci, chociaż sobie,

jak tamci, docisnę pasa”. Myślę, że wydziewek tego rysunku jest pełen pesymizmu. Oto spóźnił się już na samolot, nigdzie nie polecimy, zaciśnięmy pasa, ale pozostaniemy w tym samym miejscu.

Mógłbym przytoczyć więcej takich minifelietonów, rysowników przez wielu autorów, a zacierających podobny sens.

Zamiast tego, chcę poświęcić parę słów telewizji. Tu rysunek zastąpiony jest obrazem ruchomym, który jednak ma z nim to wspólne, że również działa na wyobraźnię poprzez zmyślny wzrok, nie odwołuje się innymi drogami do inteligencji odbiorcy. Telewizja nadaje prawie co dzień króciutkie, parosekundowe migawki propagandowe. Oto na przykład sportowiec, na przykład gimnastyk, dokonuje różnych skomplikowanych wyczynów, piruetów, skoków, przewrotów i jak to się tam wszystko nazywa, po czym zeskakuje uśmiechnięty, a na ekranie ukazuje się jedno słowo: „Reforma”. Tu sens pokazanego nam a pomyślanego przecież propagandowego obrazka, nie jest już tak jednoznacznie pesymistyczny, jest ambiwalentny, powiedziałbym nawet dwuznaczny: czy migawka ta ma znaczyć, że możemy, owszem się pogimnastykować, potrudzić, ale wrócimy do postawy wyjściowej?

O ileż bardziej jednoznaczny i optymistyczny jest inny obrazek, inna migawka: oto siłacz z wielkim wysiłkiem, podnosi w górę ogromny ciężar, a le wreszcie podniósł go, na jego twarzy widać triumf i znowu na ekranie słowo: „Reforma”.

Jeszcze lepsza migawka, w moim przekonaniu już wręcz znakomita, znowu sięgająca do symboliki sportowej, to lekkoatleta, który podbiega lekkim truchtem do przeszkody, nie potrafi jej przeskoczyć, wobec czego cofa się, bierze duży rozbieg i wtedy dopiero przeszkodę pokonuje. Sapienti sat. Wydaje się, że opatrzenie tej migawki słowem „Reforma” wywołuje skojarzenia wyłącznie pozytywne: trzeba się cofnąć, żeby przeskoczyć przeszkodę, ale wreszcie ma się ją za sobą.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Rys. Sławomir Łuczynski

Dagome iudex

Zbigniew Nienacki

8

On też znał miłosną mowę ciała. Niekiedy zaskakiwał je swoją sztuką i wcześniej niż siebie potrafił doprowadzić je do rozkoży. Wtedy zwracał mu jego pieniądze, kiękały przed nim i całowały stopy, błagając, aby je znowu odwdzielił. Skarżyli się mu, że mężczyźni przegrywali się jak cuchnące kozy i nie umiemy nie innego jak wchodzić w ich pochwy; obca jest im nawet sztuka pocałunków najprostszych, odwracanych, pochylonych i wyciągniętych, nie znają wspaniałej miłosnej walki języków, o której uczą święte księgi bogini miłości. Tylko on wiedział jak należy spłatać swoje ciało z ciałem kobiety i choć nie znał nazw określających każdy z uściągów, to przecież potrafił czynić bluszcz, wspinać się na drzewo, mieszanie szamanki z rytmem a nawet mieszanie mleka z wodą, gdy to popada się w ekstazę i okalecza własne i cudze ciało. Lecz on pozostawał obojętny na ich pochlebstwa i nie wracał do nich, ponieważ pragnął poznawać coraz inne kobiety jak gdyby poszukując wciąż Zeli, pachnącej nie wachodni mi olejkami, lecz olejkami sennymi, igłami jałowca i rumiankiem...

Brak pieniędzy zmusił go do działania. U kowala ukrył swoją szkarłatną odzież, wieczorami ją przewidywał i narzucał ciemną opończę konno wyruszał na gościniec, gdzie o zmierzchu albo wczesnym rankiem napadał na samotnie jadących do miasta lub z miasta. Zawsze wracał z mieszkiem pełnym pieniędzy lub kawałków kruszcu; na drodze pozostawiał trupy z odciętymi głowami. Czynił na niego zasadki wojownicy Akuma, potrafił im się jednak wymknąć albo ucinął głowy Tyrflingiem. Tak powstała wśród mieszkańców miasta groźna legenda o „Szkarłatnym Kuningu”, który stał się postrachem całego Druzo. (...)

— To wszystko z powodu choroby, którą on nazwał żądzą czynów — tłumaczył Hlodr z troskanej Astrid. — Gdy przybędzie nasz drekar, on stanie do prawdziwej walki i zmieni się w innego człowieka. Na razie trzeba pozwolić, aby robił to, co chce. Mnie też dręczy bezczynność.

Latem w porze żniw, do domu Astrid zapukał jakiś obcy człowiek, który swoim strojem, a przede wszystkim mieczem noszonym na pasku przez ramie, wskazywał, że jest Ascomannem. Właśnie przyplął do portu dwudziestolatkowy langskip, ten człowiek wyglądał na żeglarską, pachniał solą i wiatrem. Zapytał szepem o Hlodra i Astrid poprowadziła go na strych. Rozmawiali ze sobą w języku donsk tunga, ale syn Boży już zdolał go sobie przyswoić i z dołu słyszał każde ich słowo. (...)

Obcy wkrótce odszedł i odpłynął jego statek. Hlodr wtajemniczył syna Boży w plany Jarla Sveriego.

— Jeśli naprawdę trawi się żądzą czynów, będziesz już mógł zaspokoić — obiecał. — Ja i Astrid wyszukamy odpowiednich ludzi, a ty aż do jesieni zachowaj ostrożność, aby cię nie pojmali wojownicy Akuma. Zemścimy się na Akumie za śmierć Ottara, za moje połamane nogi. Powróćmy do Birki jako ludzie bardzo bogaci. Zbudujesz tam sobie dom i staniesz się zamożnym Ascomannem.

Późnym wieczorem, wypię-

azy dzban piwa, zaśpiewał Hlodr:

„Często byłem wesół w morskiej toni
gdy ostrzy wiatr dał w żagiel
Kod moralnych toni raczo
kile orazy wielkie fale
i odmięty.
Oto pędziły statkami do walki”.

Od tego dnia syn Boży przestał odwiedzać szalaszy ze sprzedajnymi kobietami. Ale wcale nie dlatego, że go o to poprosił Hlodr. Zdarzyło się, że właśnie poprzedniego wieczoru znowu posiadł sześć kobiet, szczerze im za to płacąc. Chciał mieć siódmą i poszedł do szalaszy, gdzie trzymała pewną niewolnicę z południa o oliwkowej cerze i delikatnych dłoniach. Pieszczył jej ust, a przede wszystkim dziwny taniec, w którym wyginała swoje prawie nagie ciało, zawsze budził w nim nowe pożądanie. To w jej ramionach zasnął zmęczony siódmą kobietą i zbudził go jej szep. Nie rozumiał mowy tej kobiety, pojął jednak natychmiast, że broni w nim ostrzeżenia. Jakis wiołczuga. Est czy też Ascomann, ukradł mu jego pas z Tyrflingiem i właśnie wybiegł z szalaszy. Sprzedajna dziewczyna podała mu oświecz. Nagli młodzieńcy dopędził wiołczugę, który mając jego miecz, był pewien swej przewagi. Stanął naprzeciw syna Boży i wyściął z pochwy Tyrflinga. I wówczas stała się sprawa zadziwiająca. Wiołczuga zamachnął się mieczem, nie trafił syna Boży, potem pośliznął się na kupie gnoju i upadł. A wtedy syn Boży przeszył go oszczepem, następnie chwycił syn Tyrflinga ucinął mu głowę. Tak znowu spełniło się przekleństwo Odyna. Wyciągnięty do walki Tyrfling musiał zabić. Ofiarą jednak padł ten, który nigdy nie miał stać się władcą.

Świadek walki nie było, wszystko to bowiem działo się głęboką nocą. Ale piękna niewolnica wybiegła za młodzieńcem, zobaczyła odciętą od tułowia głowę i oświadczyła: — Teraz wiem, że to ty jesteś „Szkarłatnym Kuningiem”. Tylko on potrafił uciąć głowy. Kocham cię.

Wówczas i jej głowa upadła na ziemię, bo nie chciał żeby powiedziała o tym jeszcze komuś i żeby wiadomość o nim dotarła do Akuma. Potem wiele razy żałował swego czynu i szepcił tej dziewczynie, gdy go ostrzegła, że ktoś kradnie jego miecz słyszał podczas wielu bezsennych nocy. Zamiast okazać wdzięczność — zabił. Był może w tej właśnie chwili pierwszy raz ujawniła się w nim cecha wielkiego władcy.

Odtąd jednak przestał chodzić do szalaszy. Hlodr odrzucił swoje szczudła i chociaż wciąż jeszcze mocno kulną na prawą nogę, wsparty na ramieniu syna Boży codziennie szedł do portu lub krążył po ulicach miasta, poszukując ludzi, z których pragnął zorganizować małą drużynę dla Jarla Sveriego. Na miasto splotywał upał lata, ulice śmierdziały ludzkimi i zwierzęcymi odchodami, spod wylotnych dachów ulic wychodziły tłuste szczury. I tylko wiatr od Zalewu Estyjskiego przynosił rześkie powietrze przesycone słodkimi zapachem wodorostów. Ten zapach wspomagał w synu Boży pragnienie spotkania się z morzem i dokonywania wielkich czynów.

Poznajac miasto nabrał mło-

dzieniec wyobrażenia o jego bogactwie. Zobaczył ogromne składy futer kun i wydr, szopy pełne wosku, miodu w beczkach, soli; długie domostwa, w których na kupców czekały gromady niewolników schwytych w kraju Estów na Ziemi Sarmackiej, w Sklawinów. (...)

Pewnej nocy miał dziwny sen. Ujrzał w nim Zeli. Ujęła go za rękę i poprowadziła, jak wówczas po Tyrflinga, na tajemniczą wyspę, gdzie zobaczył wielu śpiących olbrzymów. „Czemu oni śpią?” — zapytał Zeli. „Śpią, gdyż czekają na ciebie. To ty obudzisz ich do czynu” — wyjaśniła.

Zeli uczyła go sztuki rozumienia snów. Ten uznał syn Boży za ważny, za wróżbę i przykazanie. Jeśli tak było, że pozostał ostatnim z krwi Spalów, to jego zadaniem było obudzić olbrzymów, co należało do rozumieć, że olbrzymi są owe ludy wymienione przez Zeli. Tyrfling utworzył mu drogę do władzy nad nimi, a zaciągana opaska zwana Andala dodała blasku jego oczom i uczyniła rozumny.

Odtąd słuchał jeszcze uważnie o wielkich władcach i wielkich państwach na Zachodzie i Południu, ale od czasu do czasu tajemniczy uśmiech pojawiał mu się na ustach. Czuł się potężny i bogaty ponieważ, jak sądził, tylko on jeden posiadał tajemnicę o śpiących wśród bagien i lasów olbrzymach i on jeden był przeznaczony, aby ich obudzić do czynu.

Aż zdarzyło się pewnego razu, że gdy stał tuż obok ulicy prowadzącej do obronnej warowni Akuma, otworzyła się szeroko nabita żelazem brama i wyjechał z niej orszak jeźdźców. Na przodzie zobaczył wojowników z Druzo, a potem złocony hełm i złoconą kołczugę samego Akuma i towarzyszącej mu konno córki o imieniu Pojata. Dziewczyna ubrana była po męsku, miała kolczugę, hełm tak samo złocony jak ojciec. W dłoni okrytej skórzaną rękawicą trzymała włócznię, cały pęk włóczni wiozł za nią jej niewolnik lub sługa. Zapewne ona i jej ojciec wyruszył na polowanie.

Jak zwykle, gdy pojawiał się władca Akum, tłum wylegał na ulice i jeźdźcy z orszaku musieli piersiami koni usuwać ciekawskich z drogi. Syn Boży ujrzał twarz Pojaty o czerwonych wargach i czarnych brwiach, i tak się nią zachwycił, tak go ogarnęło pożądanie do tej dziewczyny, że aż zniecierpliwiał i niemal stracił przytomność. Świadomość przywróciła mu dopiero mocne uderzenie piersi koni, potem otrzymał uderzenie płazem miecza i odsunął się z drogi. Wciąż jednak patrzył w twarz dziewczyny i nagle uświadomił sobie, że ona nikogo nie widzi, jej wzrok zapatrzone jest w jakieś ogromne dale. Syn Boży uczył między nią i sobą jak gdyby niewidzialną ścianę. Kiedy go mijala chciał zrobić krok do przodu, pragnął zająrzeć w jej twarz, lecz coś niewidzialnego zabraniało mu tego kroku, coś go jak gdyby wdeptywało w ziemię. On, który pojmował mowę oczu, bez trudu odgadnął, jakie to myśli i uczucia wyrażało to niewidzące nikogo spojrzenie. Dla córki Akuma nie istniało tłoczące się na ulicy pospólstwo, gardziła nim. Była tak dumna, że nie chciała się zniżać nawet do tego, aby zauważyć kogokolwiek. Jej oj-

ciec był tylko władcą bogatego miasta Druzo, ale ona swoje ciało i swoją urodę chciała przeznaczyć dla kogoś o wiele większego i potężniejszego. Cóż więc mógł dla niej znaczyć jakiś młody człowiek, stojący w tłumie na ulicy i przyglądający się jak ona i jej ojciec jadą na polowanie? Czy ktoś z tego tłumy mógł jej ofiarować królewską koronę?

Młodzieńiec wrócił do domu i o swoich wrażeniach opowiedział Hlodrowi i Astrid. — Nawet nie marz o Pojacie, synu Boży — roześmiała się Astrid. — To córka władcy Akuma, a ty kim jesteś? Zwykłym wojownikiem i to bez imienia.

— Stane się znowu „Szkarłatnym Kuningiem” i położę u jej stóp ogromne bogactwo — rzekł chłopiec.

— To za mało. Akum jest najbogatszym człowiekiem w mieście. On jest władcą, czy tego nie pojmujesz? To, co leżało niewidzialnego między tobą i nią, to była właśnie moc władzy — wyjaśnił Hlodr. — Ona się już urodziła jako córka władcy i wyjdzie za mąż za władcę. Jej oczy są ślepe na zwykłych wojowników i sługi, a tylko mogą spojrzeć na człowieka, który urodził się władcą.

— Co to znaczy władza?

— Nie umiem ci tego wyjaśnić — wzruszył ramionami Hlodr. — Władza to coś wielkiego i świętego. Słyszałem, że wystarczą dotknąć szat króla Horicha, a ślepy odzyskuje wzrok, chory zdrowieje. U Franków zrodził się zwyczaj, że na znak władcy koronę każdemu z władców frankijskich daje papież, bo on jest przedstawicielem ich Boga na ziemi.

— Kto to jest papież? Gdzie on mieszka?

— W Rzymie. W złotym pałacu i w złotych szatach chodzi, na złotym tronie zasiada. On czyni ludzi wielkimi, dając im świętą władzę od Boga. Dlatego niektórzy mówią, że papież jest potężniejszy od królów i książąt. Nasi królowie albo sami zdobywają władzę orężem, albo ją dziedziczą po swoich ojcach.

Chłopiec powtórzył:

— Chcę władzy świętej.

I nie pomógł tłumaczenia Astrid i Hlodra, że musi najpierw przyjąć wiarę Boga, który umarł na krzyżu, dać się ochrzcić, czyli zostać chrześcijaninem.

— Tak, chcę być chrześcijaninem — powtarzał syn Boży. — Czy nie ma w Druzo kapłana, aby mógł mnie ochrzcić?

— Musiałbyś potem nosić znak krzyża na piersi — ostrzegł go Hlodr. — A wielu ludzi nienawidzi tego znaku.

— Ty nosisz na piersi znak Odyna. Nie obronił cię przed tymi, co połamali ci nogi. Wiedziałem i ja ludzi martwych, którzy mieli na piersiach woreczki z lekami, kły niedźwiedzie i pazury wilcze. Te amulety nie dają siły i władzy.

— A ja widziałem jak ginęli ludzie, którzy nosili znak krzyża na piersiach — powiedział Hlodr. — Sam wielu takich zabiłem.

— Chcę mieć ten amulet. I chcę mieć prawo go nosić — powtarzał syn Boży.

Hlodr nie stawiał oporu wobec decyzji syna Boży. Wśród mieszkańców Birki, wyspy Fanni i u Jutów, wielu było chrześcijan. Słyszeliśmy z nimi Sasi i Fryzowie od dawna przyjęli wiarę w człowieka

zmarłego na krzyżu. W Druzo też żyli Ascomannowie, którzy nosili na piersiach srebrne krzyżyki, symbol owej wiary. Dlatego bez trudu Astrid znalazła wśród nich człowieka, którego nazywano Pater czyli ojciec, bo był jak gdyby ojcem dla wyznawców chrześcijaństwa w Druzo. Syn Boży poszedł do niego i w bogatym domu ascomannskiego kupca handlującego futrami poznał Ojca Dagoberta, ubranego w czarną szatę, z ogoloną głową i srebrnym krzyżem na piersi. Starożytnego kapłana nie zdziwiła decyzja młodzieńca, o którym dowiedział się, że przybył do Druzo z kraju Sklawinów położonego nad rzeką Visulą. Wydawało mu się czymś niejako naturalnym, że ludzie chcą przyjąć prawdziwą wiarę. Zapytał jednak syna Boży, czemu pragnie się ochrzcić. I syn Boży odpowiedział mu szczerze.

— Mam zamiar, ojczu, powrócić na swoją ojczystą i tam jednocząc różne ludy zostać ich władcą. Powiedz mi, czy jeśli przyjmę chrzest moja władza będzie świętą?

— Tak synu. Wiedziałem jak we Frankfurcie chrzczonego wielu książąt małych plemion i ludów. Władza ich stawała się świętą. Odtąd jednak muszą uznawać zwierzchnictwo papieża i płacić daninę wyznaczoną dla nich przez biskupów. Czy godzisz się na to?

— Godzę się — skinął głową syn Boży. — Ale czy lud mój też będzie się musiał ochrzcić?

— Nie. Wystarczy, że ich władca wyznaje prawdziwą wiarę.

— Czy ochrzczisz także mój miecz, panie?

— Nie. Ale pobłogosławię go i przez to uczynię świętym, albowiem dostrzegam w tobie umysł wielkiej zamysły, a w sercu pragnienie umiłowania Chrystusa.

A syn Boży pomyślał: długa i trudna droga jest do władzy. Niech mi na niej pomaga wielu bogów. Niech moja władza będzie świętą po stokroć, poprzez Krzyż i Andala.

Potem w dłoniach ojca Dagoberta po raz pierwszy w życiu zobaczył książkę — oprowione w skórę kartki papieru, zapisane tajemnym pismem w tajemniczym języku. Hlodr nauczył go kreślić runy na drewnianych deszczułkach, runami można było przedstawiać słowa a nawet zdania ludzkiej mowy. Ale chrześcijański kapłan, jak to wyjaśnił Pater Dagobert, już od czasów wielkiego Karola zaczęli posługiwać się w swych obrzędach językiem zwanym „latina” i w tym języku specjalnym alfabetem były pisane ich uczone księgi. Syn Boży zapragnął zgłębić tajemnicę łacińskiej mowy, ale Hlodr otrzymał wiadomość, że wkrótce statki Sveriego wpłyną do portu. Niewiele więc czasu pozostało na poznanie zasad nowej wiary aż do chwili, gdy Pater Dagobert zaprowadził go do małego jeziora w lesie, które w swoim dziwnym języku nazywał piscina. Tam, zgodnie z wyuczonym rytuałem zapytał syna Boży:

— Czego żądasz od Kościoła Świętego?

— Wiary — odparł, choć ani odrobiny nie wierzył w boskość człowieka, który dał się ukrzyżować.

Potem wyrzekł się szatana i wierzeń pogańskich, złożył wyuczone wyznanie wiary i w obecnej mowie powtórzył na pamięć słowa modlitwy „Pater noster”. Następnie rozebrał się i trzy razy zanurzył w sadzaw-

ce, zanim usłyszał w łacińskiej mowie: „Ego te baptizo in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti”. Ramiona młodzieńca Pater Dagobert namaszczył olejem i nadał mu własne imię: Dagobert. Następnie w domu Astrid odbyła się uroczysta z udziałem Ojca Dagoberta. Młodzieńiec był dumny, że ma już imię, które zresztą Hlodr natychmiast nieco zmienił. Odtąd mówił do niego „Dago” i wkrótce młodzieńiec sam zapomniał, że tak naprawdę nie jest ani Dago, ani Dagomem, ale Dagobertem. Za garść srebrnych dirhemów otrzymał też Dago małego krzyż srebrny, który odtąd nosił na rzemieniu na piersiach.

I wtedy dopiero odważył się zapytać kapłana.

— Ojczu, powiedz mi, skąd się bierze władza?

— O jakiej władzy myślisz, synu? — zapytał ojciec Dagobert z pochodzenia Gall, który święcenia otrzymał w słynnej szkole w Akwizgranie, a ponieważ znał język dansk tunga, jeszcze Ludwik Pobożny wysłał go do Druzo, aby śledził i donosił o wyprawach łupieżczych Ascomannów.

— Myślę o władzy nad ludźmi.

— Te władzę daje Bóg wybranemu przez siebie człowiekowi, aby mógł kierować losem innych ludzi oraz całym ludem. Jest to siła i mądrość. Ale ta władza nad ludźmi jest niczym w porównaniu z władzą jaką Bóg dał swemu namiestnikowi na ziemi, papieżowi i jego kapłanom. Jest to władza nad ludzkimi duszami, prawo do sądzenia ich grzechów, odpuszczania i udzielania sakramentów.

— W jaki sposób można otrzymać władzę nad ludźmi? — Najczęściej otrzymuje ją człowiek urodzony z władcy. Papież namaszcza go olejami świętymi i wkłada na głowę koronę królewską. Bez owego namaszczenia władza nie ma w sobie żadnej świętości. Bywa zresztą, że i zwykły człowiek, któremu Bóg w tajemny sposób dał zdolność kierowania innymi lub wielką siłę, dochodzi do wysokich godności i też może otrzymać namaszczenie czyli charyzmę od namiestnika boskiego.

— Mówisz o chrześcijańskich władcach? A przecież jest wielu innych władców. Książę Akum w Druzo też posiada władzę nad ludźmi i nad miastem.

— To władza fałszywa i ślepa. Przyznaję jednak, że trudna ją zwykłemu człowiekowi odróżnić od tej, którą dają święte oleje. Niektórzy ludzium Bóg pełen niezgłębionej i tajemnej mądrości ofiarował przedziwny talent: zdolność rządzenia. Poprzez swój spryt i mądrość dochodzą do władzy i rządzą innymi. Ale powiadam ci, że jednak pozostają ślepacami. Bóg ofiarował im możliwość ujrzenia pełni swego blasku i majestatu, ale mogą to uczynić przetrwawszy prawdziwą wiarę. Jeśli nie skorzystają z tej okazji, umierają jako ślepy i są potępieni.

Na tym kończymy druk fragmentów i tomu powieści „Dagome iudex”. W numerze świątecznym opublikujemy fragment II tomu, który w całości drukować będziemy w przyszłym roku.

Już za tydzień, nowa,
nigdzie nie drukowana,
sensacyjna powieść
LEONARDA
„MATNIA”